

Wojciech Motylewski

**Skarby**  
*cara*  
**Aleksandra**

**Wojciech Motylewski**

**Skarby cara Aleksandra**

# I

Od lidzbarskiej bitwy minęło ponad pięć tygodni. Lipiec przekroczył półmetek i gród starał się powrócić do normalnego życia. Ostatnie pół roku przyniosło mieszkańcom tak wiele wrażeń, że ciężko im było z dnia na dzień przejść do właściwego rytmu.

Lato kusiło swoimi urokami. Świat cieszył oko swoją urodą i tylko puste pola wciąż straszyły głodem. Lidzbarczanie nie wiedzieli jeszcze, jakie ustalenia zapadły podczas spotkania ich dotychczasowego władcy z cesarzem Francuzów, lecz mieli nadzieję, że nie zostaną pozostawieni sami sobie. Gdyby tak się stało, niechybnie wielu z nich nie miałoby szans na przeżycie najbliższej zimy.

Tymczasem przez miasto i jego okolice ponownie zaczęły przechodzić napoleońskie wojska. Z zamku wychodziły transporty z rannymi, którzy zostali tu ulokowani po ostatnich walkach. Wszystko wskazywało na to, że wojna naprawdę dobiegła już końca i przybysze wracają do swoich krajów.

Albert siedział na ławie przed domem. Wygrzewał się leniwie na słońcu, wsłuchując się w rytmiczne uderzenia młotów dobiegające z kuźni. To Maurycy z Antonim kończyli kolejne zamówienie, jakie kowal otrzymał od Francuzów.

Giersz był przekonany, że nadchodzi kres współpracy ze stacjonującymi wciąż w mieście wojskami. Czekał jeszcze tylko na ostatni wóz, którego koła wzmacniali kowale. Potem planował odstawić gotowe, identyczne cztery, mające posłużyć do wywiezienia z grodu ostatnich rekonwalescentów.

Mężczyzna przyłożył dłoń do oczu i spojrzął w niebo. Słońce od kilku dni prażyło niemiłosiernie. Upał dawał się we znaki. Szczególnie w kuźni, gdzie przecież i tak wysoką temperaturę potęgowało palenisko. Albert przesunął się na ławie, by skryć się w cieniu budynku. Wypluł z ust źdźbło trawy, które z nudów żuł od jakiegoś czasu i westchnął. To już kolejny tydzień, który mógł spokojnie spędzić u boku małżonki. Kowal cieszył się i z optymizmem patrzył w przyszłość. Miał wrażenie, że po latach tułaczki i ciągłego zagrożenia, los nareszcie wyciągnął do niego swoją dłoń i dał mu kolejną szansę na spokojne życie. Wojna dobiegła końca. Kuźnia pracowała pełną parą. Żona spodziewała się dziecka, a i Maurycy też oczekiwał potomka. Banderscy co prawda początkowo mieli pretensje do młodych, że postąpili tak nierozważnie, lecz ostatecznie miłość rodzicielska przeważała nad złością i razem z Agnieszką cieszyli się na nowego członka rodziny. Lada dzień miał przyjechać Stefan, by przyjrzeć się gdzie by tu wygospodarować kąt dla młodych. Potem przyszli rodzice zamierzali połączyć swoje losy przed ołtarzem tak, by nowo narodzone dziecko nie było wytykane przez ludzi. Złe chwile

odchodziły w zapomnienie i zdawało się, że kolejne dni rysują się w najlepszych barwach.

Zaskrzypiała brama i na podwórko wjechał mężczyzna. Albert nie zwrócił na niego uwagi przekonany, że to ktoś z zamku przybywa po wozy i nawet ucieszył się, że sam nie będzie musiał ich transportować w taki upał. Właśnie miał zamiar rozłożyć się na ławie, gdy jeździec zbliżył się do niego i zsiadł z konia. Kowal zmrużył oczy i już podnosił rękę, by wskazać gościowi drogę do kuźni.

- To tak mnie witasz mój Gierszu? - dobiegł go znajomy głos. - Obiecałeś mi przecież zimne piwo, a to jak nic przyda się w taki gorąc.

Gospodarz zerwał się tak szybko, że o mało nie fiknął kozła. Wyprostował się wreszcie i spojrzał uważnie na przybysza. Miał przed sobą Słubickiego. Albertowi odebrało mowę ze zdziwienia. Nie wiedział, czego spodziewać się po wizycie tak nieoczekiwanego gościa. Czyżby znowu szykowało się jakieś zadanie?

- Wybaczcie panie – rzekł wreszcie. - Prędzej bym się diabła spodziewał.

- To widzę nie w czas tu do ciebie przybyłem – odrzekł pułkownik.

- Gdzie tam. Rad jestem powitać tak zacnego gościa w moich progach, tylko tak po prawdzie to myślałem, że dobrodziej już dawno opuścił nasze okolice. Wszak to już kilka tygodni zleciało jak gruchnęła wieść o wielkim zwycięstwie Napoleona.

Słubicki przywiązał wierzchowca do płotu i przysiadł obok Giersza.

- Wybacz, że siadam nieproszony, lecz jazda w taki upał dała mi się we znaki.

- Proszę, proszę – zawołał wciąż oszołomiony mężczyzna.- Agata! - krzyknął. - A przynieś tu nam co do picia. Tylko zimne.

Albert to zrywał się z ławki, to znowu siadał, nie bardzo wiedząc jak się zachować i co z sobą począć. Słubicki z rozbawieniem obserwował napoleońskiego kuriera i nie mógł zrozumieć zdenerwowania tak opanowanego zazwyczaj kowala.

- Siadźże wreszcie mój drogi i przestań się denerwować – powiedział.

- Już siadam panie. Tak rad jestem z waszej wizyty, że z tego szczęścia sam nie wiem, co z sobą począć.

- Tedy siadaj i opowiadaj co u ciebie słychać. Żona zdrowa? Nie było czasu porozmawiać kiedyśmy się ostatnio widzieli.

- Zdrowa. Bogu dziękować zdrowa.

W te słowa przed domem zjawiała się gospodyni. Kobięcym instynktem domyśliła się, kogo ma przed sobą. Rak wyskoczył jej na policzki, tak bardzo onieśmiał ją człowiek, o którym tyle dobrego opowiadali jej mąż i syn.

- Zsiadłe mleko... proszę – tyle tylko wyrwało jej się z ust i podała dwa kubki Albertowi.

Pułkownik podniósł się z ławki. Złapał kobietę za rękę i ucałował ją w dłoń. Agata, nieprzyzwyczajona do takiego postępowania, wyrwała mężczyźnie rękę. Zarumieniła się jeszcze bardziej i szybko zniknęła w chałupie.

Albert podał jeden z kubków swojemu dobrodziejowi.

- Napijcie się panie. Zimne mleko ugasi pragnienie.

Słubicki natychmiast opróżnił naczynie. Wytarł rękami usta i spojrzał przed siebie.

- Więc to jest twoja ojcowizna?

- Tak panie, a tam za płotem mieszkał Dzik, przez którego musiałem uciekać z miasta.

- Tak, ale cóż, teraz nie narzekasz na sąsiadów?

- Nie, panie. To swoi ludzie, a do tego niebawem Maurycy pojmie za żonę ich córkę.

- Ho, ho , ho! To widzę, że weselisko tu się szykuje!

- A tam, zaraz weselisko. Pospieszili się trochę młodzi i nie ma rady- szczerze odparł gospodarz.

- Na szczęście nigdy nie jest za wcześnie, mój drogi - odparł Słubicki.

Kowala aż korciło, by wypytać gościa o ową bitwę, w której Napoleon ostatecznie rozbił wroga. Pułkownik jakby czytał w jego myślach.

- To mówisz, że wieści o klęsce Rosjan już do miasta dotarły? - zapytał.

- Będzie już kilka tygodni. Wypytywałem też żołnierzy, gdy przybyli do kuźni, by konia podkuć ale rad bym usłyszeć, co się pod Frydlandem zdarzyło.

- Ano, jak wiesz – zaczął opowieść pułkownik – ruszyliśmy z Lidzbarka za nieprzyjacielem tak szybko, jak tylko się dało. Mieliśmy nadzieję przynajmniej opanować Królewiec, bo nawet Napoleon był pewien, że tym razem Bennigsen poprowadzi swoje wojska aż do ziem cara. Tymczasem, ku naszemu zdziwieniu, wróg wydał nam bitwę pod Frydlandem właśnie. Głównodowodzący nieprzyjacielskich wojsk popełnił jednak wielki błąd, gdy zgrupował swoje siły mając Łynę za plecami. Bonaparte nie zwykł zaprzepaszczać nadarzających się okazji i przeciwnik dostał takiego łupnia, że niebawem rozpoczęły się rozmowy pokojowe.

Giersz nadstawił ucha, gdyż te kwestie interesowały go najbardziej.

- Przenieśliśmy się do Tylży – kontynuował Słubicki – a tam niebawem przybył sam car Aleksander, a z nim król Prus z małżonką. Napoleon powitał monarchę rosyjskiego na specjalnie do tego przygotowanej tratwie pośrodku Niemna. Po uroczystościach przyszedł czas na konkretne działania.

Słubicki przerwał na chwilę i spojrzał na słuchającego z uwagą kowala.

- Tu niestety nie mam dla ciebie najlepszych wiadomości, mój drogi. Z inicjatywy cesarza Francuzów zostało utworzone Księstwo Warszawskie, lecz swoim zasięgiem nie obejmuje ono niestety Warmii.

Albert podrapał się po głowie. Gość dostrzegł tę oznakę zafrasowania.

- Nie martw się, mój drogi. Nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo, gdyż władca Prus jest teraz sojusznikiem Napoleona.

- Czas pokaże, czy masz rację – pomyślał gospodarz.

W tej chwili ponownie pojawiła się Agata.

- Zapraszam do środka. Przygotowałam coś do jedzenia, bo jesteście zapewne zmęczeni po drodze panie?

- Zapraszamy – zerwał się kowal. – Czym chata bogata. Agata, prowadź pułkownika, a ja tymczasem powiodę wierzchowca do obory.

Słubicki posłusznie podążył za kobietą. Albert zaś odwiązał konia od płotu i ruszył w kierunku budynku gospodarskiego.

Pułkownik z ciekawością przyglądał się izbie, do której wprowadziła go gospodyni. Dom nie sprawiał wrażenia bogatego, lecz z każdego kąta biła schludność. Widać było,

że gospodarze lubili porządek.

Duże okna wychodzące na wschód i zachód zapewniały pomieszczeniu stały dopływ światła. Tuż przy wschodnim stała sporej wielkości ława, przy której zmieścić się mogło nawet dziesięć osób. Po obu jej stronach stały ławki. Na ławie stał stroik zrobiony ze starannie ususzonych kwiatów. Jednak najważniejszy w izbie był piec, w którym zapewne gospodyni wypiekała chleb. Ścianę obok pieca wypełniały półki pełne różnego rodzaju wypalanych z gliny naczyń, niezbędnych w codziennym życiu. Wszystko tu miało swoje miejsce i aż błyszczało od czystości.

Agata wskazała gościowi miejsce przy ławie. Słubicki skierował się ku oknu i usiadł tak, by widzieć, co dzieje się na podwórku. To żołnierskie przyzwyczajenie dawało znać o sobie. Nie minęło dziesięć minut, gdy w chacie pojawił się Albert.

Cała trójka siedziała jeszcze przy stole, gdy do izby wszedł Maurycy. Chłopak zobaczył gościa i stanął zaskoczony niespodziewanym widokiem. Słubicki podniósł się i ruszył w kierunku młodego Giersza. Ten oprzytomniał wreszcie i skoczył ku mężczyźnie. Przywitali się jak starzy przyjaciele, którzy ostatni raz widzieli się wiele lat temu i trudno powiedzieć, którego z nich to spotkanie ucieszyło bardziej. Wreszcie wyściskali się i stanęli patrząc jeden na drugiego.

- Nie spodziewałem się, że jeszcze kiedyś się zobaczymy – rzekł Maurycy.

- Obiecałem ojcu, że przyjadę. Co prawda trochę później niż obaj się spodziewaliśmy, ale jestem.

- Czy to prawda co ludzie powiadali o wielkim zwycięstwie Napoleona?

- Prawda.

- Tedy poczekajcie na mnie, aż ogarnę się po pracy. Rad bym posłuchać o bitwie i o tym, co nam przyniosły sukcesy cesarza Francuzów.

Pułkownik wrócił do stołu. Agata wyszła z synem, by pomóc mu przy toalecie. Albert z gościem zostali tymczasem sami.

- Chłopak mężnieje wam w oczach – przerwał milczenie Słubicki.

- Ano przy młocie stoi wiele godzin dziennie to i na sile mu nie zbywa. Taki fach.

- Uczciwy.

- Uczciwy i zapewniający jako takie utrzymanie. Na chleb nie zabraknie, a przy

odrobinie szczęścia i na całkiem znośne życie wystarczy.

- Maurycy wspominał mi coś o wojsku.

- Mnie też mówił, lecz tyle się wojny napatrzył, że mundur szybko mu z głowy wywietrzał. Zresztą nie czas już o tym myśleć. Lada dzień rodzinę przecież założy i nie tylko żonę, ale i dzieciaka będzie miał na utrzymaniu. Gdzie mu po polach ganiać?

- Macie rację Albercie. Dobry fach do uczciwego życia w zupełności mu wystarczy.

Maurycy najwyraźniej był bardzo ciekawy wieści, jakie przywoził ze sobą dobrodziej, bo ogarnął się szybko i wnet zasiadł naprzeciwko gościa. Agata postawiła przed nim półmisek z parującą kaszą, lecz ten nie zabierał się do jedzenia tylko pytającym wzrokiem spoznał na Słubickiego. Oficer pokrótce powtórzył wszystko to, co już wcześniej powiedział Albertowi.

- Phi – skrzywił się młodzieniec. - A co to za twór to Księstwo Warszawskie i kto nim będzie rządził?

- Tyle ci mogę na chwilę obecną powiedzieć, że księciem zostanie król saski, a jeśli chodzi o ziemie, jakie obejmie nowe państwo, to wszystko w rękach Napoleona. Wiem, że będą to tereny zabrane Rzeczypospolitej przez Prusy w drugim i trzecim zaborze. Na tym chyba się skończy.

Maurycy musiał zrobić smutną minę, bo przybyszowi żal się go zrobiło.

- Ja też nie jestem usatysfakcjonowany tym rozwiązaniem. Na początek i jako oznakę dobrej woli Bonapartego musimy przyjąć to, co nam daje. Mam tylko głęboką nadzieję, że nie jest to koniec marzeń o całkowitym odrodzeniu się naszej ojczyzny.

Chłopak z niedowierzaniem patrzył na ojca.

- A co z nami teraz będzie? - zadał pytanie, którego jak ognia unikał stary Giersz. - Czy zgoda władców Francji i Prus wystarczy, by nas uchronić od zemsty za współpracę z Napoleonem?

- Wierzę, że tak, choć jak widzicie przyjechałem do was po cywilnemu, by sąsiadom w oczy się nie rzucać.

- Na szczęście niewiele osób w Lidzbarku wie, czym paraliśmy się przez ostatnie miesiące – rzekł Albert. Za sąsiadów sam ręczę, a młynarz też zbyt wiele skorzystał, by nas teraz chciał wydać.



Słubicki poczuł się nieswojo. Nikt mu co prawda nie robił wyrzutów, lecz ze słów Gierszów było jawne rozczarowanie. Postanowił więc zmienić temat, żeby podnieść gospodarzy na duchu.

- Kiedy rozstawałem się z cesarzem i wspomniałem, że zamierzam was odwiedzić, kazał pozdrowić serdecznie swojego osobistego kuriera i pokłonić się jego małżonce.

Pułkownik sięgnął do torby, którą trzymał przy sobie i wyciągnął z niej zawiniątko.

- Oto chusty z samej Persji przywiezione jeszcze, gdy cesarz przebywał w Kamieńcu Suskim – powiedział i wręczył je przysłuchującej się rozmowie kobiecie.

Ta pokraśniała na twarzy i śmiało wyciągnęła rękę.

- Rety! - zawołała. - Nigdy się nie spodziewała, że sam cesarz pomyśli o mnie, zwykłej kobiecie.

Zabrała prezenty i szybkim krokiem podążyła do sąsiedniej izby, by zobaczyć się w kolorowych chustach.

- No cóż – rzekł pułkownik. - Dotrzymałem słowa i trzeba mi się zbierać, póki jeszcze widno za oknem.

- A gdzie to się dobrodziejowi spieszy? - zapytał Albert. - Nie lepiej przenocować u nas i ruszać w drogę skoro świt? Co prawda już spokojniej zrobiło się na szlakach, lecz po ciemku ryzykować nie warto. Licho nie śpi.

Słubicki zawahał się przez chwilę.

- Macie rację kowalu. Jeśli nie będę wam zawadą, to zostanę do jutra.

- Jaka tam zawada? Miejsca u nas wystarczy – odrzekł Maurycy – a ja chętnie posłucham jeszcze o spotkaniu monarchów w owej Tylży. Musiało być to wielkie wydarzenie?

Agata już dawno przygotowała Słubickiemu izbę, lecz ani on, ani Gierszowie nie zamierzali wciąż iść do łóżka. Północ dawno minęła, a przy stole nadal toczyły się nocne Polaków rozmowy. Gospodyni nie chciała przeszkadzać i zostawiła przyjaciół samych. Agnieszka Banderska najwidoczniej wstydziła się przybysza i także nie zajrzała tego dnia do chałupy, więc i Maurycy miał okazję zaspokoić swoją ciekawość.

Pułkownik opowiadał jak przebiegały przygotowania do wizyty cesarza Francuzów i cara Aleksandra. Potem kolejny raz opisał spotkanie monarchów na Niemnie, by

wreszcie przejść do bratania się żołnierzy obu stron. Nagle uderzył dłonią w kolano.

- Wyobraźcie sobie – zwrócił się do mężczyzn, - że pewnego dnia spotkałem w jednej z miejskich gospód pułkownika w służbie carskiej, który dłuższy czas przebywał w Lidzbarku.

Albert spojrzął na syna.

- A przedstawił się waszmości?

- A jakże, wymienił swoje nazwisko.

- Czy nie Jurkowski? - zapytał kowal.

- Jurkowski, a jakże, i on także wspominał o waszej kuźni.

- Czy coś mu o nas mówiłeś dobrodzieju? - Wyraźnie zaniepokoił się Giersz.

- Nie – odparł pułkownik. - Jakiś głos wewnętrzny mówił mi, by nie być zbyt wylewnym w rozmowie, choć tamten wiele czasu opowiadał mi o swoich wojennych przygodach. Zresztą zwierzył mi się nawet, że gdzieś tu w okolicy zostawił swoje serce. We dworku, gdzie mieszka wdowa po pruskim oficerze. Obiecywał sobie nawet, że niebawem postara się wrócić w te strony, ale już jako cywil. Ostatnie miesiące obrzydziły mu mundur i chłop marzy o ustatkowaniu, a kto wie, może nawet o założeniu rodziny.

- Szczęście, że nic mu nie wspominałeś o nas – odezwał się Albert. - Pułkownik Jurkowski podejrzewał mnie o współpracę z wrogiem od kiedy umiejętnie pociągnął mnie w karczmie za język, a ja niczym baba o mało się przed nim nie wygadałem. To przez niego nasłani Polacy chcieli mnie aresztować i przed nim postawić. Na szczęście Maurycy z sąsiadem naszym w czas przybyli z pomocą.

- Tak więc nie mylił mnie mój żołnierski nos. Chociaż widziałem, że człowiek bardzo przeżywa porażkę i ciąży mu ona strasznie na duszy, to jednak jego wylewność nadto wydała mi się dziwna. Niby podkreślał swoje polskie korzenie a jednak już bardziej czuł się chyba Rosjaninem. Całe szczęście, że nie uległem chwili i nie odpłaciłem mu się szczerością. Pewni jesteście, że to ten sam oficer o którym mówicie?

- Pewni – odparł Maurycy.

- Dla nas też greczny był bardzo na początku – wtrącił się Albert. - Najpierw podkuł konia, potem zlecił naprawę karocy. Wreszcie wziął mnie do pomocy przy budowie umocnień i wszystko układało się dobrze aż do nieszczęsnego spotkania w karczmie. Odtąd ja jego, a on mnie podejrzewał o współpracę z wrogiem. Potem

Polacy, którzy mu służyli, zdążyli mi o podejrzeniach wobec mojej osoby wspomnieć, zanim zginęli od ciosów. Pochowaliśmy ich po bitwie lidzbarskiej w mogile, która kryje ciała żołnierzy poległych pod naszym miastem.

- Taki nasz los – westchnął Słubicki. - Po obu stronach i tak po prawdzie do dzisiaj nie wiem, kto większą ma rację?

- Może błąd popełniamy, wysługując się obcym władcom? - zapytał Maurycy. - Tylu ludzi zginęło i nic. Co mi tam jakieś Księstwo Warszawskie? Księstwo?

- Ja też wciąż odczuwam niedosyt. Dlatego wyprosiłem u Bonapartego czas dla siebie. Chcę ruszyć w rodzinne strony, by przypomnieć się swoim, odpocząć i ułożyć w głowie plan jak dalej żyć i co robić w zmieniającej się rzeczywistości.

- A dokąd to droga wiedzie, jeśli wolno zapytać? - odezwał się Albert.

- Na Kujawy. Tam majątek ma mój ojciec. Dawno go już nie widziałem i rad będę odpocząć nieco w rodzinnych pieleszach.

- Tedy kładźmy się już, bo ranek nas zaraz zaskoczy, a droga długa przed wami.

Mężczyźni rozeszli się do swoich łóżek. Albert także położył się u boku małżonki. Przewracał się z boku na bok, lecz nie mógł usnąć. Rozmowa ze Słubickim ciągle tkwiła mu w głowie. Myśli kłębiły się i ostatnie miesiące ponownie przeleciały mu przed oczami. Tyle nadziei. Tyle poświęcenia i mimo, że sam Napoleon tak wiele mu obiecywał, wszystko to okazało się niczym.

- Lecz właściwie czego czepiać się Napoleona? Cóż on takiego mi obiecywał? - nagle pomyślał kowal. - To ja sobie ubzdurałem, a pułkownik w tej nadziei mnie trzymał, że wszystko przybierze korzystny obrót.

Myśl, która tak nagle olśniła Giersza usprawiedliwiła cesarza Francuzów. Za to jego samego obciążyla winą za nierealne mrzonki.

- Jakiż ja głupi! - dumał. - Przecież nawet dzieciaka narażałem na niebezpieczeństwo. I co teraz? Szczęście, że nie trafiła go wroga kula. Tyle z tego korzyści, że przynajmniej Helmut nie żyje. Tfu – niech mu ziemia lekką będzie. Nie chcę swojego szczęścia czyjejs śmierci zawdzięczać. A jednak. Helmut, Polacy co z Francuzami w dołach leżą. Wszyscy oni zginęli przez moje dla Napoleona poświęcenie.

Męczył się Giersz i bił się z myślami, a sen przychodzić wciąż nie chciał. Wreszcie, by nie zwariować, mężczyzna zaczął obserwować równo unoszącą się pierś małżonki. Zaczął liczyć..., aż sen go zmorzył.

Noc letnia zleciała szybko. Ledwie słońce wzeszło, gdy Agata poszła do kuchni i zajęła się przygotowaniem posiłku. Wnet pojawił się Albert z Maurycym, a zaraz po nich Słubicki. Mężczyźni jedli w milczeniu. Widać, że pora rozstania przykrość sprawiała im wszystkim. Pułkownik ruszył do obórki. Przygotował wierzchowca do drogi. Gospodyni wyszła ku niemu i wcisnęła mu w rękę tobołek.

- To na drogę – powiedziała.

Słubicki ucałował w dłoń Agatę i włożył podarunek do jednej z sakw, które zwisały przy siodle. Podszedł do Maurycego. Potem uściskał starego Giersza. Dosiadł konia.

- Bywajcie – rzekł wreszcie. - Kto wie, czy spotkamy się jeszcze.

Wierzchowiec zniknął wnet za otwartą wcześniej bramą. Agata z synem wrócili do domu, a kowal długo jeszcze patrzył w stronę, gdzie już dawno zniknął człowiek, z którym wiązał tyle nadziei.

## II

Jurkowski już drugi tydzień przebywał w Petersburgu. Wydarzenia ostatnich miesięcy zmieniły go bardzo. Z pewnego siebie i przekonanego o nieomyślności swojego władcy żołnierza stał się zmęczonym, wręcz wypalonym człowiekiem. Zacięta kampania i ogrom nieszczęścia jej towarzyszący zdeprecjonował jego wszystkie dotychczasowe wartości. Już nie car, nie ojczyzna, lecz własne życie stało się najważniejsze. Tym bardziej, że w sercu pułkownika wciąż gościła wdowa Dargicz. Tuż po tym jak władcy zakończyli rokowania i opuścili Tylżę, Jurkowski wystarał się o bezterminowy urlop. Co prawda książę Konstanty lubił jego towarzystwo i niechętny był rozstaniu, jednak bezkompromisowa postawa oficera nie pozostawiała mu wyjścia. Cesarzewicz bał się, że jeśli nie pozwoli podwładnemu na urlop, straci go bezpowrotnie. Liczył na to, że kilka tygodni bezczynności znudzi przyzwyczajonego do wojskowego drylu pułkownika i ten jak niepyszny wróci w szeregi armii.

Tymczasem Jurkowski postanowił dotrzymać słowa danego córkom właścicielki dworku i przygotowywał się do podróży. Obowiązki co prawda przesunęły termin wyjazdu, lecz wreszcie wszystkie sprawy niecierpiące zwłoki zostały załatwione i pozostawało tylko ruszać w drogę.

Ostatniego dnia przed wyjazdem Anastazy wybrał się jeszcze do miasta i kupił kilka drobiazków, które zamierzał sprezentować trzem tak dobrze wspomnianym osobkom.

Kiedy pełen nadziei na ponowne spotkanie z rodziną Dargiczów pułkownik odliczał ostatnie godziny do wyjazdu, odwiedził go niespodziewany gość. Jurkowski właśnie kończył kolację, gdy służba zapowiedziała mu przybycie Jermołowa. Artylerzysta przebywał w Petersburgu w sprawach służbowych i postanowił odwiedzić towarzysza walk.

- Witaj mój drogi Anastazy – zawołał Jermołow, wkraczając do salonu, w którym przyjaciel spożywał posiłek.

- Cóż za niespodziewany gość – nie dał po sobie poznać zawodu gospodarz. - Cóż cię przygnało w te strony?

- Służba. Jeszcze dobrze nie ucichły działa, a już bąka się o nowej wojnie. Tym razem ze Szwedem.

- To chwilowo nie moje zmartwienie – odparł Jurkowski. - Właśnie otrzymałem bezterminowy urlop. Siadaj, siadaj przecież do stołu.

- Nie jestem głodny mój drogi. Jadłem dopiero kolację. Więc jednak to prawda, co słyszałem – zafrasował się przybysz. Czyżby aż tak bardzo zapadła ci w serce wdowa Dargicz?

- Nie przeczę, że wybieram się do tej rodziny, lecz to nie miłość jest głównym powodem moich rozterek. Napatrzyłem się w ostatnim czasie na śmierć. W dodatku bezsensowną i muszę na nowo przemyśleć, co chcę robić w życiu.

- No cóż, każdy ma prawo do swojego życia. Tyle tylko ci powiem, że na moje oko szybko ci ta wolność spowszednieje. Za dużo się prochu nawąchałeś mój drogi.

Jurkowski uśmiechnął się pod nosem na to przyjacielskie jasnowidzenie.

- Więc powiadasz, że do miasta służbowo przybywasz? – odparł wreszcie, by gościa swoim milczeniem nie urazić.

- Mam tu pewną misję do spełnienia. Anglicy strasznie źli są na naszego monarchę za pokój, który zawarł z Napoleonem.

- Sami są sobie winni. Tyle nam przecież obiecywali, a gdy przyszło co do czego, zostaliśmy sami. No, z garstką Prusaków, którym przecież dzielności nie odmawiam, lecz ile tego wojska było?

- Masz rację. Dlatego wszystko skończyło się tak, a nie inaczej. Gdyby chociaż Austriacy zdecydowali się ruszyć do walki. Nie ma dwóch zdań. Zostawili nas samych sobie, a teraz pretensje do całego świata i lament. Nie do tego jednak zmierzam. Otóż car Aleksander obawia się bliskości granicy. Czort wie, co teraz Anglikom może przyjść do głowy. Petersburg niestety leży o rzut beretem od granicy i nie może w tym przypadku czuć się bezpieczny. Zostałem więc obarczony zadaniem, by wyłapać słabe punkty w razie ewentualnego ataku na miasto i odpowiednio je wzmocnić. Tak to wygląda na dzisiaj, lecz nie łudzę się, że jeśli sytuacja w krótkim czasie nie zostanie opanowana, dojdzie do wojny prewencyjnej. Ruszymy na Szwedów i będziemy chcieli przesunąć naszą granicę tak, by ta zapewniła odpowiedni czas reakcji w przypadku napaści. Szwedzi jak wiesz, to sojusznicy Anglików i ci zapewne przyjdą im z pomocą.

- Krótko mówiąc, tak źle i tak niedobrze. Ledwie udało się zawrzeć jeden pokój, gdy okazało się, że ten może być przyczyną kolejnej wojny. Świat oszalał. Czy nie sądzisz?

- Masz rację. Prawdę mówiąc, odkąd sięgam pamięcią, Europa pogrążona jest

w wojnie. Ciągłe ktoś z kimś walczy.

- Najgorszy w tym wszystkim jest fakt, że nic nie wskazuje na to, by coś miało się w tym względzie zmienić. Wręcz przeciwnie. Czarno widzę nadchodzące lata.

Tym razem to Jermołow roześmiał się w głos.

- Przesadzasz mój drogi z tym czarnowidztwem. Widzę, że w tej chwili nie jesteś nastrojony do rozmowy o armii. Przejdź ci. Jestem o to spokojny. Zbyt wiele razy widziałem cię w działaniu, bym mógł wyobrazić sobie twoją osobę jako statecznego ziemianina i głowę rodziny.

- Obyś się mylił.

Jurkowski uniósł do góry wino. Gość uczynił to samo i przyjaciele przepili do siebie, wzajemnie życząc sobie powodzenia.

- Zostaniesz u mnie na noc? - zapytał gospodarz.

- Nie chciałbym zawracać ci głowy. Widzę przecież, że zbierasz się do drogi.

- Szczerze mówiąc jest już zbyt późno, by ruszać. Skoro już więc masz świadomość, że zawracasz mi głowę, zostań proszę. Powspominamy wspólnie spędzone chwile.

Noc upłynęła mężczyznom na wspomnieniach. Wydarzenia ostatnich miesięcy na nowo rozgrywały się w ich głowach. Potyczki, bitwy, marsze. Przyjaciele kolejny raz przeżywali marsz przez zimowy las pod Morałami. Krwawe starcie pod Pruską Iławą i uśmiechali się, wspominając rejteradę Jermołowa pod Lidzbarkiem.

- Widzisz – podsumował wreszcie dyskusję Jermołow – będziesz miał o czym opowiadać wnukom.

- Nie bredź, proszę cię – obruszył się Jurkowski. - Jeśli masz zamiar zdrzemnąć się choć odrobinę, pora ruszać do łóżek.

- Masz rację. Wspomnień czas się nie ima. Pora spać.

Gospodarz pożegnał przyjaciela skoro świt. Artylerzyście spieszyło się do swoich obowiązków, a Jurkowskiemu zależało, by wreszcie ruszyć ku damom swojego serca. Czekająca go przecież daleka droga. Więc mimo radości ze spotkania, z ulgą przyjął wiadomość, że przyjaciel nie zamierzał dłużej krępować go swoją obecnością. Bagaże były już przygotowane i pozostało jedynie zaprzęgać konie. Pułkownik zastanawiał się,

jaką formę podróży wybrać. Pierwotnie zdecydował się nawet na drogę morską, lecz wobec coraz bardziej realnego zagrożenia ze strony Anglików wołał nie ryzykować spotkania z wrogo nastawioną flotą i postanowił jechać kareta. Była to może bardziej uciążliwa forma podróży, lecz za to zdecydowanie bezpieczniejsza. Tak więc droga Anastazego prowadzić miała niemal dokładnie wzdłuż wybrzeża Morza Bałtyckiego i zapowiadało się kilka długich dni podróży. Przyzwyczajonego jednak do niewygód oficera absolutnie to nie przerażało.

Zbliżało się południe, gdy kareta z dwoma powożącymi i pasażerem w środku opuszczała Petersburg. Samotny podróżnik był pełen nadziei, że w drodze powrotnej będzie miał towarzystwo.

Pełnia lata obdarzała Jurkowskiego wspaniałymi widokami. Drogi, choć mało uczęszczane, to jednak znajdowały się w zupełnie przyzwoitym stanie. Konie rażno goniły przed siebie, a mężczyzna z ciekawością przyglądał się mijanym okolicom. Wszystko wskazywało na to, że lada moment rozpocznie się zniwowanie. Złote kłosa zbóż dostojnie chyliły się ku ziemi, zwiastując obfite zbiory. Okolice, przez które właśnie toczyła swe koła karoca nie zaznały wojny, więc nie wiedziały co to zniszczenia ot, choćby te, jakich w ostatnich tygodniach był świadkiem pułkownik. Mijane wioski, choć biedne, sprawiały wrażenie spokojnych i z nadzieją oczekujących najbliższych dni. Łąki zachęcały zapachem siana wygrzewającego się w promieniach słońca. Pierwszy raz w tym roku koszona trawa nie miała jeszcze okazji poznać się z deszczem i nic nie wskazywało na to, by przed zebraniem spotkanie to mogło dojść do skutku. Gospodarskie zwierzęta miały więc prawo oczekiwać wspaniałego smaku lata podczas długich zimowych wieczorów.

Podróżnik z radością chłonał wszystkie widoki i coraz bardziej upewniał się w słuszności podjętej decyzji o porzuceniu munduru.

- Jakże spokojne jest życie na wsi – rozmyślał. - Całkowita harmonia z przyrodą. Uporządkowany dzień. Zgoda z rytmem mijającego czasu. Wszystko tak inne od żołnierskiej codzienności.

Kurz unosił się spod kół. Wóz bujał się na resorach. Anastazy znużony oparł się o ścianę i zasnął.

Już drugi tydzień Jurkowski spędzał w podróży. Wyruszywszy z Petersburga, skierował się do Pskowa, gdzie miał do załatwienia kilka odwlekanych przez kolejne lata spraw. Potem odbił w kierunku Rygi. Tu odpoczął dzień by podążyć w stronę Królewca. W mieście także poświęcił dobę by ogarnąć się przed tak bliskim już celem swojej drogi.

Była druga połowa lipca. Pułkownik podążał przez okolice, które jeszcze kilka tygodni temu dostarczały mu tak wiele wrażeń. Zarówno militarnych jak i osobistych.



Przez cały czas podróży mężczyzna zastanawiał się jak zostanie przywitany przez rodzinę Dargiczów. Pamiętał co prawda ujmujące powitanie Jekateriny podczas ostatniej wizyty, lecz bał się, że mogło być ono jedynie chwilą słabości tej silnej przecież w gruncie rzeczy kobiety.

Minęła pora obiadowa, gdy karetka wjeżdżała w bramę ogrodu znanego dworku. Anastazy miał wrażenie, że otoczenie jest jeszcze piękniejsze niż w czasie jego wiosennych wizyt. Zamorskie krzewy ściągnięte i zasadzone w parku dopiero teraz olśniewały swoją wspaniałością.

Ku zdziwieniu przyjeźdnego, nikt nie wyszedł mu na powitanie.

- Czyżby moje panie zażywały poobiedniej drzemki? - przemknęło mu przez myśl.

Pułkownik wysiadł z powozu i skierował się do głównego wejścia. Dopiero teraz wyszła mu na przeciw służąca, którą już wcześniej widywał. Ta poznała go także i ukłoniła się z lekka.

- Panienki pojechały na konną przejażdżkę – zakomunikowała. - Pani wyszła do ogrodu.

Jurkowski podziękował za informację. Nakazał woźnicom, by poczekali na niego, a sam ruszył w poszukiwaniu gospodyni. Kiedy doszedł do stawu, zauważył, że przy brzegu pozostała jedna łódka.

Odczepił ją od pomostu i wszedł do środka. Ujął w dłonie wiosła i skierował się w kierunku wyspy. Już wiedział, że gospodyni przebywa w swojej samotni. Przybił do brzegu i ruszył w kierunku altany. Wijące się wzdłuż trejaża gałęzie przesłaniały widok z zewnątrz, obdarzając jednocześnie przebywającą w środku osobę ożywiającym chłodem. Mężczyzna po cichu zbliżył się do budowli. Ostrożnie zajrzał do środka i zobaczył Jekaterinę pogrążoną w lekturze. Kobieta nie zorientowała się, że jest obserwowana i całą swoją uwagę skupiała na stronicach trzymanej w dłoniach książki. Jurkowski przyglądał się gospodyni. Miał wrażenie, że czas się jej nie ima, a wręcz przeciwnie, jakby gospodyni lat ubywało. Przy okazji każdej wizyty odnajdował w niej coraz więcej piękna. Mimo targających nim w czasie podróży wątpliwości, teraz był pewien, że ma przed sobą kobietę swojego życia. Katarzyna, najwyraźniej znużona czytaniem, złożyła książkę i położyła ją na kolanach. Spojrzała przed siebie, chcąc przekonać się jaka jest pora dnia i dostrzegła przybysza. Zbladła. Podniosła się nagle, zrzucając książkę na ziemię. Stała niezdecydowana. Jurkowskiemu zdawało się, że ta zastanawia się, co robić, schylić się i podnieść zgubę, czy ruszyć i powitać gościa? Mężczyzna szybkim krokiem podszedł do kobiety. Podniósł lekturę i podał ją kobiecie.

- Jestem – tylko tyle potrafił w tej chwili z siebie wydobyć.

Dargiczowa wzięła książkę i w tej samej chwili wtuliła się w mężczyznę tak, jakby bała się, że to tylko zjawa, która lada moment rozplynie się w powietrzu.

- Jesteś – wyszeptała i grube jak groch łzy popłynęły jej po policzkach.

Anastazy odsunął ją od siebie i przyjrzał się z bliska. Potem ponownie przytulił do siebie, by wreszcie gorącymi pocałunkami usuwać łzy wciąż płynące po twarzy kobiety. Trwali tak złączeni ze sobą dłuższą chwilę i obdarowywali się wzajemnie miłością. Wreszcie Katarzyna zwróciła się do gościa.

- Czy widziałeś się z dziewczętami?

- Nie – odparł. - Gospodyni powiedziała mi, że pojechały na konną przejażdżkę.

- Tak, wiem. Myślałam, że może już wróciły. Nie mogę utrzymać ich w domu. Czasy są już spokojne, więc pozwalam im od czasu do czasu na dalsze wyprawy. Tak bardzo czekały na ciebie.

- Czy tylko one?

- Nie tylko – odparła kobieta, a głęboki rumieniec wybił jej na twarzy. - A ty?

- A ja? Przecież jestem. Obiecałem ci, że wrócę do ciebie tak szybko, jak to będzie możliwe.

- Zrezygnowałeś ze służby? Co z twoją karierą?

- Tymczasem zerwałem z armią. Zbyt wiele niepotrzebnych cierpień widziałem w czasie ostatniej kampanii.

- Czy będziesz w stanie żyć bez wojska?

- Mam nadzieję, że ty mi w tym pomożesz. Nie przyjechałem przecież do ciebie, by być ci ciężarem. Chcę dotrzymać obietnicy i zabrać was wszystkie do Petersburga. Jeśli nie na zawsze, to przynajmniej na jakiś czas.

- Naprawdę jesteś gotów aż tak się dla nas poświęcić?

- Ależ moja droga. Jak możesz wątpić w moje szczerze intencje? Już od pierwszego spotkania czułem, że będziesz dla mnie kimś więcej, niż tylko przypadkiem spotkaną kobietą.

Katarzyna spojrzała uważnie na Anastazego. Z jego oczu było takie przekonanie, że trudno było nie uwierzyć w szczerść wypowiedzianych przed chwilą słów.

- Zatem chodźmy. Dziewczęta zapewne wróciły, a jeśli nie, to będą lada moment.

Mężczyzna podał ramię, a kobieta wsunęła pod nie swoją rękę i tak podążali w kierunku wody. Podobnie jak podczas przedostatniej wizyty, tak i tym razem odbili od brzegu jedną łodzią, drugą pozostawiając tymczasem na wyspie.

Okazało się, że dziewczęta jeszcze nie wróciły z wycieczki. Anastazy wykorzystał więc okazję i nakazał woźnicom odprowadzić konie stajni. Gospodyni dopilnowała, by karetka także znalazła się pod dachem, a następnie zaprowadziła mężczyzn do niewielkiego pawilonu, który dawniej przeznaczony był na mieszkanie dla służby. Powożący z radością powitali fakt, że będą mogli mieszkać właściwie przez nikogo nie niepokojeni. Jedynie na posiłki mieli przychodzić do kuchni w głównym budynku. Jurkowski został zakwaterowany w tym samym pokoju, w którym przebywał podczas poprzednich wizyt.

Jekaterina pozostawiła gościa w pokoju, a sama zeszła na dół dopilnować przygotowania kolacji, która tym razem miała być spożywana wspólnie na cześć tak oczekiwanego gościa. Ledwie kobieta pojawiła się na dole, gdy do budynku wpadły obydwie córki.

- Mamusiu! - zawołała od progu Leopoldyna. - Cóż to za wierzchowce pojawiły się w naszej stajni?

- Czyżby ktoś wstąpił po drodze i szukał noclegu? - dodała Albertyna.

- Przede wszystkim chciałabym wiedzieć, dlaczego tak długo nie wracaliście do domu? - odpowiedziała matka. - Umawialiśmy się przecież, że nie będziecie oddalały się zbyt daleko.

- Ależ mamo – trąkotała Albertyna – przecież wiesz, że na trakcie jest już bezpiecznie. Pogoda jest dzisiaj tak piękna, że nawet wierzchowce z niechęcią dały się prowadzić do domu. Nie odpowiedziałam nam jednak na pytanie. Czyje konie stoją w boksach?

- Tak, macie rację. Katarzyna nie trzymała córek w niepewności.

- Ktoś zajechał do nas przed chwilą i zamierza dzisiaj spędzić u nas noc. Tymczasem wyznaczyłam mu pokój. Gość odświeży się i wspólnie zjemy kolację. Wy także idźcie i przygotujcie się do posiłku.

Dargiczówny wciąż niezaspokojone w swojej ciekawości ruszyły ku schodom i były w połowie piętra, gdy zza rogu wyłoniła się postać Jurkowskiego. Dziewczęta spojrzwały po sobie i jak na umówiony sygnał ruszyły z krzykiem ku przybyszowi. Anastazy przyzwyczajony do tak żywego okazywania uczuć przez młode panny czekał, aż te dobiegły do niego i przycisnął obie do siebie.

- A czegoż to panienki takie zdziwione? - roześmiał się. - Obiecałem przecież, że gdy tylko czas pozwoli, przyjadę. Oto jestem.

- Minęło już tyle tygodni – zawołała Leopoldyna. - Byłyśmy pewne, że o nas zapomniawsz.

- Ależ moje drogie. Jak mogłyście wątpić? Przecież Petersburg nie leży kilka godzin drogi stąd. Ponadto musiałem uporządkować wiele swoich spraw, zanim mogłem ruszyć w drogę.

- Masz rację - odparła Albertyna. - Lecz czas dłużył nam się tak bardzo, a ciekawość świata jest w nas tak wielka, że każdy dzień oczekiwania więcej wydawał się niczym kolejny rok.

- Ale teraz widzicie już, że Anastazy dotrzymał słowa - wtrąciła się gospodyni. - Idźcie więc wreszcie i przebierzcie się do kolacji, bo inaczej nie pozostanie mi nic innego, jak spożyć ją jedynie w towarzystwie naszego przemilego gościa.

- Ależ mamusiu! - zawołała młodsza z dziewcząt. - Chyba byłabyś bez serca. Jak możesz nawet o czymś takim pomyśleć. Już biegniemy i nie siadajcie do stołu zanim nie zjawimy się tu obie. Mamy do Anastazego tyle pytań.

- To mnie najbardziej niepokoi – odparła roześmiana matka. - Obawiam się, że kolacja będzie dzisiaj wyjątkowo długa.

Jurkowski przysłuchiwał się tej wymianie zdań i upewniał się w słuszności swojego przybycia do dworku. Z każdą chwilą coraz bardziej zakochał się w rodzinie Dargiczów.

Dziewczęta rzeczywiście musiały być bardzo ciekawe wieści ze świata, bo niebawem pojawiły się przy stole i cała rodzina w towarzystwie gościa zasiadła do posiłku. Anastazy zauważył, że gospodyni zdążyła ponownie zaopatrzyć spiżarnię po wojennych rekwizycjach, bo stół zastawiony był bardziej dostatnio niż w czasie jego ostatniej wizyty. Jekaterina zauważyła, że gość ocenia bogactwo stołu.

- Po zakończeniu działań wojennych w okolicy pojawiło się mnóstwo handlujących Żydów. Przeważnie z Litwy. Ceny co prawda mają wygórowane, lecz za to kupić można

u nich niemal wszystko.

- Jesteś skromna mateczko – powiedziała Albertyna. - Nie zdajesz sobie sprawy Anastazy, jak nasza mama potrafi się targować. Żyd aż jęczał, gdy rozładowywał wóz. Z tego co słyszałam, wnoszę, że nasza kochana mateczka zbiła ceny co najmniej o połowę.

- Och, przesadzasz moje dziecko – odparła matka. - Udało mi się co prawda nieco utargować, lecz zapewniam cię, że kupiec i tak sporo na nas zarobił.

- Byłem ciekaw, jak udaje się wam zdobywać zaopatrzenie – wtrącił się Jurkowski. - Sam przecież widziałem jak bardzo zostały zniszczone tereny, na których toczyły się walki. Miejscowej ludności nie oszczędzała żadna ze stron konfliktu. Cóż, takie są jednak prawa wojny.

Przy stole zapanowała cisza. Przez kilka minut wszyscy sycyli głód, lecz ciekawość młodych pańienek nie pozwalała im zbyt długo usiedzieć spokojnie.

- Kiedy od nas wyjeżdżałeś – odezwała się Leopoldyna – mówiłeś, że wycofujecie się, by w odpowiednim miejscu stawić nieprzyjacielowi czoła. - Słyszałam, że pod Frydlandem doszło do wielkiej bitwy. Jak to się stało, że Francuzi was pokonali?

- Widzisz moja droga, wojna to straszna rzecz i nie zawsze sprawiedliwa. Nie byliśmy wcale słabsi od armii Napoleona, lecz popełniliśmy tego dnia o kilka błędów więcej. Taka jest niestety prawda.

- Czy uważasz, że losy wojny mogły ułożyć się inaczej?

- Jestem o tym przekonany. Nasz żołnierz sprawował się bez zarzutu. Niestety, dowództwu zabrakło zdecydowania i konsekwencji w działaniu.

- Widzę, że mimo porażki jesteś bardzo pewny siebie.

- Masz rację moja droga, lecz moja pewność bierze się stąd, że na własne oczy miałem okazję przekonać się o odwadze prostych żołnierzy, a jednocześnie byłem świadkiem bezmyślności i niezdrowej rywalizacji dowodzących nimi oficerów. Dlatego w głębi serca jestem przekonany, że wcześniej czy później weźmiemy srogi rewanż.

- Więc jednak nadal myślisz o służbie w wojsku ?– wtrąciła się gospodyni.

- Na dzień dzisiejszy nie ma tego tematu, lecz kto wie, co przyniesie los?

Jekaterinę najwyraźniej zasmuciły słowa Anastazego, bo zamilkła, a jej spojrzenie

błądziło po stole i kobieta unikała wzroku gościa.

- Mam propozycję – Jurkowski przerwał ciszę, która zapadła po jego ostatnich słowach.

- - Przestańmy rozmawiać o wojnie. Tyle jej było ostatnio. Zajmijmy się czymś ciekawszym.

- Co zatem proponujesz?- odezwała się Albertyna.

- Jeśli nie macie nic przeciwko temu, chciałbym wreszcie zrewanżować się waszej matce i wygrać z nią w szachy. Nie miałem co prawda zbyt wiele wolnego czasu, lecz wzięłem kilka lekcji u pewnego mistrza w czasie mojego pobytu w Petersburgu. Chciałbym się przekonać, na ile skuteczne są jego wskazówki.

- W takim razie przejdźmy do sąsiedniego salonu – odrzekła gospodyni. - Nie spodziewaj się jednak, że będę gościnnie.

- O, o tym nawet nie śmiałem pomyśleć – uśmiechnął się Anastazy.

### III

W gierszowej kuchni, przy stole, siedziało czterech mężczyzn. Albert, Antoni, Maurycy i Stefan, który tego dnia przybył z Dobrego Miasta, by zgodnie z prośbą kowala rozplanować budowę domu dla mającej w najbliższym czasie wstąpić w związek małżeński młodej pary. Stary Giersz, gdy dowiedział się, że zostanie nie tylko ojcem lecz i dziadkiem, postanowił, że młodzi powinni niezwłocznie zacząć życie na własną odpowiedzialność. Co prawda dom kowala był na tyle obszerny, że bez problemu zmieściłyby się i dwie rodziny, lecz po ucieczce i długim pobycie poza Lidzbarkiem, Albertowi nie uśmiechało się życie u boku synowej. Choć cenił Agnieszkę i szanował kobietę za jej dobry wpływ na syna, to jednak pragnął stabilizacji i spokoju po ostatnich wydarzeniach.

Korzystając z faktu, że w kuźni godnie zastępował go Maurycy, Albert przemierzał wielokrotnie teren swojej zagrody. Mierzył, liczył i wreszcie doszedł do wniosku, że da się jeszcze wygospodarować kawałek działki w sam raz taki, by postawić na niej może niezbyt wielki, lecz wystarczający dla młodych dom. Co prawda obawiał się kowal czy dostanie odpowiednie pozwolenie od władz miejskich, bo dobrze pamiętał, że każda jego dotychczasowa prośba względem rozszerzenia posiadłości załatwiana była odmownie. Wiedział jednak dobrze, że to wszystko za sprawą dzikowej złości się działo i dlatego żył nadzieją, że po śmierci sąsiada już nic nie będzie mu stało na przeszkodzie, by uzyskać to, na czym mu w tej chwili tak bardzo zależało.

Kiedy więc mężczyźni wprowadzeni zostali w plany Alberta i z placu potencjalnej budowy przeszli do izby, kowal spojrzał na Stefana, oczekując potwierdzenia słuszności swoich racji.

Szwagier szykował się właśnie, by zabrać głos, gdy wymieniający dotąd jakieś znaki ze swoim przyszłym zięciem Antoni wszedł mu w słowo.

- A to widzicie swacie i ja, i Maurycy, no i Agnieszka przede wszystkim, bardzo jesteśmy ci wdzięczni za wasze staranie. Tak jednak sobie w czasie pracy w kuźni z Maurycym uradziliśmy, że nie może to być, żebyście na waszej działce młodym dom stawiali.

Stary Giersz zdziwił się mocno tym wystąpieniem i groźnie spojrzał na Banderskiego. Ten dostrzegł zdenerwowanie kowala, bo szybko pospieszył z wyjaśnieniami.

- Nie mówcie nic Albercie, jeno wysłuchajcie, co mam wam do powiedzenia. Co tu będziemy kryć, skoro o wspólne dobro nam idzie. Zagrodę macie nie za dużą. Rodzina wnet się wam powiększy. To samo czeka i Maurycego. Sama kuźnia wszystkich was nie wyżywi. Czas myśleć o rozbudowie interesu, a na to trzeba terenu. Tymczasem u mnie, po zmarłym Dziku, zostało kilka zabudowań dotąd niezagospodarowanych. Ot choćby pusta do dnia dzisiejszego stajnia. Porządna, z kamienną podmurówką. Więc tak sobie właśnie z zięciem pomyśleliśmy, że zamiast budować nowy budynek, wystarczy odpowiednio zająć się tą właśnie stajnią, by do mieszkania dla młodych ją przysposobić. Dla takiego majstra jak Stefan nie będzie to żadną trudnością, a i grosz na tym przyoszczędzony na rozbudowę kuźni czy też w innej materii przydać się może. Nie mówiąc już o czasie, na którym także młodym nie zbywa.

- Myśl niegłupia – mruknął Stefan. - Trzeba by rzucić okiem na oną stajnię.

Albert ciągle patrzył na Antoniego.

- Przez chwilę myślałem, że mi tu fochy jakieś stroić zaczynacie, lecz widzę, że dobrze macie w głowie poukładane swacie i cieszę się, że w taką rodzinę mój chłopak się wżeni. Macie rację. Jeśli taka wasza wola, przejdźmy się i zobaczmy, co trzeba zdziałać, by do odpowiedniego stanu budynek doprowadzić.

Kowal podniósł się i ruszył ku drzwiom, a za nim udali się pozostali mężczyźni. Przeszli przez furtkę oddzielającą obie zagrody i znaleźli się na ziemi Banderskich. Tej samej, która jeszcze kilka miesięcy wcześniej była własnością znieawidzonego Helmuta Dzika. Antoni szedł pierwszy i prowadził wprost do jednego z trzech gospodarskich budynków, gdzie niegdyś trzymane były konie. Budynek, choć niewykorzystany od długiego czasu, to jednak sprawiał dobre wrażenie. Przynajmniej z zewnątrz. Do wysokości pasa słusznego wzrostu człowieka zbudowany był z kamienia. Wyżej wypalaną cegłą wykończony. Dach był już nieco zniszczony co prawda, lecz nadający się do naprawy. Gospodarz otworzył wrota i zaprosił gości do środka. Stefan spojrzął na szwagra i pokiwał głową z aprobatą.

- Widać, że Helmut choć koni nie trzymał, to porządek w stajni starał się zachować. Mury wilgoci nie puszczają. Klepisko też dobrze utrzymane. Zrobimy piękną podłogę. Wybijemy kilka okien. Wygospodarujemy izby i gniazdo jak malowane. Na pewno taniej i szybciej.

Maurycy aż pokraśniał na twarzy. Widać, że pasowały mu wujowe słowa.

- Tedy co? - odezwał się Albert. - Pozostaje zabrać się do roboty. Wracajmy do stołu i rozplanujmy co i kiedy. Pora sposobna i czasu mało, by wnuk nam się miał gdzie bawić.



Cała czwórka ponownie zasiadła przy stole. Z twarzy Maurycego biło takie szczęście, że zerkającemu na syna Albertowi gorąco się zrobiło w okolicach serca.

- Sprawy urzędowe biorę na siebie – odezwał się Antoni.

- To i dobrze – rzekł kowal – bo choć nie spodziewałem się jakichś szczególnych problemów, to jednak mam nie najlepsze doświadczenia jeśli chodzi o nasze władze.

- Mnie się zdaje, że kiedy stary Helmut szczeł, nie będzie nam już nikt stał na przeszkodzie – dodał Maurycy.

- Obyśmy już nigdy nie musieli tak pozbywać się naszych problemów jak to z Dzikim wyszło – odparł Albert.

- W takim razie pozostaje nam jeszcze jedynie uzgodnić rozkład izb – odezwał się Stefan.

- W tej sprawie zdaję się na was, wuju – zwrócił się do niego młody Giersz.

- No cóż. Skoro tak, to uwinę się z projektem jak tylko szybko się da, a w międzyczasie postaram się o materiały do remontu. Wpadnę tu do was po niedzieli i mam nadzieję, że nie dalej jak w ciągu miesiąca ruszymy z robotą.

- Tak, żebyśmy do jesieni i pierwszych deszczów mogli z Agnieszką pójść na swoje – niemal krzyknął Maurycy.

- Patrzcie to, jaki spragniony swojego – zaśmiał się Albert. - A jeszcze zupełnie niedawno trzymał się matczynej spódnicy.

Chłopak spojrział na ojca i puścił takiego rumieńca, że pozostali mężczyźni wybuchnęli gromkim śmiechem.

- Ojcem niebawem zostanie, a buraki puszcza niczym niewinna panienska – zawołał Stefan.- No, ale mnie w drogę czas. Już tam na mnie Dorota czeka i Maciej.

- No właśnie, a jak tam chłopak sobie radzi? - zapytał stary Giersz.

- Rwie się do pomocy i choć nieraz jeszcze z bólu zasyczy, to trudno go utrzymać na miejscu. Młody jeszcze, to i rany goją się na nim jak na psie i ledwo mi się go przekonać udało, że droga do was jeszcze zbyt dla niego będzie nużąca.

- Tedy pozdrówcie go od nas serdecznie.

- Pozdrowię.

Stefan nie zwlekał już dłużej. Dosiadł wierzchowca i ruszył przez podwórze w stronę drogi wiodącej do Dobrego Miasta.

Antoni także podniósł się zza stołu.

- Sporo czasu zmitrężyliśmy – odezwał się do Maurycego. - Dnia jeszcze dużo przed nami. Pójdę, w kuźni żar zamieszam i nadrobimy to, cośmy na rozmowach stracili.

- Racja – poparł go młody Giersz. - Ja tylko z Agnieszką słowo zamienię i zaraz też do pracy przybywam.

Po czym pobiegł szybko do domu Banderskich, gdzie spodziewał się przyszłą żonę zastać.

- Myślicie Antoni, że zgodzą się młodzi i dadzą sobie radę w życiu? - zapytał kowal.

- Bądźcie spokojni Albercie – odparł Banderski. - Chłopak ma głowę na karku, a i mojej dziewczusze też nic nie brakuje. Grunt, żeby się razem trzymali. Ot, choćby jak wy z waszą kobietą się kochali, a będzie dobrze.

Nie odzywał się na te słowa gospodarz, bo nie wiedział. Serio swat mówi czy jakiś podtekst w swoich słowach zawarł.

- No, czas do roboty – przerwał milczenie Antoni. - Przyjdę po robocie, wieczorem, to jeszcze porozmawiamy przy piwie.

- Przyjdźcie, przyjdźcie – jakby ocknął się Albert. - Dni gorące ostatnio to i zimne piwo dobrze nam wszystkim robi.

Zmierzchało już, gdy do gierszowej zagrody zbliżał się Antoni. Albert akurat nalewał sobie piwa do kufla, kiedy zobaczył przez okno nadchodzącego sąsiada.

- Coś mi się widzi, że to jeszcze nie koniec niespodzianek na dzień dzisiejszy – mruknął pod nosem.

Kiedy Banderski wszedł do izby kuchennej, gospodarz nie dał po sobie poznać, że czegoś się domyśla, lecz zaprosił szerokim ruchem ręki gościa do stołu.

- Zapowiada się rześki wieczór – odparł jednak swat. - Może siądziemy na podwórzu.

- Czemu nie?

Mężczyźni wyszli przed dom i rozsiedli się na ławie. Przez kilka minut raczyli się chmielowym trunkiem.

- Przyszedłem do was Albercie, bo chciałem zasięgnąć rady i złożyć jednocześnie propozycję – przerwał milczenie Antoni.

- Słucham – odrzekł nie bez zainteresowania kowal.

- Jak dobrze wiecie – zaczął Banderski - po ostatniej wojnie kiepsko w okolicy z żywnością.

- Szczerze mówiąc, aż tak bardzo nie narzekam.

- Ale za to na rynku płacicie grube pieniądze za marny woreczek kaszy.

- Co prawda, to prawda. Do czego jednak zmierzacie?

- Wiem, że handlarze, którzy tak z nas zdzierają, jeżdżą po towar aż na Litwę, której wojna tak nie dotknęła. Kupują tam towar za psie pieniądze, żeby potem z wielokrotnym zyskiem sprzedać go na naszych targowiskach.

Giersz zaczął z uwagą przysłuchiwać się gościowi, bo czuł, że ten ma coś ważnego do powiedzenia.

- Idzie mi o to – kontynuował Antoni – żeby zebrać grosza i samemu ruszyć za towarem. Gdybyśmy tak pojechali we dwa chociaż wozy, to zainwestowany grosz zwróciłby się nam wielokrotnie. Robota w kuźni specjalnie nas teraz nie goni. Jest okazja zarobić, a przy okazji pomóc młodym w zdobyciu grosza.

- Samiście to wpadli na taki pomysł?

- A jakże. Po kolejnych żalach, jakie wylała mi moja Zofia po powrocie z targu.

- Muszę przyznać, że zaskoczyliście mnie swoją propozycją. Rzecz naprawdę godna zastanowienia. Tym bardziej, że jak mówicie, w kuźni faktycznie mały zastój.

- Tedy jak będzie?

- Trzeba dogadać szczegóły. Kupić byle co i stracić na tym można łatwo. Musimy pomyśleć, co przyniosłoby nam zysk największy, a najmniejsze ryzyko. Tak czy inaczej,

myślę, że po niedzieli możemy ruszać.

- I ja tak myślę. W sześć dni powinniśmy obrócić, a przez ten czas nasze kobiety dadzą sobie radę same.

- Kiedy już tak myślicie o młodych, to miałbym jeszcze i ja do was prośbę – zagał Albert.

- Mówcie śmiało swacie. Przecież żeśmy już prawie rodzina.

- Chciałbym do interesu wkręcić jeszcze Stefana. Pomógł mi, gdy przed Dzikim uciekać musiałem. U nich, tam w Dobrym Mieście, głód znacznie większy niż u nas. A i zniszczenia znaczniejsze. Niechby się trochę odkuł szwagier.

- Jeśli tylko o to wam chodzi, to nie mam nic przeciwko.

- A więc mamy kilka dni na dopracowanie szczegółów. Pojadę do szwagra i nakreślę mu, o czym tu dzisiaj mówiliśmy. Jestem pewien, że będzie chciał skorzystać z nadarzającej się okazji.

- Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia Albercie. Pójdę już, bo późna pora się robi.

- Ja za to po mieście jutro pochodzę i rozeznam się, jaki towar najlepiej na rynku schodzi. Grunt to dobre rozpoznanie, jak powiadał cesarz Francuzów.

Kowal długo nie mógł usnąć. Agata za to zasnęła zaraz po tym, jak położyła się do łóżka. Cięża dawała się jej we znaki coraz bardziej, a upalne dni potęgowały zmęczenie. Mężczyzna delikatnie zsunął rękę kobiety ze swojego ciała. Podniósł się i ruszył w kierunku dzbana. Woda, choć ciepła, ugasiła pragnienie. Albert myślał nad propozycją Banderskiego.

- To prawda – dumął - handlarze zdzierają na rynku ile mogą. Ludzie zaś nie mają wyjścia i płacą. Ceny na targu osiągnęły tak niebotyczne kwoty, że nawet oferując towar po dużo niższych stawkach, można sporo zarobić. Aż dziw, że sam dotąd nie wpadłem na podobny pomysł. Chyba tylko dlatego, że dochody z kuźni pozwalały zaopatrywać się w produkty pierwszej potrzeby bez szczególnego uszczerbku. Trochę talarów zostało także z nagród za służbę dla Francuzów. Nie ma co, trzeba jutro jechać do Stefana i przegadać sprawę. Niech sobie szwagier odbije za straty, jakich doznał od wojennej zawieruchy.

Albert wrócił do łóżka i delikatnie, tak by nie obudzić małżonki, położył się obok niej. Wydarzenia ostatniego dnia dawały znać o sobie i mężczyzna natychmiast zasnął.

Obudził go hałas rozlegający się z kuchennej izby. To Maurycy szykował się do pracy. Kował także nie myślał się wylegiwać, tylko ubrał się szybko.

- Radźcie sobie dzisiaj beze mnie – zagadnął do syna. - Ja muszę wybrać się do Stefana.

- Do wuja? Przecież dopiero co był u nas. Stało się co?

- Nie, mam małe plany. Zresztą pewnie i ty wiesz o co chodzi, bo ostatnio więcej z Antonim rozmawiasz jak ze mną.

Maurycy nie usłyszał ojcowskiej przygany albo też nie chciał dać po sobie poznać, że jest wtajemniczony w zamiary Banderskiego.

- Yhm – mruknął tylko i wyszedł z domu.

Stary Giersz pokręcił się chwilę po izbie. Mimo czekającej go drogi jakoś nie miał ochoty na posiłek. Agata wciąż spała i kował nie mógł się zdecydować, czy jechać od razu, czy też poczekać aż żona się przebudzi. Kobieta potrzebowała coraz więcej odpoczynku i małżonek nie chciał jej zrywać z łóżka.

Wyszedł z domu i ruszył ku oborze. Przygotował wierzchowca do drogi. Wyprowadził go na podwórze i przywiązał do płotu. Wszedł do domu. Gospodyni właśnie wchodziła do kuchni.

- A gdzie to cię nosi od rana? - zapytała.

- Widzisz, tak się złożyło, że trzeba mi jechać do Dobrego Miasta.

- Toż dopiero co brat mój był przecież u nas.

Agata spojrzała badawczo na męża.

- Stało się co?

- Oj tam, zaraz stało się – obruszył się Albert. - Antoni myśl podał jak parę groszy zarobić i chcę ze Stefanem pogadać.

- Mało ci talarów?

- Kiedy idzie o to, żeby i brat twój na tym skorzystał.

- Ba. Wiadomo, że im tam na groszu nie zbywa. Tylko czy to aby bezpieczna sprawa? Nie narażaj się niepotrzebnie, żebyś znowu na poniewierkę nie musiał uciekać.

- Mój ty niewierny Tomaszu. Kiedy już tak naciskasz, to tyle ci powiem, że idzie o uczciwy interes. Ot, chcemy jechać na Litwę i kupiony tam towar na miejscu za odpowiednią cenę sprzedać.

- Uważasz, że będzie na tym zarobek?

- Kobieto! Nie widzisz co się dzieje na rynku? Zdziercy nie mają dla ludzi litości. Biorą za kartofla niczym za złoto.

- A ty będziesz się nad ludźmi litował? To nie zarobisz grosza.

- Tak sobie myślałem, że jeśli ceny na Litwie są takie jak u nas przed wojną, to biorąc jedną trzecią tego, co teraz chcą na rynku i tak dobrze na tym wyjdę.

- Skoro tak uważasz, jedź, bo widzę, że już na miejscu nie możesz usiedzieć.

- Chyba jest w tym trochę racji moja droga. Zanadto przywykłem do ruchu na tej wojnie i ciężko mi teraz przywyknąć do siedzenia w jednym miejscu.

- Jadłeś coś przynajmniej?

- Jakoś nie miałem ochoty. Wezmę parę sucharów i przegryzę w drodze. Chciałbym wrócić jeszcze dzisiaj, a słońce już wysoko na niebie.

- Ale dzień jeszcze długi. Zdążysz.

- Tedy ruszam, a ty czekaj na mnie i nie przesadzaj z pracą.

- Jedź, jedź. Tylko wracaj szybko. Co ja mam z tobą, nieboga. Włóczęga w krew ci wlażą. A może tym masz tam kogo po drodze i tylko czarujesz mnie Stefanem?

Albert podszedł do żony i pocałował ją na pożegnanie.

- Gdzie mi miłości szukać na stare lata i która mi lepiej w łóżku dogodzi?

Domowy fartuch wylądował na plecach mężczyzny. Ten szybkim krokiem, niby ze strachu przed kobietą, wyszedł przed dom. Odczepił wierzchowca od płotu, dosiadł go i ruszył w stronę Dobrego Miasta.

Koń zwawo podązał przed siebie. Ranek był rzeński, choć zapowiadał kolejny

upalny dzień. Albert z ciekawością rozglądał się dookoła. Aż wierzyć się nie chciało, że jeszcze kilka tygodni wcześniej tereny, przez które podążał, ogarnięte były pożogą wojenną. Upływający czas działał jednak na korzyść ziemi i jej mieszkańców. Ludzie starali się jak najszybciej usunąć skutki pobytu wojsk. Po obozach, w których spędzali zimę żołnierze obu walczących stron nie było już śladu. Niestety, w mijanych wioskach wciąż nie odbudowano wszystkich budynków. Co prawda widać było cieśli obrabiających drzewo na nowe domy, lecz kowal wiedział, że odbudowa zniszczeń wymaga czasu. Pola uprawne także dopominały się swoich praw. Spustoszone przez wiosenne działania nie dawały plonów. Czekają na siew, a ten wymagał ziarna, którego nie było.

- Ciężka zima czeka naszą Warmię – westchnął jeździec.

Tymczasem w oddali zamajaczyła już wieża dobromiejskiej kolegiaty. Jeszcze kilkanaście minut i Albert zajechał w tak dobrze mu znane podwórze. Stefan właśnie krzątał się po placu i zdziwił się wielce, widząc wjeżdżającego szwagra. Podszedł szybkim krokiem do kowala.

- Stało się co? - zapytał przestraszony.

- A co się miało stać? - odparł stary Giersz. - Przyjechałem w interesach, a właściwie to ciebie do interesu namówić.

- A toście mnie zaciekawili szwagrze. Dajcie wierzchowcowi odsapnąć i zachodźcie do izby.

Albert podprowadził zwierzę do cienia i przywiązał do przeznaczonej do tego celu poprzeczki. Poluzował siodło i ruszył w kierunku stefanowej chałupy.

Mężczyźni siedli przy stole w kuchennej izbie.

- Tedy co was do mnie sprowadza? - odezwał się zaciekawiony gospodarz.

- A może dałbyś mi najpierw czym gardło przepłukać? Ciepło już i całkiem mi w gębie zaschło.

- A jakże – odparł zawstydzony Stefan, stawiając przed gościem kubek i dzbanek ze schłodzonym zsiadłym mlekiem.

Giersz nalał sobie do naczynia i wychylił duszkiem. Otarł usta dłonią.

- Wieczorem, kiedyście od nas pojechali – zaczął – przyszedł do mnie Banderski i złożył mi propozycję. Przemyślałem sprawę i doszedłem do wniosku, że rzecz jest warta zachodu. Pomyślałem także, żeby i was do onego pomysłu namówić i dlatego jestem.

Stefanowi aż oczka się małe zrobiły, tak go ciekawość paliła.

- Cóż więc to za propozycja?

- Wiecie sami dobrze, jak nas obie armie wszelkiego dobra pozbawiły.

- Wiem, wiem – mruknął gospodarz jeszcze bardziej niecierpliwy, bo nijak nie mógł rozszyfrować, z czym do niego szwagier przybywa.

- Wiecie jak na rynku za byle co ogromnych pieniędzy żądają?

- Wiem, wiem – odezwał się poirytowany Stefan.

- Przyszedł więc do mnie Banderski i powiada, żeby samemu jechać na Litwę i towaru kupić, aby potem go na miejscu z zyskiem sprzedać.

Gospodarz wreszcie zrozumiał, o co chodzi kowalowi.

- Cóż – odparł – pomysł nie jest zły, tylko kapitału do niego trzeba. Jaką jednak widzicie dla mnie w tym rolę?

- Chciałbym, żebyście pojechali z nami. Pojedzie Antoni, Maurycy, ja. Każdy z wozem. Możecie i wy skorzystać z okazji i zarobić grosza.

- Chcecie mnie nająć za woźnicę?

- Anim o tym pomyślał – oburzył się stary Giersz. - Proponuję zdrowy układ. Każdy lokuje własny kapitał i zarabia na sobie sam.

- Tedy nici z tego, bo ja groszem nie śmierdę.

- Słuchajcie Stefanie. Pomogliście mi nie raz i nie dwa, gdy w biedzie byłem. Teraz czas na rewanż. Trochę grosza mam. Pożyczę, a jak spieniężycie towar, oddacie co trzeba, a reszta dla was zostanie.

- Ale czy to wypada, żebym wam w kieszeni siedział? Nie widzi mi się.

- Tedy potraktujecie talary jako zaliczkę na konto roboty przy Maurycego chałupie.

- Pocziwe macie serce szwagrze. Skoro tak mówicie, niech będzie. Pojadę. Kiedy zamierzacie ruszać?



- Po niedzieli. Przyjdźcie do nas w niedzielę. Przenocujecie, a z samego rana ruszymy.

W tej chwili przed domem rozległ się hałas i do izby weszli Dorota z Maciejem.

Po gospodyni nie było już zupełnie widać ani choroby, ani też cierpień spowodowanych ciężką raną Macieja i niepewnością z tym związaną. Chłopak też wyglądał nadspodziewanie dobrze, choć bladość cery zdradzała, że jeszcze niezupełnie doszedł do siebie.

Albert podszedł do Doroty i przywitał się grzecznie cmokając ją w rękę. Potem zwrócił się w stronę Korvetty.

- Widzę synu, że rany goją się na tobie jak na psie. Szybko wygrzebałeś się z nieszczęścia i kostucha pewnie bardzo rozpacza, że taki kąsek wywinął się jej spod kosa.

Maciej roześmiał się w głos.

- Ano, jak widzicie wuju. Widocznie jeszcze nie czas na mnie. Co prawda słabym jeszcze i trochę mi brakuje do pełni sił, ale z każdym dniem czuję się lepiej. Dość już miałem leżenia i widzę, że ruch lepiej mi robi niż pościel. Da Bóg, niebawem nawiedzę was w Lidzbarku, bo cknę mi się za Maurycym i rad bym go zobaczyć, by powspominać wojenne czasy.

- Jeszcze ci wojny mało? Nie wystarczy ci tego, co się wycierpiałeś, smyku?

- Nie powiem. Życie w biegu przypadło mi do serca. Szczególnie rajdy w towarzystwie Maurycego.

- A to widzisz, zupełnie inaczej jest w przypadku mojego chłopaka. Ten też rwał się do wojaczki, lecz tyle napatrzył się cierpienia, że teraz już nawet i nie wspomni o mundurze. Dobrze mu w domu przy boku Agnieszki. Zresztą i wyjścia już nie ma innego. Pewnie to wiesz, że dzieciaka zmajstrował dziewczynie i teraz o utrzymaniu rodziny mu myśleć, a nie o wojaczce.

- Tak to marnują się największe talenty. Przez spódniczkę.

- Patrzcie go, jaki to mądrała. Przyjdzie czas, że i ty polecisz za taką. Ani się obejrzyysz kiedy.

- Chyba nieprędko wuju. Ja świata ciekawy i przygód, a gdzie o przygodę łatwiej jak w wojsku? Jeszcze tylko do pełni sił dojść pragnę, a potem poszukam szczęścia.

Dlatego Maurycego chciałem o pomoc prosić. On u onego Słubickiego wielkim szacunkiem się cieszy i gdyby tak za mną chciał się wstawić, to kto wie?

- Słubicki akurat był u nas przejazdem. Tymczasem pojechał do swoich stron rodzinnych. Też ma dość wojaczki i postanowił rozmyślić się, co do dalszego swojego żywota.

- To mam pecha, ale czas mnie nie goni. Przyjdzie pora, to za mundurem się jeszcze rozejrzę. Tymczasem ile się da, pomogę moim dobroczyńcom, by odwdzińczyć się za wszystko dobre co mnie z ich strony spotkało.

- No dobrze już, dobrze - wtrąciła się Dorota. - Starczy na dzisiaj tych planów. Dopiero do zdrowia dochodzisz, a już guza szukasz.

- Tak go do świata goni, jakby tu u nas mało mu roboty było – dodał Stefan.

- Tak to już z tymi młodymi jest – rzekł Albert. - Zresztą my to niby inni byliśmy? Przypomnijcie sobie oboje. Młoda krew to i gorąca. Szuka wrażeń. Przyjdzie pora, to i opamiętanie nadejdzie, a wtedy i wy będziecie mieli z chłopaka pociechę.

Giersz podszedł do szwagra.

- Na mnie już czas. To co? Widzimy się w najbliższą niedzielę?

Dorota spojrzała pytająco na męża.

- Odprowadzę szwagra i wszystko ci wyjaśnię – zwrócił się do niej małżonek.

Mężczyźni wyszli przed dom. Albert dosiadł wierzchowca.

- Bywajcie Stefanie – rzekł. - Nie martwcie się. Za to jak mi pomogliście, wdzięczność się wam należy. Jest okazja, by trochę się odkuć po wojnie, to trzeba ją wykorzystać. W siedem, no dziesięć dni obrócimy, a jak towar sprzedamy, to mi się wypłacicie.

- Przyjadę Albercie, przyjadę. Wdzięcznym wam, że tak o nas myślicie. Macie rację, czas teraz ciężki i grosz każdy się przyda, bo zima trudna nas czeka a i na wiosnę też co do siania mieć trzeba. Bywajcie.

Kowal nie zwlekał już dłużej. Skierował wierzchowca ku bramie i ruszył w kierunku Lidzbarka, by dotrzeć do celu nim noc zapadnie.



## IV

Mijał właśnie siódmy dzień odkąd kolumna pięciu wozów wyjechała z Lidzbarka Warmińskiego. Kiedy ostatniej niedzieli przed domem Gierszów zaskrzypiała brama, gospodarze nawet specjalnie nie wyglądali kto przybywa, bo dobrze przecież wiedzieli kogo się spodziewać. Tym większe było ich zdziwienie, gdy w podwórku dostrzegli nie jeden, a dwa wozy. Okazało się, że Stefan solidnie przygotował się do podróży i postanowił wykorzystać nadarzącą się okazję do zarobku tak bardzo, jak tylko to było możliwe. Jeszcze tego samego dnia, kiedy Albert złożył mu nieoczekiwaną propozycję, w Dobrym Mieście doszło do narady. Dorota wespół z mężem i Maciejem doszli do wniosku, że najlepszym wyjściem na szybką sprzedaż towaru, jaki spodziewali się przywieźć, będzie zebranie zamówień wśród znajomych. Jako, że ludzi znali wielu, a sami z kolei znani byli z uczciwości, już na drugi dzień mieli zapotrzebowanie nie na jeden, a dwa wozy. Doszło nawet do tego, że musieli odmówić tym, którzy zbyt późno dowiedzieli się o możliwości nabycia płodów rolnych taniej, niż miało to miejsce na rynku. Maciej, choć jeszcze słaby, to jednak potrafił przekonać swoich opiekunów, że droga mu nie zaszkodzi. Tak więc do Lidzbarka Stefan wyruszył w dwa wozy i do tego zaopatrzonego w sporą ilość gotówki, jaką zebrał w postaci zaliczek od przyszłych nabywców. Stary Giersz aż klasnął w dłonie gdy dowiedział się jak szwagier sobie poradził. Nie dość, że nie musiał pożyczać gotówki, to jeszcze zapewnił sobie zbyt towaru, którego przecież jeszcze nie posiadał. Co prawda nie było żadnego ryzyka, by ten nie wywiązał się ze zobowiązań, bo wygłodzeni sąsiedzi nie mieli wybujanych żądań. Wszyscy myśleli jednakowo – chcieli głównie ziemniaków i kaszy. Co niektórzy także trochę zboża na jesienne siewy. Zlecenia, jakie zebrane zostały w Dobrym Mieście pokrywały się także z planami Alberta, który przez kilka ostatnich dni obserwował handel na lidzbarskim rynku. Tu także największe wzięcie miały artykuły pierwszej potrzeby. Nie było w tym nic dziwnego, skoro stacjonujące przez ostatnie miesiące w okolicach wojska ogołociły je z żywności.

W niedzielny wieczór nie obyło się bez wspomnień przy kuflu z piwem, jednak już wczesnym poniedziałkowym rankiem pięć zaprzęgów opuściło Lidzbark, kierując się szlakiem, którym jeszcze nie tak dawno podążała napoleońska armia. Stary Giersz patrzył spod oka na Banderskiego, czy ten nie ma aby pretensji na dodatkowy wóz szwagra. Antoni jednak nie wydawał się zmartwiony konkurencją, a może po prostu nie dawał tego po sobie poznać.

Przez Bartoszyce, Pruską Iławę i Frydland dotarli aż w okolice litewskich Kiejdan. Tutaj działania wojenne nie dotarły i podróżnicy pełni nadziei przystąpili do targów z miejscową ludnością. Mężczyźni płacili gotówką, więc nie trzeba było długo czekać, by

wozy zostały wypełnione po brzegi towarem, na którym przybyszom najbardziej zależało. Po zasłużonej nocy w karczmie, handlowcy ruszyli w drogę powrotną. Ta zapowiadała się na nieco dłuższą, gdyż konie obciążone znacznym ładunkiem potrzebowały więcej odpoczynku. Albert nie zapomniał o swojej Agacie i wiózł jej piękne, kolorowe chusty. Za to Maurycy stał się posiadaczem dwóch kóz, spodziewając się, że te zaspokoją potrzeby oczekiwanego potomka. Stefan zaś i Antoni postanowili skorzystać z okazji i zakupić nieco ptactwa, które miało dać początek nowej hodowli. Wszyscy wracali zadowoleni. Na noclegi zatrzymywali się w polu. Ustawiali wozy niczym mury chroniące ich wewnątrz. Bardziej dla spokoju sumienia niż z potrzeby, pełnili na przemian warty, mając oko na to, co z takim zyskiem zamierzali spieniężyć w rodzinnych stronach.

Wreszcie, w dwunastym dniu podróży, dotarli do zagrody Gierszów. Stefan z Maciejem, który dzielnie znosił trudy jazdy, odpoczęli nieco i rozpoczęli ostatni etap. Albert, Maurycy i Antoni wspólnie zajęli się wyładowywaniem wozów. Agata i Agnieszka, choć chętne do pomocy, szybko zostały przegonione przez mężczyzn, którzy martwiąc się o ich formę, nie zwracali uwagi na głośnie kobiece utyskiwania i protesty. Te uległy wreszcie, lecz wiedząc, że podróżnicy przez ostatnie dni żywili się głównie suchym prowiantem, przygotowały zasłużoną kolację. Wreszcie wszyscy razem, Gierszowie i Banderscy mogli zasiąść przy stole. Pytaniom a opowieściom nie było końca i słońce zaczynało kolejną wędrówkę, gdy wszyscy zmęczeni położyli się na spoczynek.

Albert zdążył jeszcze wręczyć żonie przywiezione chusty i gdy ta przymierzała je szczęśliwa, w izbie rozległo się donośne chrapanie.

Sprzedaż towaru, zgodnie z przypuszczeniami zresztą, nie sprawiła problemu. Zarobek zaś był tak pokaźny, że Antoni z Maurycym postanowili jeszcze raz ruszyć utartym szlakiem. To samo najwidoczniej chodziło po głowie Stefanowi, bo ten już trzy dni później zawitał do Gierszów.

Wyjazd na Litwę okazał się tak dochodowy, że wobec chwilowo mniejszego natłoku zajęć w kuźni, mężczyźni postanowili powtórzyć wyjazd. Ostatecznie wyszło na to, że w ciągu sierpnia wyruszyli po towar jeszcze trzy razy. Po każdej z wypraw osiągając sowite procenty z zainwestowanych środków własnych.

Podczas jednej z takich wędrówek, gdy mężczyźni z pełnymi towaru wozami wracali do domów, na drodze od strony Bartoszy, pojawiła się obszerna karoca. Jadący na przedzie kolumny Stefan nakazał pozostałym, by zjechali z drogi i zrobili miejsce jadącemu z naprzeciwka. Albert posłusznie zjechał na bok i z ciekawością przyglądał się powozowi. Na koźle siedziało dwóch starszych mężczyzn, którzy powozili parą dobrze zadbanych koni. To wprawne oko kowala wyłapało od razu. Giersz dostrzegł także, jak z okien karocy wychylają się ciekawskie, dziewczęce głowy. Raptem coś wstrząsnęło mężczyzną. Zdało mu się, że przez moment jego wzrok skrzyżował się z surowym spojrzeniem postaci z wnętrza przejeżdżającego zaprzęgu. Sylwetka pasażera wydała się

dziwnie znajoma. Nagły błysk rozświetlił pamięć Alberta.

- To rosyjski pułkownik – wyrwało mu się z ust. - Skąd on tutaj? - zapytał sam siebie. - E, chyba zdawało mi się.

Kowal jeszcze raz dokładnie przyjrzał się karocy, lecz ta minęła go niebawem i na drodze pozostał tylko tuman wznieconego przez koła kurzu. Przez kilka kolejnych dni twarz pułkownika nie dawała mężczyźnie spokoju. Wreszcie zmęczenie dopadło handlowców, a i Maurycy coraz bardziej niepokoił się, że nowy biznes nie pozwoli Stefanowi wywiązać się z obietnicy i młodzi nadal pozostaną bez własnego kąta.

Wuj zauważył chyba obawy młodego Giersza, bo kiedy kolejny raz żegnali się po udanej wyprawie, zaczepił chłopaka.

- Teraz odsapnę po podróży i zaczynamy prace przy twoim domu. Agnieszka zaokrągliła się już znacząco i tylko patrzeć potomka. Czas przyszykować gniazdo na nowego Giersza.

Maurycemu gęba aż pokraśniała z zadowolenia i z tej radości, niewiele myśląc, przyskoczył do Stefana, cmokając go w rękę.

- No – obruszył się wuj. - Obiecałem przecież i słowa zamierzam dotrzymać. Będziesz miał chatę jak malowaną.

Nie minęły cztery dni, gdy prace ruszyły. W obawie przed deszczami remont rozpoczęto od dachu. Albert, chcąc odciążyć syna, który bez reszty poświęcił się pracy przy tak wyczekiwanyemu domu, sam znowu złapał za młot. Zdziwił się tylko, że siły go jakoś opuściły, bo przez ten czas, gdy przy kuźni rządził Antoni z Maurycym, ręce odzwyczyły się od ciężkiej pracy. Wyszło więc na to, że po pierwszym dniu dłonie miał pokryte taką ilością pęcherzy, że nie mógł w nich utrzymać narzędzi. Tak wielki ból odczuwał. Wnet jednak z pomocą przyszła Agata, a właściwie okłady, które mężowi stosowała z sobie tylko znanych ziół. Bąble wnet zniknęły, a i krzepa wróciła jak za dawnych czasów. Antoni kolejny raz znajdował uznanie w oczach swata, bo starał się pomóc nie tylko Albertowi, ale i przy remontowych pracach też Stefana wspierał. Zofia Banderska wyręczała Agatę przy kuchni i dogadzała podniebieniom mężczyzn jak tylko mogła. Gierszowa za to coraz bardziej oswajała się z myślą o nieuchronnie zbliżającym się porodzie.

Tak więc i w kuźni, i przy remoncie prace szły pełną parą. Szczęśliwie pogoda sprzyjała, więc nie minęły trzy tygodnie, gdy do wykończenia pozostały już tylko wnętrza przyszłego domu. Choć dzień stawał się coraz krótszy, to Maurycy z nadzieją patrzył na postępujące prace i coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że wszystko będzie gotowe na czas.

Ostatnie dni września, choć pochmurne i deszczowe, dla młodego Giersza okazały się najszcześniejszym czasem życia. Wreszcie wszyscy razem – Gierszowie, Banderscy i Stefan przede wszystkim, mogli wejść do wykończonego gniazda. Podziwom i okrzykom zachwytu nie było końca.

- Teraz ja zapraszam wszystkich do siebie – zawołał głośno Antoni. - Nie może to być, żeby takie święto nie zostało odpowiednio uczczone.

- Ja też cieszę się bardzo – rzekł Stefan. - Ani myślałem, że tak sprawnie nam pójdzie. Mając jednak takich pomocników, nie mogło skończyć się inaczej. Pora mi wracać do Doroty, bo ta wreszcie za innym chłopem się rozejrzy.

- Już tam Maciej ma na nią baczenie – zaśmiał się Albert.

- Pewnie i ma – odparł Stefan - ale i mnie cknę się za domem. Jak to powiadają, wszędzie dobrze...

- Ale w domu najlepiej – dokończył Maurycy.

- Czyżby wam moja kuchnia nie smakowała, Stefanie? - niby to obruszyła się Zofia.

- A gdzież tam. Kołdun mi urósł tylko, tak żeście mnie rozpieszczali.

Rozmowy trwały do późnej nocy i tylko Maurycy z Agnieszką, nie mogąc się z własnego kąta nacieszyć, zostawili wszystkich u Banderskich, a sami zniknęli w swoim już domu.

Jesień raczyła Warmię najpiękniejszymi wdziękami. Drzewa mieniły się kolorami, a słońce kończyło swoją wędrówkę coraz wcześniej. Pierwsze mgły tuliły się do ziemi, przygotowując ją na chłodniejsze czasy.

Albert z niepokojem obserwował małżonkę. Agata lada dzień spodziewała się porodu i w głębi duszy czekała na ten moment z niecierpliwością. Życie stawało się dla niej coraz trudniejsze. Męczyła się szybko, a nogi puchły i bolały ją tak, że nieraz długie godziny musiała spędzać w łóżku. Kował w czym tylko mógł wyręczał kobietę, lecz tej nie było to na rękę. Gospodyni nie lubiła, gdy ktoś zajmował się, jak to ona mawiała, babskimi sprawami. Miała poczucie winy, że staje się ciężarem dla i tak zapracowanego męża. Bo też i dużo czasu Albert spędzał ostatnimi czasy w kuźni. Jesień sprzyjała zamówieniom. Rozpoczęły się prace polowe i kto tylko mógł szykował ziemię do zimy lub siewu ozimych zbóż. Po trudnych, niemal głodowych miesiącach, powoli docierała pomoc od władz pruskich i ludzie zaczynali z optymizmem patrzeć w przyszłość. Tak więc i zleceń w kuźni przybywało. Antoni dawał z siebie wszystko, lecz obaj Gierszowie mieli na karku żony przy nadziei. O ile Agata starała się nie pokazywać po sobie słabości, o tyle Agnieszka źle znosiła ciężę i bywało, że Maurycy zamiast w kuźni, musiał więcej czasu spędzać przy żonie. Młody Giersz wciąż nie mógł przywyknąć do faktu, że jest już mężem wybranki swojego serca. Kiedy jednak ku swej wielkiej radości mógł wprowadzić się do własnego domu, nie zwlekał ni chwili i poprowadził Agnieszkę do ołtarza. Ślub był skromny, bo i nie wypadało szastać groszem, który bardziej był potrzebny do urządzenia rodzinnego gniazda. Rozumieli to wszyscy i młodzi, i ich rodzice. Tak więc ciężar dbania o warsztat pracy spoczywał w dużej mierze na barkach Antoniego. Albert wdzięczny mu był za to, że bez szemrania znosił drobne niedogodności związane z częstą niedyspozycją któregoś z Gierszów, a raczej ich żon. Banderski za to cieszył się, że choć w ten sposób może się odwdzińczyć za wszystko, co go dobrego od sąsiada, a teraz swata spotkało.

Październik zbliżał się ku końcowi. Kował wpadł na chwilę z kuźni do chaty, by coś przekąsić, gdy Agata przywołała małżonka z kuchennej izby i kategorycznym tonem nakazała mu, by przyprowadził Zofię. Albertowi pot wybił na czole i nogi się pod nim ugięły. Tyle czasu czekał na ten moment, a i tak przejął się bardzo. Nie zwlekał ni chwili, tylko popędził do sąsiada. Banderska nie kazała na siebie czekać. Zaleciała po drodze do Agnieszki, która tego dnia czuła się lepiej i nakazała jej iść ze sobą. Stary Giersz grzecznie podązał za kobietami i już miał wejść do domu, gdy drzwi trzasnęły mu przed nosem o mały włos nie nabijając mężczyźnie guza. Przesłanie było na tyle czytelne, że kował postanowił pozostać na podwórku.



Nie musiał czekać długo, albo też tak mu się zdawało, bo z nerwów biegał od domu do kuźni, nie bardzo wiedząc, co z sobą począć. Krzyk noworodka oznajmił przybycie na świat kolejnego przedstawiciela rodziny Gierszów. Kwadrans później drzwi otworzyły się i wyrzła przez nie Banderska.

- Chodźcie Albercie – zawołała. - Już wszystko dobrze.

Mężczyzna wszedł do budynku i przez kuchnię ruszył do sąsiedniej izby. Dookoła panował jeszcze nieład. W łóżku leżała blada Agata, a u jej boku spoczywało małe zawiniątko. Kobieta spojrzała z radością na męża.

- Tak jak sobie wymarzyłeś – rzekła cichym głosem. - Masz córkę.

Albert jeszcze nie do końca rozumiał, co się wydarzyło, tak był tym wszystkim przejęty. Przyjrzał się ponownie zawiniątku w łóżku i dopiero teraz spostrzegł czerwonego od wysiłku niemowlaka.

- To...mamy córkę? - wymamrotał.

- Macie – odparła zadowolona z siebie Banderska. - Teraz niech Agata odpocznie, bo straciła sporo sił przy porodzie. Przyjdę za jakiś czas sprawdzić, czy wszystko w porządku.

- Niech wam Bóg wynagrodzi, Zofio – odezwał się kowal.

Giersz pochylił się nad żoną i czule pocałował ją w czoło, po czym wraz z Agnieszką i Zofią opuścił izbę.

Albert nie mógł znaleźć sobie miejsca. Chodził z kąta w kąt, a duma z narodzin kolejnego dziecka przeplatała się z niepokojem, czy starczy mu sił i czasu, by wychować córkę.

- Najlepsze lata mam już za sobą – myślał. - Maurycy sam zaraz ojcem zostanie, a tu masz los. Od nowa przywyknąć trzeba do nocnego płaczu. Czy wystarczy mi cierpliwości?

Kowal wszedł do domu i zajrzał do izby, w której zostawił żonę z niemowlakiem. Oboje pogrążeni byli w głębokim śnie. Mężczyzna wyszedł na podwórko i przysiadł na ławce. Oddał się rozmyśleniom i wyrwała go z nich dopiero sąsiadka, która zmierzała sprawdzić, jak się miewa młoda matka.

- A cóż to tak dumacie Albercie? - zapytała.

- Ot, takie mnie myśli nachodzą, czy podołam – odparł. - Lat mi przybywa, cierpliwości ubywa.

- Widzę, że na słabość się wam zebrało. To normalne. Po tylu latach przyszło nowe. Kto jednak ma sobie lepiej poradzić, jak nie wy? Chłopak udał się wam nad podziw to i z dziewczyną sobie dacie radę.

- Chcecie mnie na duchu podtrzymać, czy prawdę mówicie? - Giersz spojrział na sąsiadkę pytająco.

- Prawdę mówię, bo zdążyłam was poznać przez ten czas odkąd sąsiadami jesteśmy. Porządny z was człowiek Albercie i nie maźcie się już, tylko weźcie się w garść.

Banderska zostawiła kowala samego i weszła do domu. Albert podniósł się z ławki. Rozejrzał się dookoła, jakby spodziewał się zobaczyć coś, co potwierdziłoby słowa sąsiadki. Nie widząc nic jednak, westchnął ciężko i podążył za Zofią.

## VI

Jurkowski już drugi tydzień przebywał we dworku Dargiczów. Kiedy wyruszył z Petersburga, obiecywał sobie, że bez zwłoki wróci do Rosji w towarzystwie wdowy i jej córek. Nie dotrzymał jednak danego sobie słowa. Czas w towarzystwie tak matki, jak i dziewcząt, upływał mu niesłychanie szybko i choć już wiele dni minęło, Anastazy czuł się tak, jakby dopiero przekroczył bramę majątku. Leopoldyna i Klaudyna nie pozwalały swojemu gościowi nawet na chwilę nudy. Absorbowały go w takim stopniu, że mężczyzna miał często wyrzuty sumienia, że tak mało czasu poświęca Jekaterinie. Ta jednak nie protestowała, chcąc najwyraźniej, by dziewczęta mogły nareszcie wyszaleć się do woli i nacieszyć obecnością tak bardzo wyczekiwanego gościa.

Wreszcie jednak Jurkowski doszedł do wniosku, że nadchodzi właściwy moment, by wywiązać się ze złożonej w czasie wojny obietnicy.

Cała czwórka spożywała obiad. Anastazy zastanawiał się, jak zacząć temat. Spojrzał na towarzyszące mu damy.

- Bardzo dobrze jest mi tu u was moje drogie... – zaczął.

Gospodyni spojrzała na niego zaniepokojona takim wstępem.

- Bardzo dobrze jest mi tu u was moje drogie, lecz czas pomyśleć o drodze powrotnej.

Zarówno jedna, jak i druga Dargiczówna spuściły wzrok w oczekiwaniu na smutne nowiny. Jurkowski dostrzegł, że wzbudził niepokój.

- Skąd takie poważne miny, moje drogie?

- Dopiero co raczyłeś nas odwiedzić, a już chcesz wracać? - Odezwała się Leopoldyna.

- Widzę, że absolutnie się nie rozumiemy – odparł. - Owszem, chcę wracać, lecz nie sam oczywiście. Przyjechałem przecież wywiązać się z danego niegdyś słowa i zabrać was ze sobą do Petersburga.

Wszystkie trzy kobiety spojrzały po sobie.

- Naprawdę chciałbyś nas zabrać ze sobą? - zapytała Klaudyna. - A ty? Co sądzisz o tym mateczko?

Jeketerina wpatrywała się w gościa.

- Wiem, że to jest wasze marzenie – zwróciła się do dziewcząt - lecz nie chciałabym sprawiać Anastazemu kłopotów.

- Jak możesz coś takiego mówić? – obruszył się Jurkowski. - Nigdy nie traktowałem waszego towarzystwa jako uciążliwego. Wprost przeciwnie. Często dziwię się, jak wspaniale potraficie wpływać na moją osobę. Poza tym wasza obecność w moim domu będzie dla mnie wielkim zaszczytem.

Dziewczęta spoglądały to na matkę, to znowu na Anastazego, ciekawe, co wyniknie z rozmowy. Gospodyni zaś zamilkła i wyglądało to tak, jakby walczyła sama ze sobą. Naraz powiodła spojrzeniem po zebranych.

- No dobrze. Jeśli rzeczywiście nie będziemy ciężarem, zgadzam się. Pora wyjrzeć wreszcie poza granice naszego siedliska.

Dargiczówny zerwały się z krzesel i z piskiem rzuciły się w kierunku Jekateriny.

- Spokojnie moje drogie. Nie tak szybko. Nie będzie nas w domu dłuższy czas i dlatego należy sumiennie przygotować się do podróży. Ponadto zostawiamy dworek na głowie naszej skromnej służby. Trzeba zrobić wszystko, by nie obciążyć pozostających na miejscu zbyt wieloma obowiązkami.

- Czyli doszliśmy do porozumienia – rzekł wyraźnie zadowolony Jurkowski. - Jak myślisz moja droga, ile czasu zabiorą wam przygotowania do wyjazdu?

- Myślę, że nie mniej niż siedem dni – odparła gospodyni.

- Zatem służę ci pomocą i nie krępuj się o nią prosić, jeśli tylko mogę być użyteczny.

Kolejne dni upływały więc na przygotowaniach do podróży. Jekaterina starała się przewidzieć wszelkie zdarzenia, które mogą mieć miejsce w czasie jej nieobecności i przygotować na nie dworek. Ściągnęła w tym celu nawet znajomego z sąsiedniej wsi, który jeszcze w czasach, gdy żył jej mąż, pomagał w gospodarstwie. Wyznaczyła zadania jemu i mieszkającej na stałe w majątku służącej. Wreszcie po kilku dniach wyglądało na to, że wszystko zostało dopięte na ostatni guzik. Wyjazd zaplanowano za dwa dni, czyli dokładnie w siedem dni po rozmowie przy stole. Leopoldyna i Klaudyna nie posiadały się z radości, bo dla nich ostatnie doby ciągnęły się niemiłosiernie.

Dzień przed wyjazdem Anastazy wspólnie z powożącymi wystawił przed dom stojący dotąd pod dachem powóz i kolejny raz przejrzał go starannie. Nie znalazł jednak nic, co mogłoby przeszkodzić w podróży.

- No, moje panny – odezwał się do obserwujących go dziewcząt – wypijcie się dobrze, bo w drodze nie zawsze będzie to możliwe. Czas nas co prawda nie goni, ale chcę możliwie szybko dotrzeć do celu. W Petersburgu chłody przychodzą szybciej, a mamy przecież tyle do zobaczenia.

Wreszcie wczesnym rankiem powóz z czterema osobami w środku opuścił siedzibę Dargiczów.

Droga do miasta zbudowanego przez cara Piotra upłynęła podróżnikom bez większych przygód. Podczas gdy dziewczęta zajęły miejsca przy oknach i podziwiały mijane krajobrazy, Anastazy toczył rozmowy z Jekateriną, która choć w głębi serca także cieszyła się, że Jurkowski dotrzymał słowa, to jednak fakt pozostawienia dworku wciąż nie dawał jej spokoju. Pułkownikowi radowała się dusza, gdy widział jak szczęśliwe są młode Dargiczówny. Czuł głęboką satysfakcję, że może im wynagrodzić lata samotności.

Podróżnicy właśnie przejeżdżali przez tereny litewskie, gdy miejsca ustąpiła im kolumna wozów. Jurkowski niby od niechcienia objął wzrokiem podróżników. W pewnej chwili wyraz zaskoczenia odmalował się na jego twarzy. Mężczyzna dałby głowę, że twarz jednego z woźniców jest mu dobrze znana. Zastanawiał się odtąd, gdzie mógł spotkać tego człowieka. Instykt podpowiadał mu, że nie były to miłe okoliczności. Mimo wysiłków, wciąż jednak nie mógł skojarzyć sobie faktów związanych z tajemniczą postacią.

## VII

Albert już od dłuższego czasu wiódł cichą rozmowę z Bogiem. Wydarzenia ostatnich dni spowodowały, że po długiej nieobecności ponownie zjawił się w lidzbarskim kościele. W nabożnym skupieniu dziękował Stwórcy za wszystkie łaski, jakie spotkały go zupełnie niedawno. Tak więc wymieniał kolejno szczęśliwe zakończenie wygnania wraz z ujściem przed Dzikową zemstą. Nie zapomniał także o przeżyciach wojennej zawieruchy oraz, co najważniejsze wydawało się kowalowi, że łzami w oczach błogosławił Ojcu za córkę, którą ten go obdarzył.

Pogrążony w modlitwie Giersz nie słyszał stuku butów, który rozdarł ciszę panującą dotąd w świątyni. Wzdrygnął się, bo niespodziewanie poczuł na ramieniu obcą dłoń. Zerwał się na nogi i spojrzał przed siebie. Dostrzegł duchownego, siwiejącego już mężczyznę grubo po sześćdziesiątce. Twarz księdza wydała mu się dziwnie znajoma.

- Wszelki duch Pana Boga chwali. Toż to Albert Giersz we własnej osobie – zwrócił się ten do wystraszonego kowala.

- Proboszcz Cichowski – wyrwało się Gierszowi.

- Ten sam, mój Albercie. Dochodziły mnie słuchy, że przepadłeś po kłótni z sąsiadem swoim, Dzikim. Małżonki twojej, Agaty, też już od dawna nie widziałem. Mów co się z tobą działo mój drogi. Szmata czasu, szmata czasu...

- O wybaczenie proszę, bo zgrzeszyłem wielce i w kościele dawno nie byłem, choć od Boga się nie odwróciłem. Takie koleje losu niestety. Życie okrutnie się z Gierszami obeszło, gdy biskup Krasicki na zawsze z grodu wyjechał. Ojciec mój ze zgrzyoty do ziemi poszedł.

- Wiem, wiem. Zaczyna to być chrześcijanin – przerwał proboszcz – ale opowiadaj.

- Ściałem się z sąsiadem Helmutem i uciekać musiałem, bo ten więzieniem mi groził, a że z władzami żył dobrze, tak i wyjścia innego nie było, tylko ucieczka. Gdzie byłem, co robiłem? Długo by opowiadać. Bóg jednak odwrócił zły los i wreszcie mogłem do małżonki mej wrócić.

- Więc widzę, że przyszedłeś podziękować Panu za dobre sprawy zakończenie?

- Tak, ojczy Janie. Choć i inna sprawa do ołtarza mnie przywiodła.

- Cóż to za sprawa mój drogi?

- Zostałem ojcem po raz kolejny. Tym razem córka na świat szczęśliwie przyszła i chciałbym ją ochrzcić najszybciej jak to możliwe.

Duchowny spojrzał na kowala.

- Gratuluję mój Albercie. To szczęście wielkie cię spotkało. Kiedy więc planujesz tę świętą chwilę?

- Jeśli łaska, za dwie, trzy niedziele. Niech tylko odetchnie trochę Agata po ciężkim porodzie.

- Racja, zdrowie matki równie ważne jak chrzest. Jak się czuje małżonka?

- Lepiej ojcie, lepiej, choć obawę wielką miałem, bo to przecież już nie młódka.

- Pamiętam Agatę i jej sprawne rączki, które piękne serwety i koronki wyrabiały.

- Żona też ojca często wspomina..., ale, to zapraszam szczerze i z całego serca do naszej chaty. Choćby i dzisiaj.

- Przyjdę mój drogi, przyjdę i chętnie wysłucham twojej historii, bo ciekawy jestem jak ci się na wygnaniu wiodło. Ja tu przez czas długi żyłem w przekonaniu, że cię nie zobaczę więcej. Wszak niemłody już jestem i czas mój powoli się zbliża...

- Tedy czekamy z Agatą.

- Przyjdę, nie dzisiaj jeszcze, ale jutro postaram się. Przyjdę.

Proboszcz znak krzyża nad Albertem zakreslił i stuk butów ponownie wypełnił świątynię.

Kowal przeżegnał się, skłonił w stronę głównego ołtarza i szczęśliwy z niespodziewanego spotkania ruszył ku wyjściu.

Mężczyzna zadowolony wracał do domu. Przypadkowe spotkanie z proboszczem rozwiązało problem chrztu nowo narodzonego dziecka. Jan Nepomucen Franciszek Cichowski, bo tak nazywał się duchowny, był przyjacielem rodziny jeszcze za życia ojca Alberta. Zażyłość nie była może zbyt wielka, lecz zarówno ksiądz jak i Gierszowie mogli liczyć na siebie nawzajem. Co prawda po śmierci seniora rodu ich stosunki nieco się ochłodziły, lecz wynikało to z powodów niezawinionych zarówno przez jednych, jak

i drugiego. Wydarzenia następowały po sobie z taką szybkością, że dopiero przypadek ponownie skrzyżował drogi bliskich sobie ludzi.

- Szczęście ponownie mi sprzyja – dumął kowal.

Nagle niesamowita myśl przeleciała mu przez głowę.

- Jakżeby to pięknie było, gdybym mógł ochrzcić swoje maleństwo w pilnickim kościółku. To przecież tak bliska naszej rodzinie świątynia. Tyle serca Gierszowie włożyli w jej budowę i wyposażenie. Nie ma dwóch słów. Kiedy tylko proboszcz dotrzyma obietnicy i odwiedzi moją chałupę, zwrócę się do niego z propozycją. Ani chybi nie odmówi, bo i co mógłby mieć przeciw.

Tak rozmyślając, Albert zbliżał się do swojej zagrody.

Agata z trudem dochodziła do siebie po porodzie. Nieocenioną pomocą służyła jej tymczasem Zofia Banderska, a i Agnieszka także robiła co mogła, by ulżyć teściowej, choć sama już odliczała dni do narodzin swojego dziecka. Giersz pilnował, by żona nie wstawiała z łóżka, bo ta na przekór słabości koniecznie chciała pokazać, że nie jest z nią tak źle, jak wszyscy dookoła uważają. Dlatego niejedną już raz doszło między małżonkami do scysji, choć i jedno, i drugie miało na uwadze dobro ukochanej osoby.

Zofia właśnie przewijała maleństwo. Młoda matka z miłością spoglądała na bezbronną, tak oczekiwaną istotę. Albert podszedł do łóżka i pogłaskał kobietę po czole.

- Nie uwierzcie moje drogie – zwrócił się do obecnych – kogo spotkałem dzisiaj w kościele.

Zarówno Banderska jak i Agata z zainteresowaniem spojrzały na gospodarza.

- Samego proboszcza Jana Cichowskiego – ten dokończył, nie czekając na pytanie.

- Nie może to być – odezwała się gospodyni. - Tyle to już czasu minęło, gdy ostatni raz byłam u niego z koronkami. Jakże mu się wiedzie? Czy zdrowy?

- Zdrowy moje słońce, zdrowy i zdziwisz się niebawem, bo zapowiedział się z wizytą. Słyszał o moim zatargu z Dzikim i o ucieczce mojej wiedział. Mówił mi, że był nawet przekonany, że pożegnałem się z życiem i dlatego bardzo ucieszył go mój widok. Nie było jak porozmawiać w kościele, a że ksiądz od zawsze znany był z ciekawości, rad byłby usłyszeć o tym, co w świecie widziałem. Zaprosiłem go więc do nas, a ten bynajmniej, nie odmówił, lecz ucieszył się bardzo. Obiecał, że nie dalej jak za dzień do nas zawita.



- Olaboga, a ja tu tak w pościeli...

- A ta już znowu ze swoim wyjeżdża – nie dał małżonce kowal dokończyć.

- Nie martw się moja droga – włączyła się do rozmowy Zofia. - Proboszcz swój człowiek. Jeszcze w poprzednim miejscu zamieszkania bywał i naszym gościem. Wielkim szacunkiem darzył go mój Antoni, bo ksiądz zawsze radą służył, a jak już co doradził, to tak, że i lepiej nie było można.

- Prawdę mówisz – przytaknął Albert. - Nam też ile mógł, tyle pomógł, a że i jemu coraz trudniej było po tym, jak Prusacy szarogęsić się tu zaczęli, tak i każdy sobą zająć się musiał i kontakty dotąd częste, jakoś się urwały. Aż wstyd, że tyle czasu nie przyszło mi do głowy, by tak cnotliwego człowieka odwiedzić. Spełniło się powiedzenie o górze, co to do niej Mahomet nie przyszedł. Będzie okazja i o chrzcinach pogadać.

- Żeby tylko wreszcie z tej pościeli wylazła...

- Droga moja... - Giersz spojrzął groźnie na żonę. Potem na Zofię oczy zwrócił i wszyscy jak na komendę parsknęli śmiechem.

- No tak. - Pierwsza uspokoiła się Agata. - O chrzcie już gadamy, a tak po prawdzie, to nawet imienia dla naszego dzieciątka nie wybraliśmy jeszcze.

- O, to właśnie – rzekł gospodarz. - Ale to mówiłaś mi już wcześniej przecież.

- Mówiłam, mówiłam. Pamiętasz jak twój ojciec opowiadał o królu polskim, co to tak swoją żonę kochał, że i świata poza nią nie widział.

- Pamiętam droga moja. To o Janie, pogromcy półksiężyca spod Wiednia tak wspominał. Żona jego Marysieńka na imię miała.

- O, o. Właśnie to imię tak mi do gustu przypadło. Niechże i nasza dziewczyna miłości takiej w życiu zazna.

- Toż dopiero o chrzcie mówimy, a ty już tak daleko w przyszłość wybiegasz – zwrócił się do małżonki mężczyzna.

- Czas pędzi, że choć nie wiem jak bardzo byś chciał, tak i nie dogonisz. Dopiero my tacy młodzi byliśmy, a tu patrz. Dziadkami zaraz będziemy.

- Ale i rodzicami młodymi przecież – wtrąciła się Banderska.

- Ma rację jak zwykle Agata. - Giersz podrapał się po głowie. - Dopiero co z ojcem

moim o wielkiej Polsce rozmawialiśmy, a tu ani Polski, ani ojca na świecie nie masz i to od wielu już lat.

Duchowny dotrzymał słowa. Albert właśnie wchodził do chaty, gdy za płotem dostrzegł znajomą postać. Słońce jeszcze żwawo świeciło na horyzoncie i kowal mógł dokładnie przyjrzeć się nadchodzącemu mężczyźnie. Proboszcz Cichowski dźwigał już siódmy krzyżyk, lecz jak na swój wiek, trzymał się wyjątkowo dobrze. Głowę co prawda pokrywała już siwizna, ale szybki chód i wyprostowana sylwetka świadczyły o dobrej formie. Gospodarz doszedł do wniosku, że czas, który minął od chwili, gdy się ostatnio widzieli, nie licząc oczywiście spotkania sprzed kilkudziesięciu godzin, niemal nie odcisnął na gościu swojego piętna. Ksiądz także dostrzegł kowala i przyspieszył kroku. Giersz ruszył ku bramie i uchylił przed nadchodzącym furtkę.

- Pochwalony, mój Albercie – proboszcz wyciągnął dłoń na powitanie.

- Na wieki wieków. To szczęście ponownie widzieć ojca w naszych progach – odezwał się gospodarz.

- Obiecałem, że Was odwiedzę, a że jak wiesz, ciekawość nie jest mi obca, więc jestem. Mam nadzieję, że dotrzymasz danego słowa i przybliżysz mi nieco swoje przygody.

Kowal uśmiechnął się do siebie.

- Oto i cały proboszcz Cichowski. Ten sam poczciwy, ciekawski duchowny.

Głośno jednak zwrócił się do gościa.

- Dzień już co prawda niezbyt długi, lecz czasu mamy sporo. Przyjdzie i na opowiadanie pora. Tymczasem zapraszam do środka.

Duchowny wszedł do chaty i ruszył przed siebie.

- Zapraszam do izby po prawej – skierował gościa gospodarz. - Agata słabuje jeszcze, lecz nie może się księdza doczekać.

Mężczyźni weszli do pomieszczenia. W łóżku, przykryta zmienioną specjalnie na odwiedziny księdza pościelą, spoczywała młoda matka. Tuż obok niej, w drewnianej kołysce spała córeczka. Proboszcz podszedł do Agaty i przywitał się z nią, kreśląc gospodyni krzyż na czole. Potem podszedł do nowo narodzonego dziecka i uczynił podobnie. Agata aż trzęsa się cała z przejęcia, że wstać wciąż nie może i zakrzętać się przy duchownym.

- Jak się czujesz moja droga? – odezwał się Cichowski, siadając na wskazanym przez Alberta krześle.

- Już dobrze, ojczy, tylko mój małżonek ciągle mi z łóżka wstawać zabrania.

Kowal groźnie spojrział na żonę.

- Ta już do roboty by się wyrywała, a przecież dopiero co ciężki poród ma za sobą. Nie może zrozumieć nieboga, że to dla jej dobra tak koło niej wszyscy chodzimy.

Duchowny uśmiechnął się z lekka.

- Czas jest najlepszym lekarstwem moja droga. Musisz dbać o siebie. Masz przecież nowy obowiązek względem dziecka. Ale zaraz... – proboszcz spojrział na Giersza. A gdzie Maurycy, bo chyba nie stało mu się co złego?

Spojrzenie Agaty skrzyżowało się z mężowskim i kobiecie rumieniec wyskoczył na twarzy.

- Bogu dzięki, chłopak zdrów i cały, choć też włożył się ze mną po świecie. Przyjdzie pora i o nim słowo zamienić, lecz teraz nich ksiądz nam o sobie opowie. Szmata czasu minął gdyśmy się ostatnio widzieli.

- Cóż ja mogę o sobie powiedzieć – zaczął Cichowski. - Jak i wcześniej, tak i teraz Panu naszemu służę, a ten przychylnym okiem chyba na mnie spogląda, bo narzekać nie mogę. Widząc te krzywdy, które zawierucha wojenna ludziom przyniosła, dziękuję Bogu, że oszczędził i mnie, i nasz kościół. Lat co prawda przybywa i słabszy już człowiek niż jeszcze kilka zim temu, lecz normalna to rzecz. Każdy ma swój czas. Gdy młodość wygasa, siła ubywa i przychodzi ten dzień, gdy zrobić trzeba miejsce młodym, odchodząc do domu Ojca. No, ale to ja przyszedłem dowiedzieć się o waszych dziejach, a nie na odwrót. Powiadajcie więc, co u was słyhać.

Albert spojrział na żonę i westchnął ciężko.

- Tylko od czego tu zacząć?

- Najlepiej od początku mój drogi. Od początku do końca niczego nie tając, jak dawniejszymi czasami bywało.

Kowal przysiadł przy łóżku. Pieszcząc dłoń Agaty westchnął raz jeszcze i zaczął swoją opowieść.

- Kiedy to właściwie mieliśmy okazję ostatni raz się spotkać? - zwrócił się do sam

do siebie. - Było to chyba zaraz po pogrzebie mojego biednego ojca. Szmata czasu.

- Ano szmata mój drogi i aż nieładnie, że ty, Polak i chrześcijanin tak dalece się od Boga oddaliłeś.

- Od Boga nigdy głowy nie odwróciłem – obruszył się kowal. – To on raczej zapomniał o naszej małej krainie. Tyle nieszczęścia spłynęło na nas w ostatnim czasie.

- A może zasłużyliśmy na nie sami?

- Sami? A czy to po sprawiedliwemu stosować odpowiedzialność zbiorową i po chrześcijańsku? No, ale nie o tym przecież miałem mówić. Historię mojego konfliktu z Dzikim ojciec zna?

- Znam co nieco ze słyszenia. Wiem też, że przy wkroczeniu Francuzów zginął z czyjejs ręki.

- Więc nie będę się powtarzał. Powiem tylko tyle, że ciągnęło mnie z poniewierki do kobiety, lecz nadziei coraz mniej miałem na odmianę losu, gdy wieść gruchnęła o Francuzach, którzy w pościgu za Prusakami zapuścili się aż na nasze ziemie. Ruszyłem tedy z Maurycym i zaoferowałem swoje usługi, licząc na szybki rozwój wypadków. Tyle się nasłuchałem o Napoleonie[1].

- Więc i ty uwierzyłeś, że cesarz Francuzów chce przywrócić nam wolność?

- Całym sercem. Tym bardziej, że od Polaków o tym wszakże słyszałem.

- Wszystko to tylko polityka mój drogi..., no ale kontynuuj swą opowieść.

- Usługi moje zostały przyjęte. Gdzie byłem, co widziałem i co przeżyłem? Długo by opowiadać. Dość powiem, że samego cesarza osobiście i z bliska widział, a nawet miałem sposobność z nim rozmawiać. Także samo i z marszałkiem Neyem, który w Dobrym Mieście stacjonował, czy też z jeszcze bardziej sławnym Muratem, którego, nie chwając się, lecz pod Lidzbarkiem z niemałej opresji wybawiłem. Byłem pod Pruską Hławą. Biłem się pod Dobrym Miastem i samym naszym grodem. Za sprawą Polaków w służbie cara o mało życia nie straciłem i gdyby nie mój Maurycy z sąsiadem Banderskim, który po Dzikim zajął zagrodę, nie rozmawialibyśmy dzisiaj. Tyle mam z tego, że grosza nieco zarobiłem i pamiątek kilka po wielkim Napoleonie w domu chowam. Polski jak nie było, tak nie ma, a ja wyleczyłem się już z polityki jak to ojciec mówicie. Wróciłem do domu i mam nadzieję spokojnej starości dożyć w otoczeniu rodziny.

- No i ojcem zostałeś ponownie, a o starości mi tu bajasz.

- Ale i dziadkiem niebawem też będę – wyrzucił z siebie kowal.

- Jak to dziadkiem? - niemal wykrzyknął zaskoczony Cichowski. - Czyżby Maurycy?

- A Maurycy, Maurycy. Któż by inny, wszak jego dotąd tylko miałem.

- To dlatego mówić o nim nie chciałeś. A to niecnota. Gdzie on teraz?

- U siebie ojciec. Z pomieszczenia gospodarskiego po Dziku wystroiliśmy mu piękną chałupkę.

- To bez ślubu z kobietą żyje?

- Ależ broń Boże. Ślub był. Skromny, bo ważniejsze potrzeby były.

- Tak więc tym większe mam do ciebie pretensję, że tyle czasu zwlekałeś z wizytą u mnie w kościele. Choć przyznam ci się, że po ostatnich wydarzeniach jeździłem wiele i czas jakiś w Lidzbarku mnie nie było. To powiadasz, że dziadkiem zostaniesz? Szykują się więc dwa chrzty, a nie jeden?

- O tym właśnie chcieliśmy z ojcem porozmawiać. Agata słaba jeszcze...

- Oj tam słaba... – próbowała protestować gospodyni.

- Agata słaba jeszcze – kontynuował kowal. - Tak sobie umyśliłem, żeby na wnuka poczekać i razem święto wyprawić.

- Słusznie prawisz – przytaknął proboszcz. A jakie to imię wybraliście dla swojej pociechy?

- No właśnie, tak sobie upodobałam imię ukochanej króla polskiego – zaczęła kobieta.

- Którego?

- Tego, co Turka pogonił.

- A - uśmiechnął się duchowny. - Marysieńka. Dlaczego akurat ona?

- Bo on ją tak pięknie kochał.

- Prawda, kochał, lecz czy ona sama tej miłości warta była, tego nie jestem pewien. Cóż, wasze dziecko, wasza wola. Niech będzie Marysieńka.

- Agata rozpromieniała na twarzy ze szczęścia.

W tej chwili rozległ się hałas, drzwi od chaty otwarły się i do środka wszedł Maurycy. Na widok duchownego u wezłowania matki stanął wystraszony.

- Co wam, matulu? - zawołał. - Źle wam?

- Wręcz przeciwne synku. Wręcz przeciwnie. O ważnych tu sprawach mówimy z proboszczem Cichowskim, który już przed wielu laty bliski był naszej rodzinie. Jakże ty możesz jednak o tym pamiętać?

- Chwała Bogu – odetchnął chłopak z ulgą. - Już się bałem, że niemoc przyszła na matulę.

- A więc to ten hultaj, którego ja, gdy ten malcem był, na kolanach bawiłem, a teraz widzę kawał chłopca przed sobą.

- Ten sam zapewne, choć jak mówi matula, dawne to czasy. Coś tam pamiętam jak przez mgłę, lecz twarz czas zatarł w mej pamięci.

- Dawne dzieje mój Maurycy. Mam tylko nadzieję, żeś przez te lata nie zmienił się zbyt wiele i podobnie jak wówczas przynajmniej pacierz zmówić potrafisz.

- Jakżeby inaczej – oburzył się chłopak.

- To mnie cieszy i Bóg zapewne łaskawym okiem na ciebie z nieba spogląda. Jak miewa się twoja małżonka? Bo jak słyszę, niebawem ojcem zostaniesz.

- Ciężko znosi Katarzyna swój błogosławiony stan, lecz rozwiązanie już blisko i w Panu pokładam nadzieję, że ułoży się jak najlepiej.

- Słuszne słowa. Tylko Pan nasz wie, jakie losy i które drogi każdemu pisane.

- Ojciec Janie – odezwał się Albert.

- Słucham cię mój drogi.

- Z wielką prośbą i wprost nie śmiem zapytać.

- Śmiało mój drogi, śmiało.

- Kiedy po ostatnim naszym spotkaniu wracałem do chaty, nasza mnie nagła myśl, by chrzciny naszej Marysi i Maurycego potomka odbyły się w kościółku, który tak bliski jest rodowi Gierszów.

Ksiądz Cichowski uśmiechnął się.

- Masz na myśli pilnicki kościółek.

- A jakże.

- Świątynia nieco na uboczu i raczej nieuczęszczana ostatnimi czasy. Sam wiesz, niepokoję, wojna. Wybierałem się zlustrować stan kościoła.

- W czasie działań wojennych, gdy zmierzałem do Dobrego Miasta, zajechałem do świątyni. Chciałem i ja zobaczyć, czy nie zaniedbano wnętrza. Widziałem drzwi zawarte i kratę zabezpieczającą przed intruzami z zewnątrz. Wydaje mi się, że zawierucha wojenna nie wpłynęła na stan kościoła.

- Skoro tak mówisz...

- Jeśli ksiądz nie ma nic przeciwko temu – wtrącił się Maurycy – chętnie wybierzemy się tam razem. Ot, choćby jutro.

- Przednia myśl – ucieszył się Albert.

- I ja tak myślę – dodał Cichowski.

- Zatem postanowione. Jutro jedziemy do Pilnika i tam na miejscu przekonamy się, czy plany tak szlachetne uda nam się ziszczyć.

Duchowny podniósł się, dając obecnym do zrozumienia, że czas najwyższy wracać do siebie.

- Gdzie ojcu się tak spieszy? – zaoponował kowal. – Mam tu precudną nalewkę, którą przywiozłem z Litwy przy okazji naszych wypraw po żywność.

- Kusisz mój synu, kusisz. Dobrze wiesz, że mam słabość do takich specjałów. Proboszcz pogroził gospodarzowi palcem.

- Dobra kuchnia od zawsze była w cenie – roześmiał się Albert. Zresztą od małego kuścyczka nalewki tylko zdrowia przybyć może. Maurycy, sięgnij no do spiżarki i pozwól nam nacieszyć się z tak niespodziewanego spotkania.

Ksiądz Cichowski podążył za Albertem do kuchni i przysiadł za ławą. Duchowny widział, że Agata siłą woli stara się zachować dobrą minę, lecz słabość wciąż biła z jej ciała.

- Dobranoc moja droga – odezwał się jeszcze. - Niech każda chwila dodaje ci sił. Bóg z tobą.

- Dobranoc ojcze.

Nalewka okazała się na tyle dobra i wspomnień było tak wiele, że mężczyźni pogrążeni w rozmowie spędzili wiele godzin. Nie dostrzegli nawet, gdy do matki z dzieckiem cichutko przemknęła się Zofia. Albert ze wzruszeniem wspominał czasy biskupa Krasickiego. Ksiądz Cichowski równie dobrze wypowiadał się o ojcu Alberta, którego miał zarówno za dobrego fachowca jak i chrześcijanina. Wreszcie moc alkoholu dała znać o sobie. Maurycy ruszył więc ku swojej chacie, a proboszcz także dostrzegł, że zasiedział się zbyt długo. Wszyscy obiecali sobie, że następnego, a właściwie już tego samego dnia, pojedą do niedalekiego Pilnika, by zlustrować miejsce planowanych uroczystości.



## VIII

Kowal spał jeszcze, gdy w kuźni rozległ się hałas. To Antoni z Maurycym rozpoczęli pracę. Albert zbudzony rytmicznymi uderzeniami młota zakręcił się przy kuchni. Od czasu, gdy Agata zległa po porodzie, mężczyzna starał się przejąć jej obowiązki. Z początku różnie z tym bywało, lecz z biegiem czasu gospodarz radził sobie coraz lepiej, tak, że i małżonka nie mogła wyjść z podziwu nad zdolnościami kulinarnymi męża.

Jak zwykle zajrzała też Banderska i pomogła gospodyni przy dziecku. Kobiety zżyły się ze sobą ostatnimi czasy i Agata nie mogła nachwalić Boga, że po zazdrosnym Dziku dał im tak pomocnych i dobrze życzących sąsiadów.

Dobiegało już południe, gdy Giersz ruszył ku kuźni. Maurycy dojrzał idącego ku niemu ojca i przerwał na chwilę robotę. Wyszedł na zewnątrz.

- Trzeba by wyjść po proboszcza – pierwszy odezwał się Albert.

- Jeszcze z godzinę i skończymy co na dzisiaj zaplanowaliśmy. Pójdę do domu i ogarnę się, a wy ojciec możecie w tym czasie przyprowadzić ojca Cichowskiego. Wszak i tak będzie musiał przechodzić koło naszej zagrody.

- Masz rację synu. Tak też zrobię. Zajrzę jeszcze do obory i pójdę w kierunku kościoła.

Kowal skręcił w kierunku zabudowań gospodarskich, gdy za płotem pojawiła się znana mu postać duchownego.

- Niech będzie pochwalony – zawołał proboszcz. - Umawialiśmy się dzisiaj na spacer do Pilnika.

Gospodarz podszedł do gościa.

- Na wieki wieków – odezwał się Albert. - Pamiętam i właśnie miałem zamiar udać się do księdza. Proszę spocząć na chwilę w podcieniu, a ja tymczasem opatrzę zwierzęta. Maurycemu też już niewiele roboty w kuźni zostało i jeśli ksiądz nie ma nic przeciwko temu, za godzinkę najdalej ruszymy w drogę.

- Dzień jest jeszcze na tyle długi, że zdążymy obrócić przed zmrokiem – odparł

Cichowski. Róbcie swoje Albercie, a ja w tym czasie zajrzę do waszej małżonki, jeśli nie przeszkadzam oczywiście.

- A dopiero co poszła od niej Zofia. Na pewno będzie kobiecie miło porozmawiać z kimś znajomym, bo narzeka ciągle, że nudzi się jak mops. Zapraszam serdecznie.

Duchowny żwawym krokiem skierował się ku gierszowej chacie, a Albert ruszył ku oborze.

Zgodnie z zapowiedzią gospodarza, nie minęła godzina, gdy trójka mężczyzn opuściła zagrodę i skierowała się w kierunku Pilnika. W kuźni co prawda było jeszcze trochę pracy, lecz Antoni zdecydowanym tonem stwierdził, że sam sobie poradzi.

Minęło z górą pół godziny, gdy podróżni zobaczyli przed sobą zabudowania pilnickiego kościoła. Brama prowadząca na dziedziniec był zamknięta, a wstępu strzegła też wielka kłódka zawieszona na z lekka już pordzewiałym łańcuchu. Cichowski wyjął zza pazuchy słusznej wielkości klucz. Wsadził go do kłódki i przekręcił z wysiłkiem. Kłódka zwolniła łańcuch, który z łoskotem zsunął się po bramie i uderzył w ziemię wznecając kurz. Maurycy pchnął drzwi bramy. Zaskrzypiało i skrzydła uchyliły się z lekka.

- Przydałoby się trochę smarowidła – odezwał się Albert.

- Od czasu ostatniej wojny w kościele nie odprawiano mszy – powiedział proboszcz. W najbliższym czasie spodziewam się pomocnika i zamierzam powierzyć mu opiekę nad tym przybytkiem bożym.

- Wygląda na to, że nikt nie starał się naruszyć spokoju świątyni – zauważył Maurycy.

- Chwała Bogu – rzekł duchowny. - Pójdźmy jednak dalej.

Mężczyźni ruszyli przed siebie. Mijając po drodze kilka grobów, stanęli przed wejściem do kościoła. Drzwi, podobnie jak te od bramy, były zamknięte. Podczas gdy ksiądz Cichowski zmagął się z przyrdzewiałym zamkiem, kowal przeszedł za budynek świątyni i rozejrzał się po znajdującym się tu cmentarzu. Cały teren ogrodzony był pochodzącym jeszcze z gierszowej kuźni płotem. Albert przypomniał sobie, ile trudu kosztowało go wykucie setek lilii, które połączone ze sobą tworzyły niepowtarzalny klimat wiejskiego cmentarza. Ogrodzenie, choć niewysokie, sięgające ledwie do pasa średniego wzrostu mężczyzny, to jednak chroniło i kościół, i cmentarz przed nieproszonymi gośćmi. Nagrobne krzyże dostojnie pochylały się nad kurhanami i nic nie wskazywało, by ktokolwiek naruszył wieczny sen spoczywających tu zmarłych. Raptem mężczyzna wzdrygnął się, bo poczuł jakby coś otarło mu się o nogawki. To kot,

najwidoczniej mieszkający w najbliższej okolicy, ucieszył się na widok człowieka i licząc na jakąkolwiek karmę przybiegł i łasił się do kowala. Ten schylił się, lecz nie mógł w tej chwili podarować zwierzęciu nic więcej oprócz chwili pieszczot. Rozczarowany kot nagle zerwał się do biegu i zniknął między grobami. Albert przeżegnał się.

Duchowny właśnie pchnął główne drzwi i wchodził do kościoła, gdy stary Giersz stanął u jego boku. Wszyscy trzej goście świątyni Pana przyzwyczajali swój wzrok do panującego w pomieszczeniu mroku. Wydawało się, że wszystko znajduje się na swoim miejscu. Pobożne figury ze zdziwieniem przyglądały się nieoczekiwanym przybyszom, dziwiąc się, że jest jeszcze na tym świecie ktoś, kto odczuwa potrzebę obcowania z Bogiem.

Stary Giersz ujrzał nagle przed sobą całą młodzież. Ileż zapału i radości związanych było z tą świątynią. Kowal kontemplował nad światem, który już minął. Spoglądający na niego z głównego ołtarza Chrystus ukrzyżowany, ze spuszczoną w bezsilności głową potwierdzał niestety, że to, co najpiękniejsze, już minęło.

- Nie masz wolności. Nie masz ojczyzny – wyrwało się Albertowi.

- Niezbadane są wyroki Pana – dobiegł go głos Cichowskiego.

Kowal wyrwał się nagle z dziwnego odrętwienia.

- Wygląda na to Maurycy, że piękne będą chrzciny – zwrócił się do syna.

- Oby jak najszybciej, bo Katarzyna źle bardzo znosi odmienny stan – odrzekł młody Giersz.

Mężczyźni ruszyli na obchód świątyni. Oprócz kurzu, który zalegał na dobre kilka milimetrów, nic nie zakłócało porządku. Brak ludzkiej ręki widoczny był jednak aż nadto.

- Trzeba wreszcie znaleźć gospodarza, bo inaczej zmarnieje nam kościółek – podsumował Maurycy.

- Mądre słowa – potwierdził proboszcz. - Jak już wspominałem, niebawem będzie i tu gospodarz. Tutejszym wiernym łatwiej będzie dotrzeć do Pana, bo też i nie każdemu chce się maszerować do samego Lidzbarka. Ludzie teraz leniwi i choć przy niedzieli nic do roboty nie mają, to wolą wylegiwać się przed chatą niż przemierzyć niewielką choćby odległość, jaka dzieli ich od murów miejskich.

Kilka chwil tylko spędzili mężczyźni w świątyni, bo coraz krótszy dzień nie pozwolił na dłuższy pobyt w Pilniku. Albert wracał jednak bardzo zadowolony.

- Będzie się Agata cieszyła, a i Agnieszka zapewne także będzie miała satysfakcję, że specjalnie na chrzest jej dziecka zostanie przysposobiona kaplica. Nie ma co. Chrzciny będą jak ta lala.

- Co tam mruczycie ojciec? - odezwał się Maurycy.

- E, nic. Tak tylko planuję sobie w duchu, jak to wszystko ma pięknie wyglądać.

- Widzę, że bardzo wam zależy ojcze, by chrzest odbył się w tej właśnie świątyni.

- Tak sobie z twoją matką uplanowaliśmy. Nie masz pojęcia synu ile pięknych wspomnień związanych jest z tym kościółkiem. Jeszcze twój dziadek miał nadzieję widzieć go w pełnej chwale. Nie przyszło mu jednak dożyć tej chwili. Teraz jednak na pewno z radością spogląda na nas z góry i raduje się, że los wreszcie zaczyna się do nas uśmiechać. A kto wie, czy to nie za przyczyną mego ojca właśnie nastąpiły te lepsze dni. Już on dobrze przysłużył się Bogu, a i sam biskup Załuski i po nim Krasicki na pewno Panu dobrze o nim poświadczili.

Było już dobrze po południu, gdy Gierszowie pożegnali się z duchownym i wchodzili do swojej zagrody. Maurycy radosnym krokiem podążył do małżonki, by zdać jej dokładną relację z pilnickiego rekonesansu. Agnieszka leżała w izbie na łóżku. Błada cera zdradzała, że kobieta nie czuje się najlepiej. Rzeczywiście, małżonek coraz bardziej martwił się, bo widział, że każdy dzień przynosi Agnieszce coraz większe cierpienia. Co prawda przywołany z miasta felczer twierdził, że nie ma powodu do niepokoju, lecz Maurycy nie mógł znieść, że żona cierpi, a on nie może nic na to poradzić.

Mężczyzna podszedł do leżącej. Przysiadł na brzegu łóżka i uśmiechnął się.

- Kościół w Pilniku dzięki Bogu nie ucierpiał. Będziemy mogli wyprawić piękne chrzciny.

Małżonka złapała go za rękę.

- Obiecuj, że gdyby coś mi się stało, będziesz dbał o nasze dziecko.

Maurycy zerwał się jak oparzony.

- Agniecha, ty bój się Boga – wykrzyknął. - Skąd do głowy przychodzą ci takie myśli?

Ponownie przysiadł na łóżku i delikatnie przytulił się do żony. Ta złożyła swoją głowę na jego kolanach.

- Taka jakaś jestem słaba.

- Normalna to rzecz – pocieszał młody Giersz małżonkę. - Nie będziesz wiedziała kiedy, a zostaniesz matką. Normalna to rzecz.

Lecz głęboki niepokój coraz bardziej ogarniał serce Maurycego. Wiedział, że Agnieszka nie lubi użalać się nad sobą, a tu raptem sama przyznaje, że nie czuje się dobrze.

- Trzeba znowu posłać po felczera - pomyślał.

Tymczasem gładził żonę po głowie i czekał aż ta przyśnie, żeby wyrwać się z domu i pobiec do Zofii po radę. Nie minęło i piętnaście minut, gdy zmęczona kobieta zasnęła. Małżonek z wielką czułością ułożył głowę Agnieszki na poduszce i najciszej jak mógł podążył do drzwi. Wyszedł na podwórze i ruszył w kierunku domu Banderskich. Zapadał zmierzch, lecz w oknie teściów tliło się światło. Młody Giersz podszedł do drzwi. Zapukał i pchnął je przed siebie. Krzątająca się w kuchni gospodyni spojrzała w kierunku gościa i w oczach jej pojawił się niepokój.

- Nie wiem już co myśleć – zaczął mężczyzna. - Zdaje mi się, że z Agnieszką jest coraz gorzej. Widziałem, że męczy się bardzo, lecz dotąd nie skarżyła się sama. Dzisiaj już przyznaje, że czuje się źle i słabnie. Pocieszyłem ją jak mogłem, lecz gdy zasnęła, przyszedłem do was by prosić o radę.

- Trzeba będzie znowu pobiec po felczera. Niech obejrzy dziewczynę i powie, co o tym wszystkim sądzi.

- Był przecież i badał Agnieszkę. Tyle z jego gadania, że sakiewka lżejsza. Nie mam zaufania do tego człowieka.

- Nie biadol mi tutaj – fuknęła Banderska – i nie bądź baba. Wam, chłopom, wydaje się, że ciąża to szast, prast i po wszystkim. A to nie jest prosta sprawa.

- Tedy co robić?

Zofia spojrzała na zięcia i żal jej się go zrobiło, bo widziała, że ten nie mniej cierpi jak jej córka.

- Idź do żony. Ja zaraz polecę gdzie trzeba i ściągnę znowu felczera. Nie mamy innego wyjścia jak wierzyć, że ten zna się na rzeczy i pomoże Agnieszce przetrwać te trudne chwile.

Maurycy podszedł do kobiety i cmoknął ją w rękę z wdzięczności.

- Nie trzeba, przecie...

- To ja lecę do małżonki, bo może przebudziła się nieboga.

- Leć, leć. A ja niebawem też tam się zjawię. I nie martw się. Wszystko będzie dobrze. W Bogu nadzieja.

Młody Giersz już spokojniejszy ruszył w drogę powrotną. Ostrożnie uchylił drzwi wejściowe i skierował się w stronę izby, gdzie przed kilkunastoma minutami zostawił małżonkę. Agnieszka spała jeszcze, lecz krople potu na czole i ciężki, nierówny oddech świadczyły, że kobieta cierpi.

Maurycy wyszedł do kuchni. Wrócił z płótnem zmoczonym w zimnej wodzie i z wielką czułością położył je na czole śpiącej. Wydawało mu się, jakby małżonka z wdzięczności uśmiechnęła się do niego.

Niepokój na nowo zawładnął młodzieńcem.

- Chyba nie po to Bóg dałby mi nadzieję, żeby równie szybko mi ją odbierać? - przemknęło mu przez myśl.

Ponownie wyszedł do kuchni. Przyniósł ze sobą ławkę. Postawił ją u wezgłowia kobiety. Przysiadł i oparty plecami o ścianę wpatrywał się w postać, która była tak bliska jego sercu. Piersi Agnieszki nadal unosiły się w nierównym oddechu. Łzy wzruszenia popłynęły po policzkach mężczyzny. Nigdy dotąd nie przeżywał takiej trwogi. Żadne niebezpieczeństwo, ani jedna z ciężkich chwil, jakich wiele przeżył w czasie ostatniej wojny, nie sprawiła mu tyle cierpienia, jak ta bezradność u boku rozgorączkowanej kobiety. Ona cierpiała, a on nie mógł jej przyjść z pomocą.

- Dlaczego właśnie ona? Czy choć częścią cierpienia los nie mógłby obdarzyć mojej osoby? Jak można tak pastwić się nad niewinną kobietą?

Bunt rodził się w sercu mężczyzny. Raptem jakiś głos wewnętrzny sprawił, że młody Giersz klęknął, przeżegnał się pobożnie i zaczął zmawiać pacierz. Słowa żarliwej modlitwy rozrywały złowrogą ciszę. Czas włókł się w nieskończoność, a zza drzwi wciąż nie dochodziły żadne kroki, które mogłyby zwiastować ratunek.

Maurycy podniósł się i poprawił płótno na czole małżonki. Zofia ciągle nie nadchodziła.

Wreszcie przed domem rozległ się hałas. Młodzieniec szybkim krokiem podążył ku drzwiom, gdy te otwarły się i do środka weszła Banderska, prowadząc za sobą felczera.

Mężczyzna, niewielkiego wzrostu, za to wieku już słusznego, skinął głową na powitanie i od razu skierował się do izby, w której wciąż spała Agnieszka. Maurycy ruszył za nim, lecz Zofia przytrzymała go za ramię.

- Nie trzeba – rzekła. - Ja sama..., a ty wyjdź lepiej na zewnątrz i zaczerpnij świeżego powietrza, bo jeszcze trochę, a będziesz także potrzebował pomocy.

Mężczyzna, choć z niechęcią, posłuchał rady. Wolnym krokiem skierował się na podwórze i dostrzegł, jak pod jego chatą, nerwowym krokiem w tę i z powrotem przemierza podwórko Antoni.

Maurycy podszedł do niego.

- Właśnie przyszedł felczer - zagadnął.

- Wiem – odparł Banderski.

Mężczyźni spojrzeli po sobie, lecz żaden z nich nie miał odwagi kontynuować rozmowy. Chodzili tak razem od płotu do chaty i milczeli, choć milczenie to było w tej chwili bardziej wymowne niż najbardziej szczerą rozmową. Zarówno jednemu jak i drugiemu zależało tylko na Agnieszce i trudno orzec, którego z nich bardziej paraliżował strach przed złymi wieściami.

Wizyta felczera przedłużała się i zdenerwowanie spacerujących stawało się coraz większe. Wreszcie drzwi od chaty rozchyliły się i wyjrzała z niej głowa Banderskiej. Młody Giersz spojrział na nią i dostrzegł, że kobieta przywołuje go skinieniem głowy. Szybko skierował się ku domowi. Za to Antoni stanął w miejscu i gryzł paznokcie, nie bardzo wiedząc, co z sobą począć.

- Nie jest dobrze – odezwała się do Maurycego Zofia. - Felczer podejrzewa, że płód mógł się niewłaściwie ułożyć i stąd te bóle u Agnieszki.

- Co robić? - Wyrwało się Maurycemu.

- Ty tu nic nie poradzisz. W Bogu nadzieja, że wszystko dobrze się skończy i dzieciak przyjdzie zdrowy na świat.

- To ja może choć do kościoła polecę i modlitwę do Pana zaniosę?

- Modlitwę i w domu zmówić możesz. Bóg usłyszy. Teraz jednak bardziej żonie jesteś potrzebny. Idź do niej, a ja zamienię jeszcze słowo z felczerem.

- Jak zapłacić za wizytę trzeba, to ja...

- Idź do niej powiadam, nie martw się o nic. Przecież to też moje dziecko.

- Dziękuję wam za wszystko... - szloch wstrząsnął mężczyzną.

- No, nie mazgaj mi się tutaj. - Zofia położyła dłoń na jego ramieniu. - Nie pokazuj przed małżonką słabości, bo w ten sposób nie pomożesz jej na pewno.

- Macie rację.

Maurycy wyprostował się. Wciągnął głęboko powietrze i równym krokiem ruszył do sąsiedniej izby. W przejściu minął się z felczerem, który właśnie skończył swoją pracę. Banderska przywołała go ku sobie i młodzi zostali ze sobą sami.

Małżonek zlustrował spojrzeniem Agnieszkę. Ta, blada była na twarzy i złana potem. Nie próbowała już nawet ukrywać, że wciąż cierpi.

- A to matula mówili, że wszystko będzie dobrze - zaczął nieśmiało. - Felczer tak powiedział.

- Już ja wiem dobrze, jak jest. Nie musisz nic przede mną ukrywać.

- Będzie dobrze – twardym głosem powtórzył Maurycy i przysiadł na skraju łóżka, głaszcząc po twarzy małżonkę.

Trwali tak obok siebie dłuższy czas, aż mężczyzna dostrzegł, jak Agnieszka ponownie zapadła w sen. Młody Giersz wstał z łóżka. Przysiadł ponownie na ławie, plecami oparł się o ścianę i spojrzeniem przepelnionym lękiem o najbliższą sobie osobę ponownie ogarnął małżonkę. Pierś Agnieszki unosiła się równomiernie. Maurycy odchylił głowę do tyłu i nie wiedząc kiedy, zasnął snem głębokim.

Świtało już za oknem, gdy zdrętwiały od niewygody mężczyzna powrócił do życia. Kobieta spała wciąż jeszcze, więc ten ostrożnie, by jej nie obudzić, ruszył w kierunku drzwi wyjściowych. Chłód poranka orzeźwił go do reszty. W kuźni już trwał ruch.

- Antoni w piecu pali – rzekł Giersz sam do siebie i skierował swoje kroki ku Banderskiemu.

Rzeczywiście, ogień już wesoło płonął, lecz Antoni nie był sam. Razem z nim przy palenisku krzątał się Albert.

- Nic tu po tobie – zwrócił się stary kowal do syna. - Idź i posiedź przy kobiecie. Nie możesz teraz zostawiać jej samej. Już my tu z Antonim poradzimy sobie bez ciebie.



Maurycy stanął zakłopotany.

- Ojciec ma rację – ruszył mu z pomocą Banderski. - Ty też odpocznij trochę, bo wreszcie nam tu padniesz. Za dużo wrażeń, jak na tak krótki czas.

Młody Giersz nie bardzo wiedział, co powiedzieć na tak wielką o niego i Agnieszkę troskliwość, więc tylko skinął głową, odwrócił się na pięcie i wolnym krokiem podążył w kierunku domu.

Albert z Antonim powiedli za nim wzrokiem, lecz rozgrzane już w węglach żelazo nie pozwalało im na zbyt długą beczynność. Banderski złapał za szczypcę i wnet rozległy się miarowe uderzenia młotów. Mężczyźni pracowali bez słowa, lecz tak jeden, jak i drugi myślami przebywał w niedalekiej chacie, gdzie ważyły się losy szczęścia tak bliskich im osób.

Ciężką pracą próbowali zagłuszyć niepokój, ale przyszedł wreszcie czas, gdy należało dać odpocząć zwiotczalym mięśniom. Wyszli przed kuźnię i przysiedli na ławce. Przez chwilę milczeli, głęboko oddychając.

- A to wiecie Albercie – przerwał wreszcie ciszę Antoni - miałem ostatnio zamówienie od pewnego chłopca z Praslit. Naprawiałem mu ośkę od wozu i zdziwiłem się wielce, bo ten zapłacił mi złotą, ruską monetą. Zapytałem go, skąd u niego taki pieniądz, a ten jakby zląkł się mojego pytania. Jąkał się, kluczył, wreszcie wydukał, że dostał takich kilka, za uratowanie od śmierci żołnierza, którego sam z pola przyniósł i do jakiego takiego zdrowia w swojej chacie doprowadził.

- Złota moneta, powiadacie – zaciekawiał się stary kowal. - Dziwna sprawa.

- Tako i mnie dziwno było, więc zacząłem chłopca za język ciągnąć. Ten przestraszony, lecz wreszcie zaczął mi opowiadać, że, jakoby ten ranny w gorączce powiadał, że gdzieś w niedalekiej okolicy od onych Praslit, Rosjanie całą skrzynię takich monet ukryli, by nie wpadły w ręce wroga. Podobno oddział, który odpowiadał za bezpieczeństwo tej skrzyni w lasach pobłądził i znalazł się w samym środku nieprzyjacielskich linii. Tak więc nie widząc szans na bezpieczne przedarcie się do swoich, żołnierze postanowili ukryć skarb i wrócić po niego w bardziej sprzyjających okolicznościach. Kiedy już monety zostały schowane, Rosjanie ruszyli ku swoim i właśnie podczas przedzierania się przez linie wroga wspomniany żołnierz został ranny. Powiedział mi jeszcze ów jegomość, że przed odjazdem, dziękując za okazaną pomoc, Ruski wręczył mu kilka monet, lecz gdzie spoczywa skrzynia powiedzieć nie chciał. Gdy zaś chłop wspomniał o tym, co ranny w marach o ukryciu skarbu wołał, ten w żart wszystko obrócił i wyśmiał chłopca.

- Widzi mi się, że to jednak mogła być prawda – rzekł Albert. - Nie wiesz Antoni, gdzie dokładnie mieszka ten jegomość?

- Nie przyszło mi do głowy zapytać. Lecz od czasu tej wizyty nijak mi z głowy te złote monety wyjść nie chcą.

- Nic nam jednak po nich, skoro nie wiemy gdzie ów chłop mieszka.

- Już moja w tym głowa, żeby człowieka namierzyć. Chłop nie igła w stogu siana. Pochodzę, popytam, a jak trzeba będzie, to do każdego domu w Praslitach zajrzę.

- Tedy szukaj, a tymczasem do roboty wracajmy, bo nam ogień w palenisku wygaśnie.

Mężczyźni wrócili do pracy. Albert uderzał miarowo młotem, lecz myśli jego nieustannie krążyły wokół skrzyni, o której opowiadał mu swat.

- Może mieć rację Antoni, że historia ze skarbem jest prawdziwa. Ruscy szybko zwijali się od Pasłeki w kierunku Lidzbarka. Może to być, że jakiś oddział zagubił się i żeby nie oddać kasy w ręce wroga, zakopał skarby gdzieś po drodze. Jeno gdzie? Praslity dookoła otoczone lasami. Szukaj igły w stogu siana. Grosz, pewnie, przydałby się. Gotówki nigdy nie za dużo. Ile jest, tyle i wydać można. Potrzeba zawsze jakaś się znajdzie. Gdyby tak przynajmniej odszukać tego człowieka, który ową historię przytoczył. Już i Antoni nie daruje. Znam go na tyle, że wiem. Jak coś postanowi, to i nie odpuści, póki na swoim nie postawi.

Mijały godziny. Po podwórzu niosły się dźwięki uderzeń. Tymczasem Maurycy wciąż czuwał przy łóżku Agnieszki. Zaskrzypiały drzwi i do chaty weszła Zofia. Młody Giersz zerwał się i ruszył w kierunku kobiety.

- Słaba bardzo i śpi dzień cały. Tyle poprawy, że już nie jęczy, więc najwidoczniej bólu nie czuje.

- To dobrze. Felczer zrobił, co mógł. Reszta w ręku Boga, a ten miłosierny dla biedaków, więc krzywdy nam nie robi.

- W nim tylko nadzieja, bo co ja bym począł bez mojej niebogi...

- Ciii...., nie wywołuj licha. Będzie dobrze. Tymczasem zakręcę się przy kuchni i strawę jakąś wam przygotuję, bo gdy się Agnieszka obudzi, to pewnie głodna będzie.

- Na śmierć przez to wszystko zapomniałem. Siedzę tu i patrzę na jej twarz pocieszenia i znaków poprawy szukając.

- Tedy siedź i pilnuj jej dalej. Już ja się tu wszystkim zajmę.

- Dziękuję wam. Sam nie wiem, jak w tym wszystkim się odnajdujecie. Toż macie swój dom, a tu i matula, i Agnieszka...

- Rodziną przecież jesteśmy. Trzeba sobie pomagać. Nie mazgaj się.

Zofia została w kuchni i niebawem w domu rozległ się hałas świadczący, że kobieta naprawdę zabrała się do szykowania stawy.

Agata za to nie mogła już w domu usiedzieć. Banderska co prawda nie wprowadzała jej dokładnie w wydarzenia, które miały miejsce u młodych, lecz ta kobietą intuicją czuła, że dzieje się coś niedobrego. Widziała bowiem, jak dotąd opanowanej i spokojnej Zofii co i rusz coś z ręki leciało. Kobieta na nagabywania Gierszowej nie odpowiadała jednak, sprytnie zbywając pełną niepokoju o synową gospodynię. Albert za to jak rano do kuźni wyszedł, tak i do domu nie wracał. To także wydawało się Agacie dziwne, bo mąż jak dotąd kiedy tylko mógł do niej i do dziecka zaglądał.

- Już mi tu coś nie pasuje – mruzczała do siebie kobieta. - Moja w tym głowa, żeby dojść, co się dzieje.

Gdy Zofia wychodziła do siebie, akurat do chaty wszedł kowal. Podeszedł do żony. Ucałował ją w czoło i rzucił wzrokiem w kierunku Marysi. Potem wyszedł do sąsiedniej izby i zza drzwi rozległ się plusk wody. Po chwili Albert pojawił się znowu. Twarz miał mokrą jeszcze i ponownie zerkając w kierunku dziecka, przysiadł na ławie.

- Co milczysz? – zapytała Agata.

- Dzień miałem ciężki. W kuźni roboty dużo, a ja już od młota chyba odwykłem. Za bardzo dałem się Maurycemu od zajęć odsunąć i teraz są tego efekty.

- To Maurycy nie pracował dziś z wami?

Kowal pojął w tej chwili, że o jedno zdanie za dużo powiedział.

- Miał inne sprawy na głowie – odparł mając nadzieję, że zbędzie tym żonę.

Ta jednak nie dawała za wygraną.

- Już mi się tu coś nie podoba. Zofia nerwowa jak nigdy. Ty w kuźni. Maurycego nie ma. Co to wszystko znaczy?

- Nie szukaj, czego nie ma, moja droga.

- Ty mi tu nie klucz, jeno prawdę gadaj – Agata podniosła się na łóżku.

Zrozumiał kowal, że nie da się dalej zwodzić małżonki. Podniósł się ciężko i podszedł do kobiety. Przysiadł przy niej, wziął drobną dłoń do ręki i zaczął.

- A to Agnieszka słabuje, ale był felczer i mówił, że normalna to rzecz i minie.

- Tak też sobie pomyślałam, gdy na Banderską patrzyłam.

- Jeno nie martw się i do głowy nie bierz.

- Dobrze, nie wezmę, ale ty mnie do Maurycego i Agnieszki zaprowadzisz.

- Słabaś jeszcze...

- Ty do Agnieszki mnie weźmiesz.

- Późno już...

- Ty...

- No dobrze, ale dasz mi słowo, że tylko na chwilę.

- Dam.

Cóż było robić. Albert wiedział przecież, że jak już Agata na coś się uprze, to chociaż i wołem ciągnąć, nie wydoli w inną skierować ją stronę. Westchnął więc mężczyzna ciężko, podrapał się po głowie i długo myśląc, jak odpowiednio podejść do tematu, odezwał się wreszcie.

- Przecie teraz na świętą noc po chałupach cię prowadzał nie będę.

- Do nocy daleko jeszcze, dopiero zmierzch zapadł.

- Co ja z tobą mam, kobieto – znowu westchnął kowal.

- No jeszcze mi tu narzekaj. Kto pilnował wszystkiego, gdy z Maurycem po świecie cię nosiło?

- O, wa – obruszył się kowal. - A bo to ja chciałem w świat ruszać?

- Nie o świecie tutaj gadamy, jeno o Agnieszce.

- Jutro zajrzę do niej i kiedy tylko będzie pora, na własnych rękach cię tam zaniosę.

- Z podziękowaniem. Sama dam radę i nie mam zamiaru czekać aż łaskawie uznasz, że czas. Jeszcze słowo, a zaraz się zwlokę z pościeli.

Giersz zerwał się na równe nogi, bo wiedział, że gdy Agata w nerwach, to nie masz z nią dyskusji.

- Dobrze! – zawołał. - Jutro zaprowadzę cię do Maurycego chaty. Tylko pamiętaj coś mi przyrzekła, na chwilę jeno.

- Amen.

Albert miał problem z głowy, lecz tymczasem tylko. Już on znał swoją małżonkę i wiedział, że raz danego słowa kobieta się uczepi, a gdyby tak nie daj Bóg mężczyzna próbował zbyć ją i słowo na wiatr rzucić, biedny los jego.

- Nie ma rady – mruknął, kierując się ku kuchni. - Trzeba będzie Agatę do Agnieszki zanieść. Cała nadzieja w tym, żeby się synowa lepiej czuła, bo jeśli nie, to dwie chore kobiety będziemy mieli na karku.

Noc kował miał ciężką. Sen nie przychodził długo i mężczyzna kolejny raz rozmyślał nad losem, jaki mu życie zgotowało. Kiedy po poniewierce i wojnie Francuzów z Prusakami wrócił wreszcie do domu, zdawało się, że złe czasy odeszły. Dzik szczeł, przyszli życzliwi i robotni Banderscy. Maurycy spowaźniał, gdy poznał Agnieszkę. Agata dała mu tak upragnioną córkę i Maurycy czekał na potomka, a tu nagle ta słabość Agnieszki.

- Za dobrze szło wszystko – westchnął. - Za dobrze. Mądrze mawiał ojciec, że w życiu suma szczęścia zawsze równa się zero. Jak jest źle, to lepsze dni kiedyś nadejdą. Jak szczęście sprzyja, trzeba uważać, bo zło czai się i czeka na swoją kolej. Widać teraz te gorsze chwile przysły, lecz przecież żyć trzeba nadzieją. Agata też słabowała, a dzieciak jak malowany. A ona sama proszę. Grozi mi. Prawda, dała sobie pięknie radę w czasie mojej poniewierki. Lecz jak to urosło. Dawniej powiedziałbym grzeczna, nieśmiała. A teraz proszę. Oczy zmruży, usta skrzywi i ten ton. Jeszcze trochę, a ani chybi przed spódnicą przyjdzie mi uchodzić. Ale, najważniejsze teraz zdrowie Agnieszki. Ech, będzie dobrze, bo co ma nie być. Dziewczyny tylko szkoda i Maurycego, bo chłopak na równi z Agnieszką cierpi, że tak bezradny i jej w potrzebie nijak pomóc nie może. Będzie dobrze. Nie takie tarapaty w życiu się zdarzały, a człowiek cały. Będzie dobrze.

Księżyc powoli wędrował nad gierszową zagrodą. Północ już dawno minęła i dzień

kolejny zbliżał się wielkimi krokami. Sen nie przychodził. Zbyt dużo myśli piętrzyło się w głowie. Zbyt dużo.

## IX

Gęsta niczym mleko mgła spowijała Lidzbark. To ziemia oddawała ostatki letniego ciepła, gotując się do zimowego snu. Gdzieś w oddali rozlegały się miarowe uderzenia. Dźwięk kutego żelaza roznosił się po okolicy. Albert zerwał się, siadł na łóżku i nieprzytomnym jeszcze wzrokiem rozejrzał się dookoła.

- A niech to drzwi ścisną – mruknął. - Zaspałem. To przez te nocne koszmary.

Kowal delikatnie nakrył pierzyną Agatę, która coś tam mruczała do siebie przez sen. Mężczyzna pogładził małżonkę po głowie i dmuchnął kobiecie w czoło. Agata uśmiechnęła się. Stary, matczyzny sposób podziałał i złe sny odeszły.

- Nie ma to jak domowe metody. - Giersz ostrożnie wy dobył się na podłogę i najciszej jak mógł ruszył do sąsiedniej izby. - Już tam pewnie Antoni ma pretensje, że sam musi sobie dawać radę. Bieda z tymi naszymi kobietami. Bieda.

Nie minęło kilka minut, gdy Albert wyszedł przed dom i żwawym krokiem ruszył w kierunku kuźni. Tu spotkała go niespodzianka. Przy piecu pracowali ramię w ramię Banderski i Maurycy. Chłopak spojrzał na ojca i skinął głową. Antoni na chwilę przestał uderzać młotem w podtrzymywane przez młodego Giersza żelazo.

- Pochwalony – rzucił w kierunku swata.

- Pochwalony – odezwał się Albert. - A ty smyku dlaczego nie przy Agnieszce? - zwrócił się do syna.

- Dzięki Bogu z żoną już lepiej. Jest tam teraz przy niej Zofia, więc postanowiłem wrócić do kuźni i pomóc Antoniemu.

- Lepiej powiadasz? To dobrze. Wstyd mówić, lecz ja zaspałem i już się bałem, że tu Antoni sam przy piecu radę sobie dawać musi.

- Ano jak widzicie – wtrącił się Banderski – nie jest tak źle. Prace w polu co prawda mają się już ku końcowi, lecz na zamówieniach wciąż nie zbywa.

- To ja wobec tego przekąszę tylko i zaraz tutaj Maurycyego zmienię. Albert zakręcił się na pięcie i skierował się w stronę domu.

Nie minęło pół godziny, gdy kowal zameldował się ponownie w kuźni. Maciej z Antonim akurat usiedli na chwilę zmęczeni ciężką pracą.

- To powiadasz, że Agnieszce już lepiej? - wrócił do tematu stary Giersz.

- Tak to wygląda. Nocą było już dużo lepiej. Gorączka spadła, bóle także mniej dokuczają.

- Może zły los odwraca się wreszcie i da Bóg, wszystko dobry koniec obierze. Tymczasem inna bieda mi się szykuje.

- Co się stało, ojciec? – Maurycy zaniepokoił się nie na żarty.

- A bo to widzisz synu, matka nie wieciec jakim sposobem dowiedziała się, że coś przed nią skrywamy i koniecznie każe prowadzić się do Agnieszki.

Maurycy uśmiechnął się pod nosem.

- Jakbym nie znał własnej matki – odezwał się. - To macie ojciec problem, bo jak nic matula musi postawić na swoim.

- To ja wiem i nie martwiłem się tyle o zdrowie Agaty ile o to, jaka jej będzie reakcja, gdy synową w słabości zobaczy.

- Na szczęście małżonce już lepiej. Słaba co prawda i blada ciągle, lecz lepiej.

- Tedy nie pozostaje mi nic innego, tylko spełnić prośbę Agaty.

- I mnie się tak widzi.

- To ja tu teraz z Antonim zostanę, a ty idź i zmień Zofię przy żonie, bo widzi mi się, że to kobieta ze stali, ale i ona nie wydoli za długo tak na trzy domy pracować.

Antoni z wdzięcznością spojrział na swata.

- Nic nie mówię przecie – rzekł – lecz i ja niepokoję się, że Zofia ponad siły ostatnio stara się wszystkim dogodzić. Aż poczemiała na twarzy nieboga. Nic jednak powiedzieć nie mogę, bo zaraz krzyk, że kto jak nie ona ma służyć pomocą. Za tyle dobra, co to go od was doznała.

Albert podszedł i położył dłoń Banderskiemu na ramieniu.

- Nie ma co, lepsze sąsiady nie mogły się nam po Dziku trafić.

- Prawda – przytaknął Maurycy.



- Idź już synu. My tu z Antonim dokończymy, co na dzisiaj jest do roboty, a wieczorem wezmę Agatę pod rękę i odwiedzimy was razem.

Młody Giersz podniósł się i wolnym krokiem ruszył ku domowi.

- Czekamy – rzekł odwracając się jeszcze. – Mam nadzieję, że gorączka odstąpi Agnieszce tak, że nie będzie musiała się martwić matula.

Kowal przysiadł na chwilę przy Banderskim.

- Wygląda na to, że znowu idzie ku dobremu – odezwał się Antoni.

- Ano wygląda – ni to westchnął, ni odpowiedział Albert.

- A bo to wiecie, robimy teraz bronę człowiekowi z Praslit - kontynuował Banderski. - Poleciał go ten, co to złote monety miał od onego ruskiego, o którym to wam opowiadałem.

- Pamiętam. – Stary Giersz z zaciekawieniem spojrział na sąsiada.

- Niby to przez grzeczność, a wypytałem dokładnie gdzie mieszka ten, co to nas interesuje. Wspominaliśmy wojenne zdarzenia i tak od słowa do słowa, aż doszliśmy do tego momentu, gdy i ten człowiek wspominał o rannym, co to u jego sąsiada do zdrowia dochodził. O złocie jednak nic nie napomknął. Widać sąsiad jego ostrożny i nie wygadał nic.

- Pewnie się bał, żeby mu kto łba nie utracił i do zdrady tajemnicy nie zmusił. A może po prostu prawdę powiadał, że kilka tylko monet w podzięcie za zratowanie życia dostał i nic o miejscu gdzie skarb schowany nie wie.

- Albo też i skarbu żadnego nie było, jeno ruski w gorączce majaczył?

- Może i majaczył, a może nie majaczył mój Antoni. Tam gdzie wojsko, tam i pieniądz być musi. Na jadło, na sprzęt, na kwatery. Sam widziałeś, jakie kwoty żołnierze w karczmie w karty stawiali. Niech no tylko nasze kobiety dojdą do siebie, a już ja się dowiem jak sprawa wygląda.

Banderski podniósł się z ławki i ruszył w kierunku kuźni.

- Wszystkie Giersze jednakie – mruknął.

Kowal podążył za Antonim, lecz nie dosłyszał, co ten pod nosem mrucał. Po chwili nad zagrodą niósł się znajomy wszystkim dźwięk pracujących młotów.

Zmierzch już zapadł, choć było ledwie po czwartej po południu. Dzień jednak już krótki, wciąż coraz wcześniej pozwalał słońcu na odpoczynek.

Albert delikatnie trzymał Agatę za ramię, gdy razem opuszczali chałupę, w której małą Marysię zostawili pod opieką Zofii. Wolnym krokiem małżonkowie kierowali się w stronę, gdzie od jakiegoś czasu zamieszkiwał Maurycy z Agnieszką. Kowal pełen niepokoju spoglądał na żonę, lecz ta zdawała się nie pamiętać o swojej słabości, a może tylko przed mężem udawała tak twardą. Wreszcie dotarli do znajomych drzwi. Giersz zapukał i nie czekając aż ktoś otworzy, wprowadził Agatę do środka. Ogarnął ich mrok, lecz zaraz pojawił się gospodarz i z radością przytulił się do matki dziękując za wizytę. Kobieta cmoknęła go w czoło tak czule, jak to tylko matka zrobić umiała.

- Prowadź mnie do Agnieszki – rzekła do niego tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Maurycy objął matkę i ostrożnie poprowadził do izby, gdzie w łóżku leżała jego żona. Albert stąpił za nimi powoli i z uwagą przyglądał się Agacie, bojąc się reakcji kobiety na widok synowej. Kiedy weszli do oświetlonej izby, kowal odetchnął głęboko, bo kątem oka dostrzegł, że Agnieszka wygląda znacznie lepiej, niż gdy ten widział ją ostatnio. Bładość była co prawda od dziewczyny, lecz po gorączce nie było już śladu.

Agata, podprowadzona przez syna do łóżka chorej, przysiadła na brzegu i pogłaskała synową po twarzy.

- Jak się czujesz nieboga?

Agnieszka, najwidoczniej poinstruowana przez męża, nie miała zamiaru narzekać.

- Słabam trochę, ale to przecież normalna rzecz w tym stanie – odparła.

- Taka to już kolej rzeczy i nasze kobiece cierpienie. Chłop szast, prast i po wszystkim, a ty cierp niebogo i jeszcze bądź wdzięczna losowi.

- Wiem i dlatego nie martwcie się matulu, bo przecież i wam jeszcze do zdrowia daleko.

- To leżenie mi nie służy. Albert z łoża mi zejść nie pozwala, lecz koniec jego rządów i basta.

Maurycy rzucił porozumiewawczo spojrzeniem w stronę ojca.

- Patrzcie ją – odezwał się kowal – ledwie na nogi stanęła, a już grozi. Ciężka starość mnie czeka u boku tej kobiety.

- A narzekaj mi, narzekaj! – podniesionym głosem odparła Agata.

Jak na komendę wszyscy wybuchnęli śmiechem i w tej chwili zdało się raptem, że wszystko, co złe, odeszło.

Tak i dobre ze dwie godziny zeszło zanim stary Giersz postanowił wracać do domu.

- A to przecież Zofia i swoją chałupę ma. Trzeba nam już iść i Marysią się zająć.

- Masz rację mój drogi. Skarb nie kobieta ta twoja matula – rzekła Gierszowa do Agnieszki.

- - Bądź zdrowa moja droga. Już niedługo, a razem będziemy się cieszyć z potomstwa. Bóg z tobą.

Albert szedł z żoną uduchowiony bardzo. Mimo obaw, Agata bardzo dzielnie zniosła wizytę i mężczyzna był pewien, że teraz już szybko kobieta do zdrowia wracać będzie.

- Jedno zmartwienie mniej – mruknął.

- Co tam pod nosem gadasz?

- A nic, na pogodę zerkam – odparł.

Gdy do domu weszli, kowal mrugnął do Banderskiej. Ta zrozumiała, że wszystko przebiegło tak jak powinno.

- I jak tam wizyta się udała? – zapytała niby to z ciekawości.

- Bałam się, że z Agnieszką źle i kryjecie co przede mną, ale widzę, że to normalne słabości – odrzekła Agata.

Zofia aż głowę odwróciła, tak głupio się jej zrobiło.

- A to na mnie czas. Marysia śpi i nieprędko pewnie się zbudzi.

- Dziękuję bardzo za pomoc. Sama nie wiem kiedy i jak odwdzięczyć się będę mogła za tyle serca.

- Nie gadajcie po próżnicy Agato. Kto jak kto, ale to już najmniej macie wobec mnie wdzięczności. To przecież wy z taką pomocą nam przyszliście, gdyśmy jako

pogorzelnicy po Dziku zagrodę zajęli.

- Los czuwał nam nami dając takich sąsiadów po nieboszczyku – wtrącił się Giersz do dyskusji.

- Z korzyścią dla nas największą. A teraz już naprawdę bywajcie, bo Antoni wreszcie za inną babą rozglądać się zacznie. Dobranoc.

- Święta racja. Bywajcie z Bogiem – odparła Agata.

Gdy za Banderską zamknęły się drzwi, kowal doprowadził małżonkę do łóża i pomógł się jej rozebrać. Gospodyni wdzięczna za dotrzymane słowo, cmoknęła męża w policzek i ciężko siadła na łóżu. Dopiero teraz zobaczył Albert ile sił kosztowała kobietę ta wyprawa.

- Słabam jeszcze – rzekła – lecz od jutra basta. Koniec wylegiwania. Trzeba siły zbierać i wyjść wreszcie z tej pościeli.

- A gdzie to cię goni?

- A choćby po izbie pochodzić. Ma rację Zofia, że mąż jej za innymi się zacznie oglądać. Toć kobieta więcej u nas jak u siebie, a do tego i u Agnieszki jeszcze.

- Święta racja, lecz cóż było robić?

- Dlatego koniec już użalania się nad sobą.

- Żebyś się tylko nie przeforsowała najdroższa – rzekł z niepokojem mężczyzna.

- A bo to ja rozumu nie mam? Wiem kiedy przestać i ile sił mi mierzyć.

Kowal przysiadł na skraju łóża i przytulił żonę do piersi.

- Mój ty bohaterze – rzekł. - Cóż ja bym zrobił bez ciebie?

- A to się już o starość nie lękasz?

Wybuchnęli śmiechem Gierszowie.

Albert siedział na ławie plecami oparty o ścianę. Z rozrzewnieniem spoglądał to na kołyskę z Marysią, to na łóżo, w którym w równych odstępach unosiła się pierś śpiącej małżonki.

- Widać zły los w odwrocie – westchnął z ulgą mężczyzna. Tak jak ojciec mawiał, w życiu suma szczęścia zawsze równa się zero.

## X

Pierwszy raz od dłuższego czasu stary Giersz spokojnie przespał całą noc i życie budziło się już w Lidzbarku, gdy kowal zerwał się na nogi.

- Znowu zasnęłam – mruknął. - Ot, kiepski ze mnie się robi pracownik.

Agata zgarnęła pierzynę zwolnioną przez małżonka najwyraźniej kontenta z faktu, że wreszcie może się przykryć i uchronić ciało przed zimnem.

- Śpij moja droga.

Kowal ostrożnie przeszedł do sąsiedniej izby i zakręcił się przy piecu. Poranny ziąb jasno dawał do zrozumienia, że ciepłe dni odeszły w niepamięć. Przyroda szykowałą się do zimy.

Wesołe ogniki hasały po suchym drzewie, gdy kowal wyszedł przed dom. Z kuźni dobiegały już odgłosy codziennej pracy. Albert poznał po uderzeniach, że tym razem nie będzie jej dla niego. Najwyraźniej Maurycy uznał, że Agnieszka czuje się już na tyle dobrze, że ten może wrócić do zajęć.

Nie mając innego wyjścia, mężczyzna skierował się do pomieszczeń gospodarskich. Po ciężkich, wojennych czasach, w obórcie przybywało inwentarza. Wyprawy na Litwę nie tylko trzos napełniły, ale także pozwoliły uzupełnić braki w żywym inwentarzu. Dobra ręka gospodarzy sprawiła, że zima tym razem nie była im groźna.

Albert podszedł do koni. Poklepał jednego wierzchowca, dorzucił owsa drugiemu. Z dumą spoglądał na towarzyszy swojej niedoli i świadków tak niedawnych, a jakże już odległych przygód.

Zarosną mi tłuszczem bestie. Trzeba by je przegonić po polach. Jeno gdzie?

W tej chwili stary Giersz przypomniał sobie o rzekomym skarbie, co to opowiadał o nim Banderski. Nie namyślając się wiele, osiodłał wierzchowca i wyprowadził go przed obórkę. Przywiązał zwierzę do płotu i ruszył w kierunku chaty. Po chwili wrócił ciepło ubrany. Odwiązał konia, wskoczył na siodło i wyjechał z podwórka. Odprowadzał go wzrok zdziwionego Antoniego, który wyszedł na chwilę przed kuźnię.

Noc ustępowała niechętnie. Słońce skrywało się za chmurami i w mieście wciąż panował półmrok. Lidzbark niepodobny był zupełnie do miasta czasu wojny, w którym prym wiedli żołnierze. Karczmy z tęsknotą wypatrywały klientów. Rynek straszyl pustkami, a miejscowe dziewczęta nudziły się jak mopsy.

Albert przejeżdżał przez gród, kierując się w stronę dobromiejskiej bramy. Gdy mijał przedzamecz, jak zwykle wstrząsnął nim dreszcz. Ostatnie spotkanie z Dzikim wciąż stało mu przed oczami. Mężczyzna przeżegnał się.

- Niech mu ziemia lekką będzie – mruknął.

Nie minęło kilka minut, gdy podróżnik dotarł do Pilnika. Kościół i pobliski cmentarz pogrążone wciąż były we śnie. Stary Giersz skierował wierzchowca ku mostowi na Łynie. Przejechał na drugi brzeg, ścisnął konia piętami i zmusił go do szybszego biegu. W oddali majaczyły niewyraźnie zabudowania Długołęki.

Na nowo powróciły wspomnienia. Albert podążał szlakiem, którym po latach włóczęgi wracał wreszcie do domu. I to nie sam, lecz w towarzystwie samego cesarza Francuzów. To tutaj o mały włos nie postradał życia, gdy ruszył z pomocą marszałkowi Muratowi. Kunsztownie zdobiony kordzik, dowód wdzięczności i pamiątka tamtego zdarzenia, wesoło kołysał się na biodrach jeźdźca.

- Ech, miał człowiek poważanie – dumał. – Sam Napoleon mianował mnie swoim osobistym kurierem. Tyle z tego mam, co wspomnienie. Sam pułkownik Słubicki robił wielkie nadzieje. Zdawało się, że wrócą dawne, wolne czasy. Marzenia rozwiały się szybko. Dzisiaj nie masz dalej Polski, a i sam cesarz daleko. Czy pamięta choć o mnie jeszcze? Gdzie miałby pamiętać. Toć ja prostak, a on pan.

Pogrążony w zadumie mężczyzna kierował się w stronę Praslit, mijając kolejne miejsca związane z tak wciąż mu bliskimi wydarzeniami.

Dotarł właśnie do Łaniewa, gdy przed sobą dostrzegł najpierw cień, a potem z każdą sekundą rosnącą postać. Również na koniu, tyle że zmierzającą w kierunku Lidzbarka.

- Pochwalony – dobiegł głos nieznajomego.

- Pochwalony – odparł Giersz. - A dokąd to droga prowadzi?

- Do miasta. Mam parę spraw do załatwienia, a przy okazji i sąsiadową bronę chcę odebrać, co to ją u tamtejszego kowala do naprawy zostawił..

- A, po bronę. Ta już gotowa. Od wczoraj czeka.

Obcy z ciekawością spojrzął na Alberta.

- To do mojej kuźni jedzicie – rzekł, wyjaśniając.

- Ale nie widziałem was przecie.

- Tak, bo Antoni odbierał bronę, a pewnie i syn był przy tym.

- Pewnie prawdę mówicie. A gdzie to droga wiedzie?

- Jadę wierzchowca rozruszać, bo mi tłuszczem w stajni obrośnie i patrzę na drogę co to nią nie tak dawno wielkie wojsko szło.

- A to skąd wiecie, że tędy szło?

Alberta poruszyło to niewinne pytanie. Przed oczami stanęła mu karczma, gdy w czasie nieodległej wojny zachował się jak pleciuga i podpadł nieprzyjacielskiemu pułkownikowi, co to na zamku mieszkał. Postanowił, że tym razem język trzymał będzie za zębami.

- Całkiem miasto żywności pozbawiło wojsko – zmyślił szybko historię kowal. - Chcąc nie chcąc, ruszyłem, żeby znaleźć cokolwiek do jedzenia. Traf chciał, że zaraz po moim wyjeździe z Lidzbarka obie armie ruszyły. Zostałem pod Dobrym Miastem i przeczekawszy najbardziej niebezpieczne chwile, ruszyłem za Francuzami, którzy Rosjan gonili. Ot i stąd mi wiadomo, którądy jedni i drudzy szli.

- Prawda – odrzekł najwyraźniej nabrany na te słowa mężczyzna. - Krążenie było takie, że człowiek nie mógł za zdarzeniami nadążyć. Już Ruskie, potem Francuzi, potem znowu Ruskie i tak dookoła Wojciech. Wszędy zabici i ranni, a z tymi nijak się dogadać. Chyba, że na migi.

- A to zdarzyło się wam i z rannymi zetknąć? - Stary Giersz poczuł, że zdarzyła się sposobna chwila, żeby z obcego wiadomości wyciągnąć.

Jeździec chyba zorientował się, że za dużo powiedział, bo zamilkł nagle i uważnie spojrzął na Alberta. Widać jednak Giersz dobre na nim wrażenie zrobił, bo wnet kontynuował temat.

- A zdarzyło się, zdarzyło. Wziąłem nieboraków dwóch, lecz zanim do stodoły dotarłem, jeden już ducha wyzionął. Za to drugi co nieco po naszymu gadał. W sam raz tyle, żeby błagać o zratowanie i ukrycie przed wrogiem.



- A to z jakiej armii wam się człowiek zdarzył?

- Traf chciał, że Rosjanin. Dla mnie jednak człowiek to człowiek. Tym bardziej ranny. Co mnie do tego, o co za łby się króle biorą. Mnie byle co do garnka włożyć i wystarczy.

- Święte słowa – kadził kowal – przecie kto ma co do gadania, gdy go do wojska biorą. Widać porządny z was człowiek i serce macie tam gdzie być powinno.

- No jakże – obcy napuszył się jak paw. - Wojna wojną, a człowiek człowiekiem, jasna sprawa. Tedy i nie patrzyłem na nic, tylko leczyłem i pomagałem tyle, ile byłem w stanie.

- I jak? Wyżył nieborak, czy podzielił los towarzysza?

- A jakże, wyżył. A gdy przyszła pora pożegnania i Ruski ku swoim ruszał, wielce mi się za moje staranie odwdzieczył.

Tu mężczyzna znowu zamilkł.

- Cwana bestia z tego chłopka, lecz gadać lubi, a to go kiedyś zgubić może – analizował na szybko kowal. - Wiecie, co wam powiem? Zgłodniałem nieco i czas mi do domu wracać. W towarzystwie zacnym weselej. Ruszajmy razem.

- A pewnie, choć drogę i tak znam, boć przecież już w waszej kuźni byłem.

- Tedy ruszajmy. Mam ja w domu świetne piwo, którym chętnie was ugoszczę, bo widzę, że mam przed sobą poczciwego człowieka.

- Skoro prosicie, odmawiać nie wypada, a wręcz to grzech przecie.

Obaj jeźdźcy raźnie ruszyli w kierunku Lidzbarka. Stary Giersz zadowolony był wielce, że los pozwolił mu spotkać właściwego człowieka. W cwanej warmińskiej głowie już rodził się chytry plan, jak wydobyć wiadomości o onych skarbach co to rzekomo gdzieś w okolicach Praslit zostały ukryte.

Mijało południe, gdy mężczyźni wjeżdżali do miasta i niebawem zjawili się przy gierszowej zagrodzie. Z kuźni dochodziły odgłosy pracy. Mężczyźni zsiadli z wierzchowców. Przywiązali konie do płotu i skierowali się w kierunku, z którego dobiegały uderzenia młotów. Albert pierwszy wszedł do środka. Nowy znajomy tuż za nim. Antoni dojrzał ich pierwszy i zdziwił się wielce, lecz na tyle znał już swata, że nic nie dał po sobie poznać.

- A to byłem wierzchowca po drodze przegonić i spotkałem tego oto dobrego człowieka, który ku naszej kuźni zmierzał po sąsiedową bronę.

Banderski młot na bok odłożył i ruszył ku mężczyźnie.

- Brona jak nowa, tylko w pole ruszać.

- Z podziękowaniem, lecz ja to w mieście spraw jeszcze mam kilka i w drodze powrotnej zajadę. Teraz jestem bom miał szczęście właściciela na drodze spotkać.

- Tedy czekamy, a pamiętajcie, że wam piwa przedniego obiecał – rzekł Albert.

Ledwie jeździec za zakrętem zniknął, gdy Antoni stanął przy kowalu.

- Ten sam! Skąd żeście go wytrzasnęli?

- Szczęście. Widzi mi się, że to dobry chłop, choć gaduła. Oj poleje się dzisiaj piwo, a jak tylko jest ten skarb, o którym mówicie, to nasz. Jak Bóg w niebie. Nasz.

Banderskiemu aż gęba wykrzywiła się ze szczęścia.

Minęły dobre dwie godziny i dzień miał się już ku końcowi, gdy przez bramę na gierszowe podwórze wjechał oczekiwany gość. Albert z Antonim siedzieli już w kuchennej izbie i zastanawiali się, jak rozegrać sprawę, by wyciągnąć od nieznanego wieści, które mogłyby naprowadzić ich na miejsce ukrycia tak wymarzonego skarbu.

Kowal wyszedł przed dom.

- Witajcie, a to w kuźni już nikogo nie zastaniecie. Zapraszam do mnie.

Jeździec zsiadł z wierzchowca i stanął niezdecydowany.

- Zmitrężyłem masę czasu – rzekł – dzień teraz krótki, że nie wiadomo, kiedy zleciał. Trzeba mi do domu wracać.

- A czy to bezpiecznie tak po nocy się włóczyć? Nie chcę was straszyć, lecz przecież lichy nie śpi. Różnych to historii się człowiek nasłuchał o tym, co to się wyprawia po zmierzchu na trakcie.

- Prawdę mówicie kowalu, lecz jakie mam wyjście? Gdybym nie zaoferował się sąsiadowi z odbiorem brony, byłbym już w drodze, a tak?

- Zapraszam do mnie. Miejsca dosyć i kąt do spania się znajdzie, a przy okazji

uraczę was obiecany piwem.

Nieznajomy stał niezdecydowany i widać było, że toczy ze sobą wewnętrzną walkę.

- Nie krępujcie się – w sukurs Gierszowi pospieszył Banderski. - Mój dobrodziej swój chłop. Nic wam złego nie grozi.

- No, sam nie wiem.

Albert wyszedł i złapał mężczyznę pod ramię, a następnie pociągnął za sobą do izby.

- Rozgośćcie się. Antoni, a należy piwa, a ja w tym czasie zaprowadzę konia do obory.

Przyjezdny zdecydował się chyba wreszcie, bo wyciągnął dłoń w kierunku Antoniego.

- Ignacy – rzekł.

- A to pięknie wam na chrzcie dali. Jak naszemu ostatniemu biskupowi było.

- W rzeczy samej, choć to przypadek zupełny.

Gdy kowal wrócił do domu, Antoni już całkiem swobodnie prowadził dyskusję z przyjezdnym.

- Coś mi się widzi, że swat dobrze się moim piwem rozporządza – pomyślał. - No, zwierzak już przygotowany do noclegu. Wam też źle nie będzie, a jak mówiłem lichy nie śpi, więc po co mu radości przysparzać?

Gość zdążył już nabrać rumieńców. Podniósł się i ruszył w kierunku gospodarza.

- Ignacy.

- Zaczne imię.

- To samo i wasz pomocnik przed chwilą mi powiadał.

- To nie pomocnik, a swat mój i wspomóżenie wielkie. Kiedym, jak to wam opowiadałem, za linią walk został, ten zajął się wszystkim w kuźni znakomicie.

- O, wa, krążenie było takie, że i w Praslitach nie mogliśmy wyjść z podziwu. Tyle wojska chyba pierwszy raz jakim żyw miałem okazję widzieć.

Albert puścił oko do Banderskiego, a ten napełnił kubki piwem.

- A to nie wiecie Antoni, że Ignacy wielkim się sercem wykazał i przed śmiercią rosyjskich żołnierzy uchronił.

- Tak po prawdzie, to jednego tylko – wtrącił się przyjezdny.

- Ale to tylko dlatego, że ten drugi ducha oddał, a przecie z serca chęci mieliście dla dwóch.

- Prawda, lecz ten drugi niedługo dychał. Nawet go do stodoły nie dowiozłem.

- Takie życie. Śmierć najwierniejszą przyjaciółką żołnierza. Jak sobie kogoś upatrzy, tak i nie odpuści. Tedy za spokój duszy umarlaka przechylmy.

- Niech mu ziemia lekką będzie. Pochowałem go przy kościelnym cmentarzu, jeno nie wiedziałem czy mu krzyż mogę postawić? Za to ten drugi, co to przeżył, złożył z patyków po swojemu i wbił w kurhan.

- Musiał być wam wdzięczny za ocalenie życia.

Gospodarz ponownie napełnił kubek gościowi, a ten przechylił go szybko.

- Dobrze macie piwo kowalu. A wdzięczny i owszem był. Za to, że mnie tak pięknie ugościliście, rzeknę wam i coś więcej, choć dotąd trzymałem język za zębami.

Stary Giersz aż pochylił się nad stołem na te słowa, a Antoni szybko kubki ponownie piwem napełnił.

- Wydawało się, że i z tym drugim sprawa kiepska. Leżał u mnie dni wiele bez ducha i w gorączce. Za to od czasu do czasu zrywał się chyba bólem powodowany i wołał coś o skrzyni, co to niby ją gdzieś w lesie zakopał. Wzywał jakiegoś Aleksandra, potem Konstantego prosił o wstawiennictwo. Tak mi się przynajmniej zdawało.

Albert mrugnął do Antoniego.

- A o samej skrzyni majaczył co jeszcze?

- Prosty ja człek i język dla mnie obcy, lecz zdaje się, że Ruski powtarzał ciągle sosna, sosna i o skrzyżowaniu dróg powtarzał. To jednak tylko przypuszczenia, bo jak

powiadam język parszywy i trudny do zrozumienia.

- A gdy już do zdrowia ów żołnierz doszedł, nie powiadał nic o onej skrzyni?

- Ani słowa, a gdym mu wspomniał, co w marach krzyczał, wyśmiał mnie i wszystko na gorączkę zrzucił. Za to ostatniej nocy przed odjazdem do swoich, przepadł gdzieś, lecz nie na długo. Przy pożegnaniu zaś wręczył mi kilka złotych monet. Tych mieć przy sobie wcześniej nie mógł, bom go sam rozdiewał przecież.

- Hm, dziwna sprawa – westchnął Banderski.

- A dziwna, dziwna i to wam jeszcze powiem, że nie był to niskiej szarży człowiek ten Ruski.

- Skąd taki wniosek? - zainteresował się gospodarz.

- Jak rzekłem, prosty ja człowiek, lecz przecie nie idiota. Z zachowania jego było coś innego, niezwykłego. Nie, to nie był zwykły cham, jak nie ubliżając nikomu, my na ten przykład.

Albert spojrział na Antoniego. Ten bronił się wszelkimi sposobami, żeby nie parsknąć śmiechem i poczerwieniał na twarzy od wysiłku.

- A nie szukaliście owych sosen, co to o nich Ruski krzyczał? - drażył sprawę gospodarz.

- Gdzieżby tam. Akurat sosen ci u nas dostatek i życia by mi nie starczyło, gdybym tak pod każdą chciał sprawdzić, czy tam skarbu nie ma.

- Trudna sprawa, a i historia jakich wiele – podsumował Albert. - No, ale my tu gadu, gadu, a zaraz noc głęboka nastanie. Pora nam spocząć.

Banderski podniósł się pierwszy i skierował kroki ku drzwiom.

- Z Bogiem – rzekł na odchodnym.

Kowal spojrział na gościa.

- Spoczniecie tutaj, przy piecu. Noce już chłodne, to i lepiej wam tu będzie niż w chłodnej izbie na górze.

- Z podziękowaniem, wiele mi do szczęścia nie trzeba. Byle przetrwać do rana.

- Tedy spocznijcie, a nie uciekajcie zanim przed drogą czegoś ciepłego nie zjecie. Ja też do kuźni skoro świt wstaję.

- Dziękuję wam pięknie. Dobrej nocy życzę.

- Dobranoc.

Stary Giersz przeszedł do izby, gdzie Agata spała i położył się po cichu obok małżonki. Mężczyzna leżał i jeszcze raz przetwarzał w pamięci, co mu nowy znajomy o skarbie opowiadał.

- Poczciwe chłopisko ten Ignacy, ale proste i jak baba, języka za zębami trzymać nie umie. Pewnie prawdę powiada, że sosen dużo. Żadna to więc wskazówka. Sosen dużo. Sprawa warta świeczki. Przecie ów Alaksander, którego ranny w marach przywoływał, to nikt inny, jeno sam car. O Konstantym też mi marszałek Ney wspominał i chwalił, że księżę, brat cara, walki bynajmniej nie unikał i kawalerzystą jest nie byle jakim. Jeśli więc ranny samego księcia o wstawiennictwo u brata błagał, to byle czego skrzynia nie zawiera. Tylko tych sosen dużo.

Nagle myśl niczym błyskawica przemknęła przez głowę Antoniego.

- Jam też kiep. Sosen dużo, lecz jeśli prawda ze skrzyżowaniem, co to ruski o nim wołał, to jest ślad. Tego się trzymać trzeba. Ma się głowę na karku. Nie dziwno, że i sam Napoleon miał dobre o mnie mniemanie.

Od wizyty Ignacego minęło już kilka dni, lecz nie było czasu, by sprawdzić, czy gość prawdę powiadał o owych sosnach, co to na rozstaju dróg gdzieś w okolicach Praslit rosną. Temat skarbu wciąż nie dawał Albertowi spokoju, lecz to życie rodzinne najbardziej go pochłaniało.

Gospodarz z radością patrzył jak Agata zaczyna krzątać się po chacie, choć pilnował, by ta nie przeforsowała się zanadto. Znał przecież żonę i wiedział, że ta, kogo jak kogo, ale siebie nie oszczędzała nigdy. Dlatego też każdy krok małżonki był pod baczną kontrolą, a wszelkie próby jakichkolwiek prac gospodarskich duszone w zarodku. Narzekała więc kobieta, że mąż kalekę w niej widzi i przyjemności wzbrania, lecz tyle tylko na chwilę obecną jej pozostawało. W głębi duszy gospodyni sama przyznawała, że słabą jest jeszcze i do pełni sił wiele jej jeszcze brakuje, ale taka to w niej już rogata dusza siedziała, iż każde, najmniejsze nawet ograniczenia, działały na nią niby płachta na byka.

- Nie frasuj się najdroższa – mawiał kowal, gdy żonie nerwy puszczały. - Czas leczy rany, a teraz gdy choć i przy Marysi chwilę posiedzisz, to Zofia więcej czasu będzie miała dla swojej rodziny, boć przecież więcej ona czasu na usługach niż w domu spędza.

Przyznawała mężowi rację w duchu na te słowa Agata i to raczej z przyzwyczajenia i dla pozorów się z nim droczyła.

Tymczasem i Agnieszka czuła się całkiem znośnie. Maurycy co prawda ciągle niepokoił się o żonę lecz też i coraz więcej nadziei w sercu nosił na szczęśliwe zakończenie błogosławionego stanu. Chłopak starał się nie zaniedbywać pracy w kuźni, choć wiedział, że tu na ojca pomoc liczyć może zawsze, gdy taka zajdzie potrzeba. Za to Antoni stał się niekwestionowanym panem młota i to na nim spoczywało najwięcej obowiązków związanych z zamówieniami. Mężczyzna nie narzekał bynajmniej, lecz czuł się wielce docenionym faktem, że właściciel tak na nim polega i wielkim darzy go zaufaniem. Kuźnia Gierszów cieszyła się coraz większym poważaniem w mieście i okolicy, a zadowoleni z usług ludzie przysparzali kolejnych klientów i tak dzień za dniem, piec ciągle się palił i pracy wciąż było dużo. Krótki dzień nie pozwalał przecież na zbyt długie kucie. Za to wieczorami wciąż powracał temat Praslit.

- Coś mi się widzi Antoni, że do zimy możemy zapomnieć o onym skarbie – Albert zwrócił się do swata siedzącego po drugiej stronie stołu.

- Ha – odrzekł Banderski wycierając brodę z piwa, które mu się z kubka wylało

i ciurkiem pociekło na podłogę .– Szkoda wielka by była, gdyby ktoś przed nami miejsce ukrycia skrzyni odnalazł. Widzi mi się jednak, że ów Ignacy raczej nie do końca jest przekonany o istnieniu skarbu.

- Nie byłbym tego taki pewien mój drogi. Chłop z pozoru to prosty, a jednak ma w sobie coś, co nakazuje uznać go za godnego przeciwnika i pomimo długiego języka i zbytnej wiary w drugiego człowieka, jestem przekonany, że ten nie pozostał obojętny i śladu złota szuka.

- Może i macie rację Albercie. Znacie ludzi jak nikt.

Giersza polechtały słowa sąsiada i miód mu się rozlał na sercu.

- No, z tą znajomością to różnie w życiu bywało.

Uśmiechnął się Antoni, bo wiedział do kogo kowal pije. Przecież zły był na Agatę, gdy ta zaraz po przeprowadzce Banderskich do dzikowej zagrody tak za nimi obstawała.

- I mnie się zdarzało, że się na ludziach zawodziłem – odparł. – Za to o was od razu dobre zdanie miałem.

- Lejecie mi miód Antoni i gdybym was nie znał, pomyślałbym, że jakiś interes do mnie macie.

- A gdzie tam zaraz interes. Przecie wystarczy, że mam z kim słowo zamienić a i posłuchać też czasem nie grzech, gdy kto mądrze mówi.

- To kiedy już tak sobie szczerze tutaj gadamy, to powiem ci mój drogi, że ta skrzynia, co to o niej Ignacy tyle gadał, spokoju mi nie daje.

- Znam ja was Gierszów już dobrze i wiem, że jak coś wam na sercu zlegnie, nie ma mocnych. Tedy nie ma nam co sprawy odwlekać, jeno przy niedzieli w teren ruszyć i miejsca z onymi brzozami szukać.

- Kiedy tak powiadacie – z wahaniem odparł gospodarz – może i macie rację. Kobiety nam do zdrowia wracają. Może faktycznie dobrze się w konie wybrać i na miejscu, w Praslitach, za brzozami rozejrzeć.

- Tedy postanowione – rzekł Banderski – i z satysfakcją przechylił wypełniony złocistym trunkiem kubek.

Albert, pożegnawszy swata, najciszej jak mógł skierował swoje kroki do sąsiedniej izby by spocząć u boku małżonki. Jakież było jego zdziwienie, gdy dostrzegł, że kobieta



czeka na niego.

- Chyba cały zapas piwa poszedł, bo gadaliście tak głośno, że ni oka zmrużyć.

- Ależ moja droga, widzę, że do zdrowia wracasz, bo concept ci służy. Wychyliliśmy ledwie po kilka kubków.

- Tere fere. Albo to myślisz, że co chcesz to mi wmówisz. A cóż to za skarb, o którym tyle żeście się nagadali?

- A bo to widzisz – kował gramolił się do łóżka – powiadał Antoniemu jeden taki z Praslit, że przechował i z ran wyleczył rosyjskiego żołnierza. Ten przed odjazdem w podzięce za opiekę, odpłacił się złotymi monetami.

- Też mi skarb. Może miał pieniądze po prostu przy sobie.

- Kiedy Ignacy, to znaczy ten z Praslit, zarzekał się, że ranny żadnej gotówki przy sobie nie miał. Do tego w chorobie ciągle jakąś skrzynię wspominał z pułkową kasą jakoby, którą przed wrogiem gdzieś z towarzyszami ukryli.

- I ty ten skarb postanowiłeś znaleźć?

Giersz spojrział na żonę, a ta w jego oczach dostrzegła takie przekonanie, że wiedziała, iż jeśli tylko ów skarb naprawdę istnieje, to już jest ich.

- Wybieramy się z Antonim do Praslit. Chcemy przypatrzeć się drogom i drzewom. Podobno skrzynia ukryta jest gdzieś na rozstaju, między brzożami.

- Marna to raczej wskazówka.

- Ale zawsze to ślad jakiś i punkt zaczepienia.

- Oj ty mój uparciuchu. Ciągłe za czymś gonisz. Ciągłe czegoś szukasz. Starzejesz się a nic ci na stateczności nie przybywa.

Albert przytulił się do żony.

- Pomyśl sobie ileż to problemów taka skrzynia by rozwiązała?

- Mało ci grosza kuźnia przynosi? Narzekasz na biedę, brak ci czego?

Mężczyzna spojrział zdziwiony na Agatę.

- Mądra z ciebie kobieta żono, aleć ja przecie nie o sobie tylko myślę. Młodzi są wciąż na dorobku. Banderscy takoz. Stefanowi też się nie przelewa.

- Naprawdę i o moim bracie myślisz?

- Jakżeby nie.

- Tedy i jego w sprawę skrzyni wtajemnicz. Przecie mieszka bliżej Praslit i kto wie, czy nie lepiej od ciebie zna okolice. Wszak to niedaleko od Dobrego Miasta.

Podziw rozbłysnął w oczach Giersza.

- Myślę sobie czasami, że los wielce się do mnie uśmiechnął, obdarzając mnie taką małżonką. Przecie, nie pomyślałem o tym zupełnie. Racja, Stefan wiele nam pomóc może w tej sprawie.

- Pomoże na pewno. Już on nie popuści, gdy mu zdasz relację. Taki sam on uparciuch jak ty, a może i większy.

- Jak tylko czas pozwoli, tak zaraz ruszam do Dobrego Miasta. Najpierw jednak z Antonim muszę sprawę uzgodnić, bo choć pewien jestem jego zgody, by i Stefana do tajemnicy dopuścić, to wypada jednak zapytać. Wszak to od Antoniego cała sprawa wyszła.

- No widzisz, czasami i z białogłową warto słowo zamienić.

Albert wciąż pod wrażeniem intelektu Agaty, przytulał ją coraz bardziej do siebie. Poród, potem słabości małżonki sprawiły, że brak mu było kobiety. Kowal błędził rękami po ciele gospodyni. Ta nie broniła bynajmniej, najwyraźniej także pieszczot spragniona. Oddawali się sobie z coraz większą namiętnością i pogrążali się tak w tym kochaniu, że nie wiedzieć kiedy noc im zleciała.

XII

Giersz nie lubił odkładać spraw na później, więc gdy zorientował się, że w kuźni nie będzie potrzebny, postanowił ruszać do Dobrego Miasta. Żeby jednak pozostać w zgodzie z własnym sumieniem, wywołał na chwilę od roboty Antoniego.

- Słuchajcie Antoni – zagał. - Mam ja do was pytanie i prośbę zarazem.

Ogniki zainteresowania zabłysnęły w oczach Banderskiego.

- Jaką to prośbę może mieć do mnie gospodarz? - przemknęło mu przez myśl.

- Chodzi mi o ową skrzynię z groszem – jakoś trudno przychodziło wysłować się Albertowi.

- - Ano chodzi mi o to, że myślę bez przerwy, jak trafić do miejsca, gdzie ona może być ukryta.

- I co wam przychodzi do głowy?

- Nie wiem jak powiedzieć, żebyście sobie co złego nie pomyśleli.

- A to mówcie co myślicie, bez kręcenia w koło.

- A to myślę, tylko to propozycja taka...

- Oj, coś wam ciężko gadka dzisiaj idzie...

- A, bo to myślę, że jest ktoś, kto mógłby nam wielce pomóc, gdybyśmy go do tajemnicy dopuścili.

Antoni spojrział na kowala spod oka i uśmiechnął się pod nosem.

- Chodzi wam o Stefana – rzekł z triumfem.

- A do kaduka, skąd żeście się domyślili?

- Bo sam o nim myślałem. Nie mówiłem nic, bo czekałem, co sami będziecie mieli do powiedzenia.

- I jak dumacie? Warto rozmawiać ze szwagrem? Bo to wiecie, jeszcze jeden do podziału dojdzie.

- Co ma być to będzie. Jak na trzech wystarczy, to i dla czterech dużo mniej nie będzie. Prawda taka jest, że Stefan okolice tamtejsze lepiej zna i tak sobie dumam, że z jego pomocą łatwiej na ów skarb, jeśli istnieje, trafimy.

- To kamień z serca – rzekł Giersz. - Bo ja bałem się, żebyście nie pomyśleli sobie, że wszędzie ze swoją rodziną się wpycham.

- Jakże mogliście tak sobie o mnie pomyśleć Albercie? Albo to nie znacie mnie

jeszcze?

- Rację macie Antoni, ale grosz to grosz, no i to od was o owej historii usłyszałem, więc i do was decyzja należy.

- Dobry z was człowiek swacie i uczciwy. My tu z Maurycym przy kuźni damy sobie radę, a wy jedźcie i rozmówcie się ze szwagrem. Wy tłumaczcie mu co i jak. Niech poduma, rozejrzy się po okolicy, a może i wieści jakichś zasięgnie. Ziemia zaraz zamarznie i dobrze by było, gdybyśmy przed zimą do celu dotarli. Potem to kto wie? Jak już wszelkie ślady zima zatrze, szukaj wiatru w polu.

- Racja. Im szybciej, tym lepiej. Zajrzę tylko do chaty i zobaczę jak miewa się Agata. Ruszę zaraz, to jeszcze nim ciemna noc nastanie do domu wrócę.

- Nie widzi mi się, żebyście przed zmrokiem zdążyli obrócić. Dzień teraz krótki i zmierzch szybko zapada.

- Na szczęście okolice spokojne teraz i wilki też o sobie znać już nie dają.

- Mają jeszcze co w lesie do pysków włożyć. Śniegi spadną, a pewnie usłyszymy jeszcze nieraz o szujach.

Albert uściśnął dłoń Banderskiemu, a gdy ten ku kuźni podążył, Giersz ruszył ku domowi. Agata, jak zapowiadała, krzątała się już po kuchennej izbie. Zza ściany dochodził za to głos Marysi, która wesoło sama ze sobą gwarzyła.

- Rozmawiałem z Antonim o Stefanie.

- I co on na to?

- Zdziwisz się moja droga, lecz i on o szwagrze przemyślał.

- Nie taki znowu prosty Banderski, jak o nim myślisz mój mężu.

Giersz rzucił okiem w kierunku kobiety i zdało mu się, że dostrzegł uśmiech błędzący po jej twarzy.

- Nigdy go za prostaka nie miał...

- Tedy kiedy ruszasz? - przerwała mu Agata.

- Zaraz.

- Oj tam, siadź i zjedz coś.
- Dzień krótki.
- Przed nocą i tak wrócić nie zdążysz, siadaj.

Gospodyni stół zaczęła zastawiać, a kowal z radością patrzył jak mu żona do pełnej sprawności wraca.

Koń raźnie podązał przed siebie kierowany pewną ręką Alberta. Sam kowal także radował się z możliwości wyjazdu z Lidzbarka, bo tak po prawdzie, nijak nie mógł przyzwyczać się do przebywania w jednym miejscu. Pełne nieoczekiwanych zwrotów ostatnie lata odcisnęły swoje piętno i stary Giersz często łapał sam siebie na tęsknych spojrzeniach w kierunku drogi wiodącej za miasto. Duch wędrowca, a może i żołnierza, odzywał się w mężczyźnie.

- Już tam pewnie zdziwi się szwagier, gdy mnie za płotem spostrzeże – cieszył się jeździec. - Jak nic, przyjdzie mi przenocować w Dobrym Mieście, bo dzień nie dość, że krótki, to jeszcze pochmurny.

Wieża kolegiaty zwiastowała cel podróży. Stefan przez okno dostrzegł wjeżdżającego przez bramę mężczyznę

- Na miły Bóg – zawołał wychodząc przed dom. - A cóż to sprowadza tak nieoczekiwanego gościa.

- A cóż to – kowal nad podziw lekko zeskoczył z siodła – czyżbyście nie cieszyli się z mojej wizyty?

- Gdzież tam, anim tak pomyślał, jeno każde wasze przybycie szwagrze zwiastuje ciekawe wieści ze świata.

- Jakiego świata mój drogi? – uśmiechnął się Giersz szeroko. - Gnuśnieję w Lidzbarku i sam siebie łapię na tęsknotach do owych dni, gdy od jednego Francuza do drugiego z wieściami jeździłem.

- Patrzcie go ladaco! Już mu się w domu ckni, a kto jeszcze zupełnie niedawno marzył o spokojnej starości.

- A, starość, czemu nie. Ale ja młody ojciec przecie.

- Macie rację Albercie, macie rację. Zatem proszę pod dach, a ja tymczasem konia do stajni powiodę.

- Pójdę i ja z tobą, bo tak po prawdzie, to nie chciałbym, żeby zbyt wiele uszu naszą rozmowę słyszało.

Zabłyszczały Stefanowi oczy. Już czuł, że szwagier z kolejną tajemnicą do niego przyjeżdża. Jak wtenczas, gdy o baczenie na most dobromiejski go prosił.

Ledwie mężczyźni do stajni weszli, gdy kowal przeszedł do rzeczy.

- Przyjeżdżam do was Stefanie ze sprawą delikatną, a i sekretną.

Już miał wyskoczyć gospodarz z przemową, że komu jak komu, ale jemu najlepiej tajemnice powierzać. Przybysz nie pozwolił mu jednak dojść do głosu.

- Sprawa jest o tyle ważna, że może nam nieoczekiwanego grosza dostarczyć, a kto wie, czy i bytu na czas dłuższy zapewnić nie zdoła.

Ciekawość po takim wstępie rozsadzała Stefana i mężczyzna wlepił wzrok w kowala, oczekując dalszego ciągu.

- Mieszkacie szwagrze w Dobrym Mieście od zawsze i okolice najbliższe dobrze są wam znane.

- A jakże.

- Ilu Rosjan przewaliło się w czasie ostatniej zawieruchy powiadać wam nie muszę.

- Pewnie.

- A jak ich Francuzy przed siebie gonili, dobrze wiecie.

- No chyba.

Stefan aż drżał cały na ciele, bo Giersz wstęp przedłużał, a gospodarz nijak nie mógł rozeznąć, w którym kierunku Albert podąży.

- Tedy jest sprawa.

- Mówcie wreszcie szwagier, bo na próbę mnie tu wystawiacie, a ciekawość wewnątrz rozsadza.

- Tu cię mam – przemknęło kowalowi przez myśl. Nie zwlekał więc.

- - Przyjechał do kuźni człowiek z Praslit i wspominał o wojskach rosyjskich, co to w odwrocie przez ową wioskę jechały.

- Phi, też mi tajemnica – niemile zdziwił się Stefan. - Mało to ich po okolicach ganiało. A to w tę, a to w tamtą stronę. Obaj przecie wiemy jak było.

- Nie przerywajcie mi szwagier, tylko wysłuchajcie spokojnie.

- W słuch się zamieniam.

- Tedy ów człowiek wspominał o żołnierzu, co to go od śmierci uchronił. Było ich dwóch, lecz ten drugi ducha wyzionął.

- Takie życie...

- Stefanie...

- Już milczę...

- Tedy, gdy człowiek do zdrowia już doszedł...

- Ów Ruski?

- Ruski właśnie. Odwdzińczył się złotymi rublami przed wyjazdem do swoich.

- Pewnie w ubraniu je skrywał.

- Nie skrywał, bo wszystko, co miał na sobie, miejscowy spalił, a swoje mu dał w zamian odzienie.

Gospodarz pytająco patrzył na kowala.

- Powiadał ów człowiek z Praslit, że w chorobie dziwne rzeczy krzyczał Ruski.

- Jak to w chorobie.

- Nie zdzierzę – pomyślał Albert. - Stefanie, czy moglibyście mnie w spokoju wysłuchać?

- Przecie słucham.

- Ruski wołał coś o skrzyni i złocie, co to w niej dla wojska przechowywane było.

- Grubsza sprawa.

Giersz, gdyby mógł, wzrokiem chyba zabiłby szwagra.

- Ano grubsza. Tym bardziej, że po chorobie wszystkiego się wyparł, a przecie zniknął jednej nocy i to pewnie wtedy, sądząc, że nikt jego nieobecności nie dostrzegł, wrócił z monetami, które w podzięcie za opiekę zostawił.

- Grubsza sprawa, ale co mnie do tego?

- A widzicie szwagrze, wszak do tego przecie zmierzam. Idzie o to, żeby ową skrzynię ze złotem przed innymi znaleźć i na tym skorzystać.

- A jaka w tym moja rola?

- Wreszcie zaczynacie używać łepetyny Stefanie. A taka, że przecie lepiej ode mnie Prasłity znacie, to i może pomocą swoją mnie i Antoniemu przysłużyć się możecie. Nie za nic przecie.

- Trochę mało wiadomości macie. Majaczenia, skrzynia, monety.

- Ale wiem coś więcej.

- A co niby?

- O brzozech, pośród których skarb ukryty i skrzyżowaniu dróg, które znakiem są dla znalezienia miejsca ukrycia.

- Trudna sprawa.

- Ale warta zachodu.

- Temu nie przeczę.

- To użycie głowy i wysilcie myśli.

- Trzeba by pojechać i po wsi, a okolicy okiem rzucić.

- Po to do was i przybyłem.

- Dzisiaj już późno będzie. Dzień krótki.

- Byłe przed zimą zdążyć, bo potem śnieg wszystko przykryje i ziemia zmarznięta.



- Byle przed zimą, ale to chodźcie do mnie, bo jeszcze przecie Doroty ni Macieja nie ma. Rozgrzejecie się nieco i pogwarzymy. Przecie na noc w drogę ruszać nie chcecie?

- Ano. Wypadałoby w domu noc spędzić, ale widzi mi się, że nie ma rady.

- Tedy chodźmy.

Mężczyźni przemknęli przez podwórko i rychło znaleźli się w chacie Stefana.

### XIII

Listopad właśnie przekroczył półmetek i choć zima wciąż nie miała zamiaru zagościć na Warmii, to Albert powoli godził się z myślą, że ze skarbu nici. Przynajmniej w najbliższym czasie. Stefan, który obiecał, że sam do Praslit pojedzie, rozejrzy się, a jak los pozwoli, to i języka zasięgnie, nie pojawiał się w Lidzbarku. Kował już żałować zaczynał, że sam na rozpoznanie terenu nie ruszył.

Stary Giersz właśnie miał wyjść na podwórze, gdy w przedsionku stuk butów się rozległ, drzwi chaty zaskrzypiały i w progu pojawiła się szwagrowska głowa.

- Pochwalony – zawołał przybysz

- Na wieki wieków – odpowiedział gospodarz.

- Jakże się miewa moja siostra Agata?

- Całkiem znośnie, tak, że już znowu mi się tu rządzić zaczyna, a to i porządki swoje wprowadza, lecz ile mogę, przeciw staję, by mi się z siłami nie przeliczyła i znowu nie zległa.

- Patrzcie go, jak to się o moją osobę martwi.

Agata widać dosłyszała, że ktoś do chaty wkroczył, bo wyglądała ciekawie z sąsiedniej izby.

- To chwała Bogu, bo widzę, że rzeczywiście coraz lepiej się miewasz siostrzyczko.

Stefan ruszył ku gospodyni, by z nią pierwszą się przywitać.

- A to zajdźcie Stefanie i zobaczcie jaka się nam dziewczucha udała – Agata zwróciła się do brata.

- Zrzucę jeno kozuch, a rozgrzeję się trochę, bo to ziąb na dworze i nie wypada tak z zimnem do małej zdążyć.

- Święta racja. Tedy siadźcie w izbie, a ja grzanego piwa na rozgrzewkę przygotuję. Wy zaś bracie powiedzcie, co tam u was w Dobrym Mieście się dzieje. Jak miewa się Dorota i czy Maciej już do sił wrócił?

- A to zasypałaś mnie pytaniami siostrzo moja, że i sam nie wiem od czego mam zacząć?

- Od początku najlepiej, od początku.

- Więc tyle ci powiem moja droga, że dobrze się nam układa i aż serce rośnie, że tak szybko po tej wojennej zawierusze człowiek do normalności wrócił. Jeny strach, czy to aby nie za wiele szczęścia, by znowu co złego się nie trafiło.

- Nie prorokuj Stefanie, nie prorokuj – wtrącił się do dyskusji Albert. - Wszystko przecież co masz, ciężkiej pracy zawdzięczasz i swoim rękóm.

- Prawda, tylko tak to już w tym parszywym życiu bywa, że po dobrych dniach, gorsze przychodzą i doświadczony wiekiem człowiek nawet szczęściem cieszyć się nie potrafi, tylko lęka się, by go zbyt szybko nie utracić.

Stefan przysiadł na ławie i spojrzał w kierunku gospodarza. Ten mrugnął do niego okiem i wymownym ruchem głowy wskazał na okno wychodzące w kierunku podwórka.

- To ty tu piwa przygrzej, a ja tymczasem wierzchowca Stefanowego do obórki powiodę, bo i zwierzęciu też się coś od życia należy – rzekł kowal i skierował się w stronę drzwi wyjściowych.

- Zaczekajcie szwagrze, pójdę z wami. Rzucę okiem na chałupę Maurycego, czy robota dobrze opiera się czasowi.

- Już tam nie myślcie, że prostej kobiecie wszystko wmówić możecie.

Agata spojrzała na męża.

- Tylko wróćcie mi tu zaraz!

Albert machnął ręką, jakby od much się opędzał, co dziwnym było o tej porze roku, lecz nie o to mu przecież szło, tylko zły był, że żona jak zwykle rozszyfrowała jego zamiary.

Mężczyźni wyszli przed dom. Stefan chwycił konia za uzdę i podązał za gospodarzem w stronę pobliskich budynków. Albert nic nie mówił, choć paliła go ciekawość co to za informacje mógł przywieźć szwagier. Bez powodu przecież nie przyjechał. Stary Giersz nie musiał długo czekać.

- Tak jak rozmawialiśmy w czasie ostatniej waszej u mnie wizyty – zaczęła szwagier

– pojechałem do onych Praslit rozpatrzyć za brzożami.

- No i?

- No i to wam powiem, że sprawa prosta nie jest.

- I potoście do mnie w taki ziąb jechali?

Stefan spojrział na Alberta z satysfakcją. Mógł przeżyć swoją chwilę triumfu.

- A to widzę, sprawa owych monet głęboko wam na sercu leży.

- Leży, nie leży, czy to ważne? - zachnął się gospodarz.

- No, no. Nie unoście się kowalu. Powiedziałem sprawa prosta nie jest, ale przecież żem nie rzekł, że beznadziejna.

- Wyrobił mi się szwagier - mruknął pod nosem Albert.

- Mówiliście coś gospodarzu?

- Jeno, że ziąb, a my tu na podwórzu.

- Właśnie, ziąb. Ale, przecież nie o tym rzecz. Byłem, jak powiadałem, w Praslitach i pochodziłem trochę po wiosce. Swoje przemyślenia mam, a i miejsc kilka takich wypatrzyłem, którym bliżej przyjrzeć się warto. To wam jednak powiem, że sprawa prosta nie jest.

- Już mówiliście.

- A mówiłem, mówiłem. Lecz nie wiecie kowalu ku czemu zmierzam.

- Nijak tego dojść nie mogę – z przekorą w głosie odparł gospodarz.

- A właśnie, bo mnie się widzi, że nie tylko wy o odnalezieniu owego skarbu zamyślacie.

Stary Giersz aż przystanął na te słowa.

- Co chcecie mi przez to powiedzieć szwagrze?

- Ano to właśnie, że jestem więcej niż pewien, że wielu jest chętnych do szybkiego zysku.

- Nie wystawiajcie mnie na próbę, jeno rzeknijcie skąd takie wnioski?

Stefan spojrział na Alberta.

- Czułem, że nie jestem sam. Na plecach wciąż miałem obcy wzrok, a nijak nie mogłem wypatrzeć, kto za mną łązi. Aż wreszcie tak krążyć zacząłem, że nie było innego wyjścia jak minąć się w drodze.

- Z kim?

- Ano z tym, kto za mną bez ustanku podążał. Spotkaliśmy się w samych już Praslitach i powiem wam, iż widzi mi się, że trudną możemy mieć przeprawę. Oto stanąłem twarzą w twarz z mężczyzną raczej nikczemnej postury. Ten, choć skryty pod mniszą szatą, z kapturem na głowie, to dostrzegłem włos czarny i wąs takowyż, a oczy błyszczące i groźne, jakby nieszczęście zwiastujące każdemu, kto na drodze owego człowieka stanie.

- E tam, strach wam wyobraźnię pobudził.

- Nie bluźnijcie Albercie. Sami przecie wiecie, że nie jestem z tych, co to lada cień przestraszyć może.

- Niech będzie, ale skąd wiecie, że ten ktoś także za skarbami chodzi.

- Głowy nie dam, lecz przecucie czasem więcej znaczy niż najbardziej oczywista prawda.

- Tedy co radzicie?

- Udać się do wioski w kilku. Pokażę wam one miejsca, które wypatrzyłem, a przy okazji rozpatrzmy się za tajemniczym mnichem.

Wierzchowiec został w obórcie, a mężczyźni wracali ku albertowej chacie.

- Ugadam się z Antonim i Maurycym. Zima za pasem i działać trzeba szybko. Tymczasem idźmy, bo Agata gotowa za nami na podwórze wylecieć. Rozgrzejemy się, a tylko patrzeć, jak w kuźni robota się skończy. Pójdziemy do Maurycego i niby pod pozorem sprawdzenia prac, omówimy sprawę. Przecie i tak do jutra już wam zostać wypada. Lada chwila ciemności ziemię zakryją.

Albert dostrzegł żoniną głowę w oknie i przyspieszył kroku. Szwagier posłusznie podążał za nim.

Mężczyźni siedli za stołem, na którym czekało już na nich grzane piwo.

- Długo wam zeszło w tej oborze – z przekąsem przywitała ich Agata i wymownie spojrzała na męża.

- Nie gniewaj się siostrzyczko, dzień ma się ku końcowi, więc i tak na noc u was zostanę. Czas mnie nie goni.

- A pewnie, że nie masz się co po nocy włóczyć, ale przecież możesz tu, pod dachem posiedzieć, a nie nosi cię jak Alberta. Ciągłe tylko by gdzieś gonił, a tajemnice jakieś skrywał. Dziwaczeje mi chłop na stare lata.

- Tylko nie na stare, tylko nie na stare – próbował bronić się kowal.

- Ty mi tu tematu nie zmieniaj – fuknęła kobieta. - Ciągłe ci się wydaje, że głupią niewiaścę masz przed sobą...

- Gdzieżbym śmiał – próbował obrócić w żart gniew żony – zresztą próżnej baby za żonę bym nie brał.

Stefan przysłuchiwał się tej zwadzie rodzinnej i sam już nie był pewien, żarty się Gierszów trzymały, czy na prawdziwą kłótnię się zanosilo.

- Niewytrzymanie boskie z tą kobietą – roześmiał się w głos gospodarz. - A słucha, szpieguje i spiski jakoweś wciąż węszy. A my jak szwagier ze szwagrem, ot tak, na osobności słowo zamienić chcieliśmy.

- Tedy trzeba było powiedzieć wprost, a wyszłabym do Marysi.

W tej chwili, jakby na zawołanie, z sąsiedniej izby rozległ się płacz maleństwa i Agata chcąc, nie chcąc, musiała gościa zostawić i ruszyć ku dziecku.

Albert spojrzał na Stefana. Wzruszył ramionami i ciężko westchnął.

- Kochana kobieta, ale czasami potrafi dać człowiekowi w kość.

- Taki już nas los. Zresztą, co tu dużo filozofować. Z kobietą bywa źle, ale bez kobiety jeszcze gorzej.

- Amen.

Mężczyźni roześmiali się i przechylili kubki z piwem tak porządnie, że niebawem

nic w nich nie pozostało.

Kowal nie pozwolił jednak, by na tym jednym hańdzie się skończyło i wnet napełnił naczynia ponownie.

- A to wiecie Stefanie, siedzi mi w głowie owa postać, o której wspominaliście i zachodzę, któż to mógłby być?

- Sam Bóg to wie. Widzi mi się jednak, że nie tylko ten ocalony o skarbie wiedział, lecz więcej ludzi tajemnicę znało. Czasy spokojniejsze, więc teraz wrócił jeden z nich i zamiary jak my ma jednakie.

Zadumał się gospodarz.

- Może i macie rację. Musiało więcej osób o miejscu ukrycia gotówki wiedzieć, ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

- Mówcie jaśniej kowalu, bo nijak nie wiem ku czemu zmierzacie.

- Ano widzicie szwagrze, jeśli rzeczywiście ktoś wrócił, by skarb zabrać, wystarczy mieć baczenie i przypilnować obcych, a ci sami nas do celu doprowadzić mogą.

- Fiu, fiu – aż gwizdnął Stefan. - Widzę Albercie, żeście nie w ciemną bici. Nie dziw mi teraz, że z samym Napoleonem mieliście do czynienia.

- Ba – gospodarz tak urósł od tej pochwały, że chwila jeszcze, a uleciałby niesiony własnym uwielbieniem.

- Tylko skąd nam wiedzieć, kto jest tym obcym, skoro my w Praslitach nikogo nie znamy? - zreflektował się Stefan.

- Nie nikogo, nie nikogo mój drogi. Trzeba nam dotrzeć do tego Ignacego, co to Ruskiego zratował.

- To jeszcze jedna głowa dojdzie do podziału.

- Wolę ja naszych pięć głów, jak jedną obcą.

- Dobrze mówicie szwagrze.

W te słowa drzwi izby rozwarły się i do środka wszedł Antoni. Mężczyzna przywitał się z obecnymi i przysiadł do nich. Albert wnet postawił przed swatem naczynie z piwem. Gość z wielką chęcią umoczył usta, a gospodarz pokrótce streścił mu przebieg

rozmowy.

- Zaczyna robić się ciekawie – podsumował Banderski.

- I niebezpiecznie – dodał Stefan.

- Phi, a co mi tam Ruski jakiś. Mało to ich spod Dobrego Miasta goniliście z Francuzami? - Antoniemu najwyraźniej sprawa nie wydawała się groźna.

- Ostrożność zachować trzeba – odezwał się kowal. - Nie wiadomo tak po prawdzie czy i kogo mamy przeciwko sobie. Działać trzeba spokojnie i z rozmysłem. Odszukamy Ignacego. Zdaje mi się, że nie jest to głupi człowiek i do porozumienia dojdziemy. Potem już wola boska. Uda się albo nie. Do stracenia nie mamy nic, a do zyskania być może wiele.

- Prawdę mówicie szwagrze. Gotówki nigdy za wiele, ale też szkoda dla pieniędzy życia narażać.

- Tedy co proponujecie? - nie dawał za wygraną podekscytowany Banderski.

- Pojadę do Praslit, niby to wierzchowca przegonić i postaram się Ignacego odnaleźć. Jak szczęście dopisze, wypytam, czy przypadkiem kogo obcego we wsi nie widział, co w ostatnich czasach się kręci.

- Chyba, że i sam Ignacy z tamtymi w zмовie – wtrącił Stefan.

- Nie bój nic. Już ja poznam, czy człowiek prawdę mówi, czy zwodzić mnie próbuje – obruszył się gospodarz.

- W to wierzę. Jeśli jednak obcy wtajemniczyli w sprawę owego Ignacego, a wy szwagrze zaczniecie go o skarb wypytywać, niebezpieczeństwo na siebie ściągnąć możecie.

Albert z podziwem spojrział na Stefana.

- No, widzę, że i wy głowy użyć potraficie. Dlatego, gdybym tego samego dnia do wieczora nie wracał, wiedzieć będziecie gdzie mnie szukać.

- Tego możecie być pewni. Bez pomocy ani ja, ani Maurycy was nie zostawimy.

- Przekonałem się o tym już raz – uśmiechnął się kowal pod nosem.

- Tak więc postanowione – Stefan jakby dla podsumowania dyskusji przechylił



kubek z piwem.

- - Kiedy zatem macie zamiar ruszać?

- Choćby i jutro. Nie ma co sprawy odkładać, bo kto wie, kiedy zima nas śniegiem i mrozem powita. Zresztą i z uwagi na owego przybysza, o którym szwagier wspominał, czasu nie możemy mitrężyć, by z niczym nie zostać.

- Więc póki chmiel nam w głowach jeszcze nie szumi, możemy powietrza zaczerpnąć, a ty Stefanie będziesz miał okazję bliżej chacie Maurycego się przyjrzeć.

- Święte słowa.

Gospodarz dostrzegł jak Antoni smutnym wzrokiem ogarnął dorodny dzban z piwem, który wciąż stał na ławie i uśmiechnął się pod wąsem.

- Lecz zaraz potem wracamy, by dokończyć dyskusję – zwrócił się do swata.

Mężczyźni jak na komendę podnieśli się z za stołu i ruszyli na podwórze.

Maurycy był równie szczęśliwy jak i zaskoczony niespodziewaną wizytą. Siedział właśnie przy łożku, w którym spoczywała Agnieszka, gdy w sieni rozległy się hałasy. Młody Giersz ruszył ku drzwiom, gdy te rozchyliły się i do wnętrza weszły trzy, znane mu osoby.

- Wuj Stefan – zawołał gospodarz. – Witamy serdecznie w naszych skromnych progach.

Stefan podszedł do młodzieńca i przycisnął go do piersi. Lubił siostrzeńca od zawsze, bo zdawało mu się, że widzi w nim siebie takim, jakim był za szczenięcych lat.

- No, z tą skromnością to nie przesadzaj mój drogi. Niejeden chciałby mieszkać tak jak wy. Chałupa co prawda z budynków gospodarskich przerobiona, lecz niczego jej zarzucić nie można. Już chyba najbardziej skromności. Miejsca wystarczy nie tylko dla ciebie i Agnieszki, ale i dla dzieci. Z zewnątrz też nie widać żadnych wad. Przyjrzałem się dokładnie ścianom zanim tu do ciebie zawitaliśmy.

- A gdzieżby tu usterek szukać po takiej mistrzowskiej ręce?

- Nie kadź, nie kadź. Nawet największym mistrzom zdarza się przeoczyć co nieco. Grunt, że z robotą szybko się uwinęliśmy bez krzywdy dla jakości.

- Do śmierci wdzięczni wam z małżonką pozostaniemy.

- No właśnie, a jak Agnieszka? Prowadź mnie szybko do niej, bo mi moja Dorota zdrowia jej ciekawa. Kiedy rozwiązanie?

- Będzie jeszcze ze trzy miesiące, ale kto wie, czy dzieciak szybciej się na świat nie wyrwie. Bardzo ciężko żona znosi stan błogosławiony.

- Wszystko ma swój czas. Najważniejsze, żeby dzieciak zdrowy był.

Mężczyźni weszli do izby, w której znajdowała się Agnieszka. Albert spojrzął na synową i mimo jej bladej cery dostrzegł, że kobieta wygląda znacznie lepiej niż w czasie jego ostatniej wizyty z Agatą.

Stefan podszedł do łóżka. Pochylił się nad leżącą i cmoknął ją w czoło.

- Jak się czujesz moja droga?

- Całkiem dobrze, a jużem myślała, że koniec przyszedł na mnie.

- Tfu – Antoni splunął zamasyście. – Zabraniam ci o tym nawet myśleć.

- I ja jej to cały czas tłumaczę, ale gdzie tam, ona ciągle swoje – odezwał się Maurycy.

- Tu cię mam – zawołał Albert. – Chciałbyś mieć lepiej jak ja z Agatą?

Śmiech rozległ się w izbie i raptem zdało się, że wszystko co złe, skończyło się w tej chwili.

Dobłą godzinę droczyli się ze sobą wszyscy na zmianę, lecz Albert dostrzegł u synowej oznaki zmęczenia.

- No, moi panowie, wracamy. Mamy jeszcze do pogadania, a i dzban piwa na nas czeka przecież.

- Racja – odparł Antoni, bo i ten widział, że Agnieszka nadrabia miną, lecz błednie coraz bardziej.

Wśród zupełnych ciemności cała trójka serdecznie żegnana przez młodych Gierszów wróciła do albertowej chaty.



## XIV

Mimo, iż piwa znaczna ilość zniknęła w gardłach, a dyskusja przeciągnęła się do późnych godzin nocnych, Stefan skoro świt ruszył ku Dobremu Miastu. Albert za to nie dotrzymał danego towarzyszom słowa i nie wybrał się w kierunku Praslit. Okazało się, że trunek, za którym kował tak przecież przepadał, tym razem miał zły wpływ na jego organizm.

- Starzeje się człowiek – dumął stary Giersz – bywało dawniej, że i dzień cały od dzbana nie odchodziłem, a potem do młota stawałem i jak gdyby nigdy nic swoją robotę zrobiłem. Toż wczoraj raptem kilka kubków przechyliłem, a dzisiaj z łoża wstać nie mogę. W głowie szumi, a mięśnie słabe, że i ustać ledwo mogę. Starzeję się.

Agata, która pożegnała brata obfitym śniadaniem, krzątała się teraz po izbie i nadrabiała czas, gdy po porodzie leżała w niemocy.

- A to widzę, przedobrzyłeś mój drogi wczoraj.

- Gdzie tam przedobrzyłem – obruszył się małżonek. Sam się nadziwić nie mogę, że ledwie po kilku kubkach piwa taka mnie niemoc ogarnęła, jakiej dotąd nie zaznałem.

- Otóż to. Młodzieńca strugasz, życia używasz, a to już nie te lata. Czas na umiar i opamiętanie.

- Mówisz jakbym tydzień od stołu nie odchodził, a ja przecież jeno jeden wieczór ze szwagrem przy piwie spędziłem.

- Toteż ci nie wypominam, jeno widzę przecie, że słabujesz od rana. Stefan wsiadł na wierzchowca i pojechał do domu jakby nigdy nic, a ty męczysz się, sapiesz, a biały jesteś niczym piekarz.

- Jak zwykle masz rację moja droga. Nie przegapisz niczego. Słabym dzisiaj i chyba nici z mojej wyprawy do Praslit, co to ją zaplanowałem.

- A pewnie, bo mi jeszcze gdzie po drodze z siodła spadniesz i stare kości połamiesz...

- Tylko nie stare... - zaprotestował Albert.

- A potem dwoje dzieci na utrzymaniu mieć będę. Nie dość, że Marysię, to jeszcze i ciebie.

- Odpocznę nieco i jutro pojedę. Skarb nie zając, nie ucieknie. Jak nam go los przeznaczył, to w nasze ręce trafi. Dzisiaj czy jutro, co za różnica?

Agata z uwagą przyglądała się mężowi.

- No co?

- Ano patrzę tak i patrzę i nadziwić się nie mogę, bo aż dziw, tak mądrze mówisz.

Gospodarz zrozumiał drwinę i pogroził żonie palcem. W tej chwili śmiech rozległ się w izbie.

Do południa zeszło, gdy słabość zaczęła przechodzić Gierszowi. Już zbierał się kował, by w oborze przy zwierzętach obrządek zrobić, gdy do izby wpadł zziębnięty Banderski. Gospodarz przeraził się wielce, bo już w głowie stanęła mu Agnieszka.

- Stało się co? – zaczął.

Antoni głosu z siebie nie mógł wydobyć.

- Stało się, stało, jeno ochłonąć muszę.

- Coś z Agnieszką?

Banderski tylko głową pokręcił i stał nadal ciężko dysząc.

Albert nie namyślając się wiele, złapał za kubek, wody nabrał w niego i podał Antoniemu. Ten duszkiem zawartość naczynia wychylił, ciężko westchnął i wreszcie głos mu wrócił.

- Nowe wieści z Praslit przynoszę, straszne.

- Jak to z Praslit, przecie słyszałem jak dzień cały w kuźni młoty kuły.

- Bo też i w kuźni byłem, jeno Ignacego sąsiad przyjechał i od niego wiem o onej sprawie.

- Jakiej sprawie, mów jaśniej swacie. - Giersz coraz bardziej był ciekaw, co tak wstrząsnęło Banderskim.

- Ignacy pobity i ledwo żyw w chałupie leży.

W gospodarza jakby piorun strzelił.

- Jak to pobity? Kto? Gdzie? Na rany Jezusa, kiedy to się stało?

- Ledwie wczoraj. Powiadał mi ów jegomość, że dzisiaj sam Ignacy ku Lidzbarkowi się wybierał i obiecał do naprawy ośkę sąsiadową podrzucić. Tymczasem ten go z samego rana w opłotkach znalazł. Po śladach krwi widać było podobno, że ranny do chaty dotrzeć nie zdołał. A kto, za co i w jakich okolicznościach tak go zaprawił nie wiadomo. Dużo posoki biedak stracił i teraz bez ducha leży.

- Mówił co więcej ów jegomość może?

- Wszystko wam tu żem powtórzył. Wystraszony wielce nieborak sąsiadowym nieszczęściem i tyle tylko powiedział. Widzi mi się, że nic więcej nie wie, bo szczerłość mu z oczu biła, gdy mi o Ignacego wypadku rozprawiał.

- Dziwna sprawa i niebezpieczna. Bo, że ze skarbem związana, jestem więcej niż pewny – podsumował gospodarz.

- I ja tak myślę.

- Widać i Ignacemu monety spokoju nie dały. Musiał na własną rękę skarbu szukać i komuś się przy tym naraził.

- Myślicie o mnichu?

- Kto wie? Wszystko trzeba brać pod rozwagę.

Albert spojrział na swata.

- Pytałeś może, gdzie Ignacego chata się znajduje?

Antoni nadał się jak paw.

- O, wa! A to za kogo mnie macie? Pewnie, że wiem. Zaraz do głowy mi przyszło, żeby o to zapytać.

- Toś mi brat. Nie mamy innego wyjścia. Trzeba nam do Praslit jechać.

- Jeno po co, skoro Ignacy bez ducha leży?

- Popatrzeć trzeba, a popytać. Może ktoś widział coś podejrzanego. Późno już, lecz jutro ruszam.

- Jadę ja z wami. Widzę, tajemnicza sprawa. Samemu niebezpiecznie, o czym Ignacy się właśnie przekonał.

- A kuźnia?

- Powiem Maurycemu, da radę sam dzień jeden. Przecie nie ułomek z niego, a i robota mu nie pierwszozna.

- Zgoda. Skoro świt ruszamy.

- Tedy lecę, bo pracy sporo i trzeba nam dzisiaj nadrobić to, co jutro zrobić mieliśmy.

- Ale – nagła myśl przebiegła przez głowę Alberta - kiedy ów człowiek z Praslit ma po ową ośkę się zgłosić?

- Na rany Boga, przecie dzisiaj!

- To ja z wami Antoni do kuźni idę. Muszę jegomością po mojemu za język pociągnąć.

- Jak uważacie swacie. Jenó co myślicie od niego wyciągnąć, skoro ja sam wiem gdzie Ignacego szukać?

- Już moja w tym głowa. Już moja głowa.

Pobiegli obaj ku kuźni. Antoni do Maurycego dołączył i dźwięk młota niósł się po całym grodzie. Stary Giersz, nie zważając na chłód, przysiadł na ławce i wypatrywał przybysza. Nie minęła i godzina, gdy ku zagrodzie zbliżył się jeździec na koniu. Niewysoki, to aż nadto delikatnie powiedziane. Dziwne, wręcz nienaturalne ku ziemi zgięcie postaci sprawiało, że i sam Napoleon wydał się Albertowi olbrzymem. Za to wąs znakomity, na cal albo i więcej się ciągnący sprawiało, że mimo wszelakich braków, to jednak groźna owa postać wydała się kowalowi.

- Pochwalony. - Nieznajomy zwrócił się ku gospodarzowi rzucając niespokojnym spojrzeniem dookoła, jak gdyby spodziewał się zagrożenia.

- Na wieki wieków. A skąd to Bóg prowadzi? - odezwał się Albert.

- A to za ośką przybywam, co to ją z samego rana do naprawy ostawiłem.

- A, ośka. Słyszałem. A to waść jest sąsiadem mojego znajomego, Ignacego?

- Jakże to? To waść Ignacego znacie?

- Na miły Bóg! A bo to jedna beczułka piwa pękła nam na wspólnej dyspucie? Co tam u mojego znajomka słyhać?

- A to panie nie wiecie? Bez ducha Ignacy w chałupie leży.

- Nie może to być! Choroba?

- A gdzie tam! Nie wiadomo co się stało. Czy komu się biedaczysko naraził. Grunt, że dzisiaj z rana w opłotkach go nakryłem bez ducha, wykrwawionego bez mała.

- Jak to wykrwawionego, bez ducha? Kto, gdzie, kiedy?

- Ba! I ja o tym myślę bez ustanku. Taki chwiat! Życzliwy każdemu, a tu takie nieszczęście!

Giersz zbliżał się ku gościowi, a ten ustępując przed nim ku kuźni się cofał.

- Gadajcie mi tu zaraz i jasno! Bez krętactw! Kto krzywdę Ignacemu wyrządził?

- A bo to ja wiem? Obiecał mi sąsiad przy okazji przysługę. Wiozę oskę do niego, a ten ledwo żyw w opłotkach leży. To ja go na plecy, do chałupy i o pomoc wołam, bo baba jego zdrętwiała, ze strachu ni pary z gęby wydobyć nie może.

- I co dalej?

- Ano medyk przybył, rany opatrzył i rzekł, że w ręku Boga życie i los Ignacego.

- A co z nim?

- Ranny, krwi wiele zgubił, bo i cięć na człowieku tyle, jakby komu na jego losie zależało.

- Wyjdzie z tego?

- Bóg dał, Bóg odbierze, gdy pora przyjdzie?

- Bodaj tam! Pytam czy wyjdzie z tego?



- Jeśli przeżył do dnia gdym go znalazł, to zdaje mi się, że nie pora na niego jeszcze.
- O to mi chodziło.
- Ba.
- Zawiedziecie mnie do niego!?

Nieznajomy raptem podejrzliwie spojrzął na Alberta?

- A w jakim to celu?
- Guzik was to obchodzi!
- O, grzeczniej proszę, bo nie wiem z kim mam wszak do czynienia!
- Giersz, właściciel tej oto kuźni!

Zmalał raptem przybysz i twarz mu grymas skrzywił.

- No, skoro nalegacie...
- Nalegam.
- Niech wam będzie, pokażę.
- Albercie, ja z wami pojedę – zdecydowanie powiedział Banderski.
- Gdzie tam, pracy w kuźni jeszcze sporo na dzisiaj zostało.
- Tedy do jutra niech gość u nas zostanie, a rano ruszymy w trójkę.
- Do jutra? Nie może to być, dzisiaj jeszcze w domu być muszę. Ani chybi, nic z tego.

Stary Giersz patrzył to na swata, to na Ignacego sąsiada i zastanawiał się jak wybrnąć z zaistniałej sytuacji.

- Niebezpieczny obrót zaczyna sprawa przybierać. Zawsze co dwie głowy, to nie jedna. Antoni – rzekł wreszcie – ty do młota wracaj. Pojedziemy jutro, z samego rana.
- Ale... - zaczął wystraszony przybysz.

- Mam ja do was prośbę – przerwał mu kowal. - Jutro skoro świt ruszymy z Antonim i drogą na Smolajny skierujemy się w stronę Praslit. Wyjedźcie do nas i razem do zagrody Ignacego dotrzemy.

Odetchnął mężczyzna z ulgą.

- Niech będzie. W drodze z Praslit do Smolajn czekał na was będę. Skoro tak bardzo wam na zobaczeniu sąsiada zależy?

Nagle wątpliwości zaczęły się rodzić w głowie przybysza.

- Ale to mi dziwne, bo mówiliście, że dobrze Ignacego znacie, a gdzie mieszka nie wiecie?

Banderski rzucił wymownie spojrzeniem na swata, lecz ten szybko znalazł odpowiedź.

- Słuchajcie co wam prawią, a nie co byście chcieli usłyszeć. Powiadałem, że niejedna beczułka przy dysputach nam pękła. Nic więcej. Skoro jednak tak was ciekawość rozsadza, tedy powiem, że w lidzbarskiej knajpie, a nie w Ignacego chałupie.

- Może być – odparł mężczyzna. - Nie gniewajcie się kowalu, żem dociekliwy. Wszak o sąsiedzie myślę i bezpieczeństwie jego. Sam nie wiem, co sądzić. Człowiek w spokoju tyle czasu przeżył, a tu szast, prast i po człowieku.

- Tfu – splunął Giersz zamasyście. A żeby was...

- Macie racje. Mężczyzna przeżegnał się. - Tak mi się jakoś wyrwało niechcący, choć przecie mu tego nie życzę.

Albert ponownie ogarnął spojrzeniem przybysza. Nie podobał mu się ten człowiek. Giersz nie potrafił powiedzieć dlaczego, lecz było w tej postaci coś, co budziło niepokój. Raptem, w warmińskiej głowie zrodziło się podejrzenie, że właściciel ośki nie mówi prawdy, a co najmniej wszystkiego, co mógłby powiedzieć.

- Tedy możecie już jechać. Światła jeszcze trochę, choć przed zmierzchem i tak do Praslit dotrzeć nie zdążycie.

- Nijakich szans i ja na to nie widzę. Trudno, dzień coraz krótszy, lecz obiecałem, że dzisiaj z powrotem będę.

- Pamiętajcie zatem, my skoro świt ruszymy. Na Smolajny.

- Będę czekał, możecie być spokojni.

- Jeszcze by nie – ni to potwierdził, ni pogroził Albert i skierował się ku chacie. Sasiad Ignacego westchnął dziwnie ciężko i wraz z Antonim skierował się w stronę kuźni.

## XV

Noc wciąż gościła nad miastem, gdy z Lidzbarka dwóch jeźdźców zmierzało w kierunku Pilnika. Gęsta mgła spowijała wiejski kościółek, a jej wijące się po pobliskim cmentarzu kłęby sprawiały, że zimny dreszcz wstrząsnął Banderskim. Dostrzegł to czujny kowal.

- Cóż to, duchów się boicie Antoni?

- A gdzież tam, tak tylko mi jakoś te mgły między grobami tańczące przypomniały owe doły, co to je po lidzbarskiej bitwie zwłokami poległych wypełniano. Toż tam nawet krzyża nie masz.

- Albo to wiadomo ilu z tych, co życie stracili w Boga wierzyło?

- Krzyż nikomu jeszcze krzywdy nie wyrządził.

- Mądrze mówicie swacie - zadumał się Giersz. - Nie nasza to jednak rzecz. Widocznie taka praktyka wojenna.

Banderski westchnął ciężko. Obejrzał się za siebie z obawą, bo tak po prawdzie to dziwnie mu się na duszy zrobiło. Bał się przed kowalem przyznać, lecz z dzieciństwa jeszcze miał jakiś lęk wewnętrzny zawsze, ilekroć przychodziło mu przebywać w pobliżu cmentarza.

Albert pogonił wierzchowca i Pilnik pozostał wnet za plecami podróżnych.

- Nie mogłem spać dzisiejszej nocy – odezwał się wreszcie kowal.

- Tak wam na sercu los Ignacego leży?

- To też, lecz co innego bardziej mnie trapi.

- Cóż, jeśli wiedzieć wolno?

- Nie podoba mi się ten sąsiad. Jakiś głos wewnętrzny powtarza mi wciąż, że nie można mu ufać.

- Głosu serca czasami warto posłuchać, lecz ja nie odniosłem takiego jak wy

wrażenia. Co się wam w tym człowieku nie podoba?

- Ba! Bądź tu mądry, kiedy sam nie wiem, lecz da Bóg, przekonamy się niebawem, czy mnie nos nie zwodzi.

- Obyście nie mieli racji kowala, bo cóż, jeśli w pułapkę jedziemy.

- Tedy oczy miej otwarte i nie ufaj niczemu. Tajemnicza sprawa z tym skarbem. Coś mi się widzi, że niejedno nas jeszcze zaskoczyć może.

Banderski przeżegnał się i mruczał coś pod nosem. Giersz spojrział na niego spod oka i nie mówił nic. Dłuższy czas jechali mężczyźni w milczeniu. Zimny, mglisty poranek nie sprzyjał dyskusji. Wilgoć przenikała do ciała i zimno dawało się jeźdźcom we znaki.

Do Smołajn dotarli nie wiedząc kiedy i dopiero kontury letniego pałacu biskupiego wyrwały kowala z zadumy.

- Trzeba nam wypatrywać postaci. Niedaleko do Praslit.

Antoni stanął w strzemionach.

- A to nie jestem pewien, lecz mam wrażenie, że widzę kogoś przed nami.

- Pamiętaj, oczy miej dookoła głowy.

Mimo gęstej wciąż mgły i kowal spostrzegł w odległości kilkudziesięciu kroków jakąś postać na samym środku drogi. Zupełnie tak, jakby oczekujący obawiał się, że może pozostać niezauważony.

Jeźdźcy jechali przez chwilę jeszcze. Tymczasem człowiek na drodze machnął ku nim ręką. Albert pierwszy zeskoczył z wierzchowca.

- Pochwalony – odezwał się. A bo to rozmawialiśmy tyle, a nie spytałem nawet jak was zwa.

- Grzegorz.

- Zatem witajcie Grzegorzu. Co tam u Ignacego?

- Bez zmian. Nic chyba nie skorzystacie z dzisiejszej wizyty. Sąsiad bez ducha wciąż leży.

- To już nasze zmartwienie – odezwał się Banderski.

- Tedy ruszajcie za mną.

Grzegorz zgrabnie wskoczył na siodło i żwawo ruszył przed siebie.

Albert spojrzął na swata, pokręcił głową. Obaj mężczyźni ruszyli w ślad za przewodnikiem.

Nie minął i kwadrans, gdy przed podróżnikami zamajaczyły kontury budynków. Prowadzący ich jeździec wskazał na lewą stronę drogi.

- Oto i zabudowania sąsiada.

Rzeczywiście, jakieś dwieście metrów od szlaku znajdowało się gospodarstwo. Cztery bryły zabudowań tworzyły zamkniętą całość. Stojące tu, oprócz chaty, drewniane, lecz solidne gospodarskie budynki sprawiały wrażenie schludnej całości. Szczekanie psów oznajmiało gospodarzom przybycie niespodziewanych gości.

Trzech jeźdźców wjechało na podwórze.

- Jeszcze wczoraj zapowiedziałem gospodyni wasze przybycie – odezwał się Grzegorz zeskakując z wierzchowca.

- Dobrześ uczynił – rzekł Albert.

W oknie chałupy tliło się światelko. Mężczyźni ruszyli ku drzwiom. Te uchylły się zanim ktokolwiek zdążył zapukać. Ukazała się w nich niewysoka, delikatna postać. Znać, że kobieta.

- Witajcie, a to jakem wam wczoraj rzekł, przyprowadziłem znajomego waszego chłopca.

- Wejdźcie.

Gospodyni wpuściła przybyłych do środka i z nieukrywaną ciekawością przyglądała się gościom.

- Jestem Giersz, kowal z Lidzbarka, a to swat mój – pospieszył z wyjaśnieniami Albert.

- - Zналиśmy się z Ignacym i gdy tylko wieści mnie doszły o jego nieszczęściu, postanowiłem, nie tracąc czasu, samemu o stanie rannego się przekonać.

Kobieta kiwnęła głową i ruchem ręki wskazała sąsiednią izbę.

Pierwsze promienie budzącego się dnia nieśmiało zakradały się do chaty, lecz kowal najpierw usłyszał głos, a zaraz potem dostrzegł postać leżącą w pościeli. Głowę Ignacego zakrywał biały materiał splamiony miejscami czerwoną posoką. Ranny spoczywał ze wzrokiem utkwionym w suficie, a z ust jego od czasu do czasu wydobywał się cichy jęk.

- Cierpi nieborak – rzekła gospodyni szlochając. - Komu się naraził i czym? Bóg jeden wie. Co mnie przyjdzie począć, gdy jego zabraknie?

Giersz odruchowo przytulił kobietę do siebie.

- Nie gadajcie, dobrze będzie.

Lecz w duchu, sam nie był pewien kowal, czy racja jest po jego stronie. Ignacy źle wyglądał. Trupioblada twarz nie wróżyła dobrze.

- Musiał krwi dużo stracić – Antoni jakby czytał w myślach swata.

- Ani chybi, dlatego tak słabuje.

- Powiedzcie nam gospodyni, groził kto Ignacemu?

- A skąd, toż my tu sami, niemal na odludziu to i komu mógłby się człowiek narazić.

- Rzeczywiście, trudno powiedzieć, że we wsi żyjecie.

- Ot, taka to wioska – rzekła kobieta. – Parę dymów, jeden drugiego ledwie okiem sięgnie. Jak w puszczy tu niemal jesteśmy. Tyle co z Grzegorzem styczność mamy i pomoc gdy trzeba.

- I z wzajemnością.

- Tak właśnie, to mój Ignacy Grzegorzowi, to Grzegorz nam pomoc wyświadczy.

- A nie chodził kto nieznajomy po okolicach ostatnio.

- Ja w chacie przeważnie, to i ciężko mówić, choć psy w ostatnich tygodniach jakby częściej czekały po nocach. Po tej wojnie, co to wiosną i latem przez nasze pola się przetoczyła, zdawało się, że spokój wreszcie nastał.

- A Ignacy nic nie wspominał?

- Zaśby o czym?

- No, czy niebezpieczeństwo mu jakieś nie grozi.

- Gadać nie gadał, choć gdyby nawet i tak było, to pewnie nic by mi nie powiedział. On już taki od zawsze, nie chciał, żebym strachała się niepotrzebnie.

Cichy jęk ponownie rozległ się w pomieszczeniu. Giersz podszedł do łóżka i pochylił się nad rannym.

- Ignacy! To ja, kowal z Lidzbarka, pamiętacie mnie?

Oczy rannego rozwarły się nagle i mężczyzna spojrzał, zdawało się zupełnie przytomnie. Giersz miał wrażenie, że leżący dał mu znak mrugnięciem. Lecz powieki tak nagle jak się rozchyliły, tak też nagle opadły na powrót.

Albert wyprostował się i spojrzał za siebie. Zdawało mu się, że gospodyni wymienia nerwowo spojrzenie z sąsiadem. Mężczyzna nie dał jednak po sobie poznać, że dostrzegł cokolwiek.

- Słaby jeszcze – rzekł tylko nie wiadomo do kogo.

- Słaby – jak echo powtórzył Grzegorz.

- Nic tu po nas – Giersz zwrócił się do Banderskiego i ruszył w stronę gospodyni. - Przyjadę tu za jakiś czas. Widać, że nie daje się kosztusze nieborak.

- Obyście mieli rację – odezwała się drżącym głosem kobieta.

Albert z Antonim wyszli przed chatę. Kowal spojrzał na swata.

- Coś mi się tu nie podoba. Dałbym głowę, że Ignacy wskazał wzrokiem na swojego sąsiada.

Banderski zaskoczony aż przystanął.

- Zdawało się wam swacie. Przecie on ledwie dycha.

- Zdawało, albo i nie zdawało. Sam nie wiem, co mam o tym myśleć – zastanawiał się Giersz głośno. - Może rzeczywiście jestem uprzedzony do człowieka?



- Mnie to się właśnie wydaje. Nie podpasował wam Grzegorz i teraz wszystko co złe, z jego osobą wiążecie.

- Kto wie, kto wie po czyjej stronie jest racja. Wiecie co Antoni, rozejrzyjmy się. Dzień już w pełni.

Mężczyźni powoli, krok za krokiem szli wzdłuż zewnętrznej linii zabudowań i rozglądali się ciekawie.

- Ani chybi, porządny z Ignacego gospodarz. Wszystko aż lśni i widać, że nie byle jaka ręka trzyma to w garści.

- Nie ma co – wtórował Banderski – powiedziałbym, że zagroda niczym gierszowa.

- Ty mi tu nie lej miodu na serce, jeno sosen wypatruj.

- Kiedy wypatruję – uśmiechnął się Antoni. - Wypatruję i wącham gdzie by tu mogła ona skrzynia być schowana.

- I co widzisz?

- Ano nic niestety.

- Ech, przyjdzie nam obejść się smakiem mój drogi.

- Wierzycie w to, co gadacie? Już ja was zbyt dobrze znam, żebym uznał za prawdziwe, co teraz prawicie.

Albert podszedł i klepnął Banderskiego po ramieniu.

- Nic tu po nas. Wracajmy do domu. Póki Ignacy nie wydobrzeje, nie ma co o skarbach myśleć. Mój nos mi mówi, że tylko ranny do skrzyni nas doprowadzić może.

Mężczyźni wrócili na podwórko, odwiązali wierzchowce, wskoczyli w siodła i ruszyli przed siebie. Kowal kątem oka dostrzegł jak zza okna bacznie obserwuje ich Grzegorz. A może tak mu się tylko zdawało.

Jeźdźcy spokojnie, nie popędzając koni, zmierzali w kierunku Lidzbarka. Raptem Banderski usłyszał głębokie westchnięcie.

- Panie, ty chyba nie chcesz, żeby ta skrzynia dostała się w ręce Giersza.

Antoni spojrzał na swata, a następnie podążył za jego wzrokiem. Przed

mężczyznami, jak wzrokiem sięgnąć, wzdłuż drogi ciągnęła się brzoza aleja. Mało tego, zarówno po prawej jak i lewej stronie traktu widoczne były zagajniki... pełne brzeziny.

- Pas – wyrwało się z ust Banderskiemu.

- I ja tak myślę, ale przecież do jasnej Anielki, to nie może być, żeby skrzynia spoczęła w którymś z tych zagajników. Przecież przy takiej liczbie drzew łatwo trop zgubić i ślad zatrzeć. Nie, nie może to być, żeby Giersz tak łatwo odpuścił. Boże, jeśli wspomóżesz to i ja grosza nie poskapię.

- Z Bogiem się licytujesz swacie? Wszak on ma wszystko, czego tylko zapragnie.

- W niebie tak, ale tu, na ziemi, niejedna świątynia o pomoc woła.

- A jeśli ów Rosjanin naprawdę w gorączce majaczył? - nie odpuszczał Antoni.

- To skąd wziął grosz, którym za zratowanie się odwdzieczył?

- Racja. Ale mógł przecież tyle mieć, ile dał Ignacemu.

- Myślicie, że z pustą ręką do swoich ruszył?

- Same pytania – westchnął ciężko Banderski.

- Ale, nie frasujcie się Antoni. Nie takie problemy nas w życiu spotykały, a i tym daliśmy radę. Niech tylko Ignacy wydobrzeje.

- Oby wydobrzeał.

- Wydobrzeje, już z nim nie jest tak źle jak my obaj myślimy. Mam ja wewnętrzne jakieś przekonanie, że tu gra jakaś się toczy. Jednego wszak nie pojmuję?

- Czego swacie?

- Jaka rola przeznaczona jest tu dla Grzegorza?

- Wy znowu z tym Grzegorzem swacie.

- Mówisz, uprzedziłem się do niego? A jednak. Jakem Giersz, przyjrę się sprawie dokładnie.

- W to wierzę.

- A widzisz! Jedźmy, nic tu po nas. Za dzień, dwa, obrócę do Praslit ponownie.

- Ja z wami.

- A pewnie.

Wierzchowce szturchnięte piętami rażno pomknęły przed siebie.

## XVI

W Lidzbarku czekała na kowala niespodzianka. Kiedy w podwórzu pożegnał się z Antonim i cieszył się na spotkanie z małżonką, w chacie oprócz domowników zastał księdza Cichowskiego.

- Bóg chyba przyjął propozycję.

- Co tam mrużycie Albercie? - Wyszedł mu naprzeciw duchowny.

- Pochwalony!

- A pochwalony, pochwalony.

Kowal stanął niezdecydowany nie bardzo wiedząc, co z sobą począć, tak bardzo go obecność duchownego zaskoczyła. Mężczyzna dostrzegł to zakłopotanie.

- Ale to widzę, że nie w czas ta moja wizyta.

- Skądże znowu ojczcie. Gość w dom, Bóg w dom. Nie spodziewałem się was przecie ujrzeć i stąd moje zaskoczenie.

- A widzisz. Obiecałeś częściej się w kościele pokazywać. Chrzczyny zamierzałeś wyprawić. A tu co? Cisza. Zaniepokoiło mnie to milczenie, więc i jestem. Widzę jednak, że zarówno małżonka jak i przysła matka dobrze się mają i nic nie stoi na przeszkodzie, aby się zamiary spełniły.

- Prawdę mówicie ojczcie. Moja Agata coraz lepiej sobie poczyną, a i Marysia też rośnie jak na drożdżach. Z Agnieszką wielkie zmartwienie mieliśmy, ale widać Bóg czuwa nad naszą rodziną, bo i tu ku lepszemu się zanosi.

- Święte słowa Albercie, święte słowa. Gdzie Bóg tam i szczęście a bogactwo.

Mężczyźni przeszli w stronę ławy i przysiedli naprzeciw siebie. Gospodyni, stojąc przy piecu, przysłuchiwała się dyskusji.

- A to nieszczęście zdarzyło się znajomemu z Praslit i pojechałem z Antonim w biedzie małżonkę jego wesprzeć i o zdrowie chorego się dowiedzieć.

Duchowny uśmiechnął się pod nosem.

- Tak powiadasz, a ja tu o skarbach jakowys słyszałem.

Giersz spojrział na żonę, a ta spłonila się niczym żar w palenisku.

- Ot, babine gadanie – mruknął do siebie pod nosem.

- Uważaj mój drogi, bo wiele legend po pobycie wojsk w tych okolicach słyszałem i niejeden gospodarz pole zaniedbał, szukając czego nie ma. Ot, choćby pierwsza z głowy historia z naszych przecież okolic. Usłyszałem ją objeżdżając pobliskie tereny, gdy w Białej Woli bawiłem. Otóż miejscowi ludzie gadają, że w czasie zimowego pochodu wojsk francuskich doszło do niezwykle tajemniczego zdarzenia. Otóż nieostrożni i nieznający terenu gwardziści Napoleona rozbili obóz na nocleg na zamarznętym pobliskim jeziorze.

- Tonka?

- Właśnie!

Stary Giersz, łasy na podobne gadanie nadstawił ciekawie uszu.

- O, widzę, że trafiłem w twój czuły punkt – spostrzegł zainteresowanie ksiądz Cichowski. - Ale, wracajmy do tematu. Otóż żołnierze ci jak to już wspomniałem...

- Gwardziści – przerwał gospodarz.

- Otóż to, gwardziści. A więc ci francuscy gwardziści, mój drogi, rozłożyli się obozem na zamarznętym jeziorze, bo to zima była przecie.

- Ojciec drwi sobie ze mnie i za kpa mnie chyba uważa, toć jasne, że zima skoro lód – przemknęło Gierszowi przez głowę.

Na szczęście duchowny zbyt zajęty opowiadaniem nie spostrzegł miny kowala i kontynuował.

- Otóż jak to ci już wspomniałem, zimą to było...

- Boże, bądź miłościw – wyrwało się Albertowi.

- Zimą to było, więc i chłód dawał się Francuzom we znaki. Tedy dla wygody i przygotowania stawy, szereg ognisk niebawem na lodzie zapłonęło. Nieświadomi niebezpieczeństwa żołnierze zlegli na spoczynek. Tymczasem ciepło od ognisk bijące

stopiło lód i niczego nie spodziewający się ludzie na dno ze sprzętem i całym dobytkiem poszli nie wiadomo kiedy – z satysfakcją zakończył opowiadanie Cichowski.

- O tym nie słyszałem, ale to i nie dziwno, z innej strony ku miastu przybyłem. Pewni jesteście ojcze, że to o jezioro Tonka chodziło?

- Toż Biała Wola przy tymże jeziorze leży, nie żadnym innym przecież, a tam to ową historię słyszałem. Ile w niej prawdy a ile legendy? Bóg jeden raczy wiedzieć. Podobno byli już nawet śmiałkowie, którzy ostatniego lata sporo czasu na poszukiwania stracili. Najwidoczniej nikt jednak na skarby nie trafi, bo też żaden z miejscowych się nie chwalił.

- Tyle ojcu powiem, że gdybym to ja cokolwiek znalazł, też siedziałbym cicho niczym mysz pod miotłą.

- Masz rację. Co wiedziałem, dokładnie ci tu powtórzyłem. Ot i historia cała. Ty mój drogi swój rozum masz i wiesz, że fantazja ludzka nieograniczoną formę przybiera i z jednego, rzuconego na wiatr słowa ludziska takie legendy potrafili stworzyć, że nawet ten, który ją sam wymyślił, po czasie nie wiedział, prawda to czyli nie.

- Wiele takich historii słyszałem – przytaknął kowal.

- A widzisz. Więc rozpatrz, czy czasu na bieganie nie szkoda, a kto wie, czy i nie zdrowia? Mało to ludzi dla mamony duszę zaprzedało? No, ale to przecież dzień ma się ku końcowi. Pójdę już, a ty Albercie o kościele nie zapominaj i zajrzyj tam czasem.

- Zajrzę.

Cichowski znak krzyża nad domownikami zakreślił i ruszył ku drzwiom wyjściowym.

- Pochwalony – rzekł na pożegnanie.

Gospodarz chciał odprowadzić gościa.

- Nie trzeba – zwrócił się do niego duchowny. - Zostańcie z Bogiem.

Agata szybkim krokiem zmierzała ku drugiej izbie, wstyd ze sobą unosząc, że wygadała się z męzowskiej tajemnicy przed księdzem. Kowal został sam i oparł się o ścianę. Wrażenia ostatnich godzin, a do tego jeszcze historia, którą z ust Cichowskiego usłyszał sprawiły, że sam już nie wiedział, czy warto w skrzynię pełną skarbów wierzyć.

- Może prawdę powiadał duchowny. Tyle legend ilu ludzi i kto wie, prawda to czy

tylko wytwór ludzkiej fantazji? Nie, zbyt wiele przemawia za istnieniem owej skrzyni. Wypadek Ignacego tym bardziej historię potwierdza. Jezioro miejscowym zostawię, ale skrzynia musi być moja. O ile ktoś się jej zawartością już nie cieszy.

Albert podniósł się z ławy. W głowie mu huczało. Postanowił wyjść na podwórze, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Gdy znalazł się na zewnątrz, odruchowo zerknął w stronę bramy. Zdało mu się nagle, że między drewnianymi deskami, z których płot był zbity, mignęła mu postać w habicie. Zdrętwiał w jednej chwili i pot wystąpił mu na czoło. Jeszcze raz uważnie spojrzął przed siebie.

- Zdawało mi się – przeszła mu myśl przez głowę. - Za dużo myślę o skarbach.

Nagle głos wewnętrzny się w mężczyźnie odezwał.

- Z Dzikim też myślałem, że mi się tylko zdawało, a ścierwo mnie pod zamkiem dopadło. Nie ma co, trzeba się pilnować. Kto wie, czy z Praslit licho jakie za nami do miasta nie przyszło. Muszę Antoniego ostrzec, żeby się miał na baczości. Nie ma co, nie ma co.

Chwilę jeszcze pokręcił się kowal po podwórzu, zerkając od czasu do czasu, czy aby znowu gdzieś mu tajemnicza postać się nie pokaże. Nic takiego nie nastąpiło i zmęczony gospodarz postanowił udać się na spoczynek.

- Przed Agatą szał – rzekł jeszcze sam do siebie. - Będzie się niepokoić kobieta, a do tego język ma niewyparzony, że i zdziwienie bierze. Wypaplała wszystko Cichowskiemu.

Noc nie przyniosła Albertowi ukojenia. Mężczyzna długo nie mógł usnąć. Kręcił się, wiercił, aż Agata, która po kolejnym szturchańcu została wyrwana z objęć Morfeusza, ze złością fuknęła na męża.

- Albo to nie możesz wreszcie ułożyć się spokojnie? Jęczysz, stękasz, nogami przebierasz, a siniaki na ciele mi rozdzielasz. Cięży ci co na kręgosłupie?

- Czy to ja żony nie mam, żeby mnie kręgosłup uwierał? – odgryzł się małżonek.

- Tedy śpij wreszcie, bo przecież kiedy dzień wstanie, zajęć sporo nas czeka.

W izbie rozległ się płacz Marysi.

- Masz ci los, jeszcze i dziewczucha ma dzisiaj focha.

Gospodyni zrzuciła pierzynę i poszła do maleństwa. Wzięła małą z kołyski i przytuliła do piersi. Mała z chciwością przysała się do sutka.

- Pij maleńka. Pij, na zdrowie.

Albert także podniósł się z łóżka i ruszył do sąsiedniej izby. Nabrał kubkiem wody z wiadra i całą zawartość wlał do gardła. Zimny napój przyniósł mu ulgę. Mężczyzna wrócił do łóża, nakrył się pierzyną. Gdy Agata po jakimś czasie zległa obok niego, ten już chrapał donośnie.

Nie na długo był mu spokój pisany. Wnet tajemnicza postać w habicie przerwała sen głęboki. Giersz uciekał, ścigany przez nieznanego. Koń obcego sprawniejszy był od Albertowego i jeździec zbliżał się coraz szybciej. Kowal obejrzał się za siebie i... o zgrozo. Pod kapturem nie było twarzy, jeno plama czarna, pośrodku której dwa węgle, niczym te z kowalskiego paleniska, się żarzyły. Ręce mnicha zbliżały się nieuchronnie, wreszcie chwyciły Giersza za kark i zrzuciły z wierzchowca. Tajemnicza postać zwała się na leżącego na ziemi mężczyznę i zacisnęła mu dłonie na szyi. Albert zebrał w sobie ostatki sił i nogą zadał prześladowcy kuksańca.

- Skaranie boskie! – obudził krzyk gospodarza.

Agata gramoliła się z podłogi. Giersz nie do końca jeszcze rozbudzony, nie rozumiał zupełnie co się stało.

- Skaranie boskie – powtórzyła małżonka. - Co się z tobą dzieje, człowieku?

Albert oprzytomniał. Gęsty pot wypełniał mu czoło. Mężczyzna zrozumiał już, że to tylko zły sen, którego skutkiem był kopniak, po którym kobieta znalazła się obok łóżka.

- Co ci to najdroższa?

- Najdroższa! Najdroższa! - fukała gospodyni. - Tak ja dla ciebie najdroższa, żeś jednym ciosem wyrzucił mnie spod pierzyny.

- Wybacz kochana. Sen mnie straszny zmorzył. To chyba przez tę historię księdza Cichowskiego.

- Po polach latasz, skarbów szukasz, a prędzej guza jakiego znajdziesz nim bogaty zostaniesz.

- Masz rację, masz rację. - Małżonek starał się udobruchać kobietę. - Wracaj tu do mnie natychmiast.

- Aha, już lecę, bo mało mi się dzisiaj dostało.



- No nie drocz się ze mną, chodź. Przytulisz się, to złe sny miną.

Agata jeszcze udawała zagniewaną, lecz przecie wgramoliła się pod pierzynę i przyłgnęła do męża. Ten nie pozostawał obojętny na jej gorące ciało. Niebawem przyspieszone oddechy wypełniły chałupę.

## XVII

Słońce już wysoko stało na niebie, gdy Giersz otworzył oczy. Zdawało mu się, że noc trwała nieskończenie długo, a mimo to nie przyniosła odpoczynku. Kowal przeciągnął się leniwie i spojrzał przed siebie. W izbie nie było nikogo. W chacie panowała cisza, za to z podwórka niósł się znajomy odgłos rytmicznych uderzeń. To Antoni z Maurycem rozpoczynali kolejny dzień pracy.

- Sen mara, Bóg wiara – rzekł Albert do siebie i niechętnie zwał się z pościeli.

Podszedł do kołyski. Marysia spała snem głębokim. Najwyraźniej śniła jej się pierś matczyna, bo dziewczynka cmokała z ukontentowaniem ustkami.

Gospodarz ubrał się i przeszedł do kuchni. W piecu wesoło trzaskały drewna, dopiero co dorzucone do ognia. Mężczyzna napił się wody i podszedł do okna. Wzrokiem ogarnął podwórze. Ziemię pokrywał szron, zapowiadając rychłe nadejście zimy.

- Ot i po skrzyni – westchnął Giersz.

Naraz w sieni rozległ się hałas i do kuchni weszła Agata z naręczem równo pociętego drewna.

- No, wstałeś nareszcie – przywitała męża.

Albert podrapał się po głowie z zakłopotaniem, bo przypomniał sobie nocny wypadek małżonki.

- Jeszcze jedna taka noc, a wylądujesz na strychu.

- Masz ci los, ledwie wstałem, a tu już groźby.

Gospodarz podszedł do żony i pocałował ją w policzek.

- A kto ci łóżko wygrzeje, jak mnie na strych wyślesz?

- Znalazłoby się jeszcze wielu chętnych.

- Temu nie przeczę.

Agata uśmiechnęła się do męża, bo i on, i ona przecież wiedziała, że to tylko przekomarzanie.

Gospodyni przyglądała się, jak kowal pochłaniał kolejne pajdy chleba i mimo tylu wspólnie spędzonych lat, wciąż nie mogła wyjść z podziwu, gdzie małżonek mieści takie ilości jedzenia. Ten, widać zaspokoił wreszcie pierwszy głód, bo mlasnął głośno, usta ręką wytarł i spojrzał na kobietę.

- Pojadę zaraz do Praslit.

- A tego znowu gdzieś goni...

- Muszę. Ignacy dzisiaj śnił mi się w nocy. Pojadę, zobaczę jak się ma chłopina.

- Coś bardzo ci na sercu leży ów Ignacy. Przecież ty go nawet dobrze nie znasz.

- Owszem, może nie jest mi on najbliższym kompanem, ale coś mi się widzi, że do skrzyni tylko przy jego pomocy dotrzeć możemy.

- Tu cię mam, a ja już naprawdę myślałam, że się losem rannego przejąłeś.

- Mój ty aniele. Przecież, że tak. Tyle tylko, że jego wypadek także niechybnie ma związek ze skarbem, którego szukamy.

- Więc uważaj i ty, żebyś biedy na siebie nie ściągnął.

- O to się nie strachaj. Już ja dobrze wiem, co znaczy niebezpieczeństwo.

Albert podniósł się i zaczął narzucać na siebie ubranie.

- Trzeba mi najpierw do kuźni iść porozmawiać z Antonim.

Agata chciała coś powiedzieć, lecz dobiegający w tej chwili z sąsiedniej izby płacz Marysi nie pozwolił jej na to.

- Przed wieczorem wrócę – zawołał jeszcze za nią małżonek.

Kobieta tylko machnęła ręką.

Giersz wyszedł na podwórze i skierował się w stronę, z której jak co dnia dobiegał odgłos kucia. Maurycy z Banderskim pracowali już od dłuższego czasu. Antoni pierwszy dostrzegł zmierzającego ku nim mężczyznę. Dał znać zięciowi, żeby zrobić przerwę.

- Witajcie swacie – podszedł do Alberta i uściskał mu dłoń z taką siłą, że aż kości zatrzeszczały.

- Aj – jęknął stary Giersz. - Uważaj Antoni, bo mi rękę zmiażdżysz.

Banderski zmieszał się.

- Wybaczcie, człowiek młotem od rana macha to i nie ma wycucia.

- Wiem przecie, wiem. Chodź na słowo.

Maurycy dostrzegł, że ojciec nie chce przy nim rozmawiać, więc udając, że nie wie o co chodzi, został przy palenisku i mieszał żarem.

- Jadę do Praslit – zakomunikował tymczasem swatowi Albert.

- Jak to? Przecie mieliśmy we dwóch. Niebezpiecznie samemu.

- Będę się pilnował, a Ignacego tylko pragnę zobaczyć. Gdybym o zmierzchu do domu nie wrócił, bierz Maurycego i na ratunek ruszajcie. Jeno przed Agatą sza.

- Wolałbym was samego nie puszczać.

- Przecie mówię, że będę ostrożny.

Banderskiego najwidoczniej nie przekonywały argumenty kowala, bo patrzył na niego, głową kręcił a cmokał głośno.

- No, nie bądź Antoni jak moja kobieta.

- Trudno. Skoro nalegacie, tedy jedźcie. Czekam do zmierzchu, a potem ruszam za wami.

Stary Giersz wyciągnął rękę do swata. Ten ostrożnie ścisnął mu dłoń na pożegnanie.

- Uważajcie na siebie, Albercie.

- Z Bogiem. Dobrze będzie.

Kowal szybkim krokiem ruszył ku oborze i Antoni już przy młocie stojąc dostrzegł jak gospodarz zamyka za sobą bramę i znika za płotem.

Giersz ponaglał wierzchowca do biegu, a ten szczęśliwy, że nie musi stać na uwięzi, radośnie pędził przed siebie. Rześkie, listopadowe powietrze rozwiewało zwierzącą grzywę. Zimny wiatr smagał twarz jeźdźca. Minęła dobra godzina, gdy przed podróżnym zamajaczyła znajoma zagroda. Kowal wjechał między budynki i przywiązał konia do płotu. Mężczyzna rozejrzał się dookoła. Cisza, ani żywej duszy. Nawet pies, widocznie pamiętając przybysza, nie szczekał, lecz przyjaźnie pomerdał ogonem. Albert wszedł po schodkach i zapukał w drzwi. Nikt nie odpowiedział. Przybysz tym razem mocno uderzył pięścią. Nadal cisza. Giersz poruszył klamką. Drzwi uchyliły się pod naciskiem dłoni i gość znalazł się w budynku. W chacie panował niezmacony spokój. Albert skierował się w stronę izby, w której podczas ostatniej wizyty widział Ignacego. Ten nadal leżał bez ruchu. Błądą twarz rannego pokrywał kilkuniedniowy zarost. Głowę spowijał poczerniały od brudu opatrunek i Giersz mógłby przysiąc, że to ten sam, niezmienny od wczoraj.

Przybysz podszedł do łóżka i usłyszał cichy jęk wydobywający się z ust rannego.

- Ignacy, słyszycie mnie? To ja, kowal.

Chory nie reagował i mężczyzna już miał zamiar wychodzić, gdy nagle oczy rannego otworzyły się i Ignacy mrugnął jakby chciał przywołać Alberta do siebie. Ten nachylił się.

- Grzegorz... – dobiegł go szept – piwnica..., Aniela...

Chory chciał powiedzieć coś jeszcze, lecz powieki nagle ciężko opadły. Zdawało się, że Ignacy znowu stracił przytomność.

Tymczasem przed chatą rozległ się odgłos szybkich kroków. Drzwi trzasnęły i w środku pojawiła się małżonka rannego. Kobieta dyszała ciężko i zdecydowanym krokiem zmierzała w kierunku męża, gdy dostrzegła gościa. Zmieszła się i puściła rumieńca.

- A – rzekła. – To wy.

- Przyjechałem zobaczyć, co z Ignacym.

- Jak widzicie. Bez zmian. Widzi mi się, że gorzej nawet.

Giersz musiał niewyraźną minę strzelić.

- U Grzegorza byłem – zaczęła się tłumaczyć kobieta. - Trzeba po medyka posłać, żeby co poradził.

- Boża wola.

- Grzegorz, sąsiad znaczy... - jąkała się gospodyni.

- Wiem, że Grzegorz, za to wasze mi imię umknęło.

- Aniela – kobieta zmieszała się jeszcze bardziej. - Grzegorz obiecał, że postara się pomoc sprowadzić.

W mężczyznę jakby piorun strzelił.

W tej chwili na podwórzu rozległo się szczekanie, potem tętent kopyt, aż wreszcie zastukały buty na schodach. Drzwi otworzyły się i zamknęły z trzaskiem. W chacie pojawił się Grzegorz.

- Aniela! - zawołał. Dostrzegł w tym momencie Giersza i stanął jak wryty, nie mogąc z siebie głosu wydobyć.

- Co z medykiem? - próbowała ratować sytuację kobieta.

- Z medykiem? - zapytał sąsiad.

Albert dostrzegł, jak gospodyni daje znaki oczami.

- A..., z medykiem. Będzie.

- To dobrze, bo mi tu chłop całkiem zmarnieje.

- Medyk będzie – ochłonął Grzegorz. - Jeszcze dzisiaj obiecał, że będzie.

Cała trójka stała mierząc się nawzajem.

- Cóż – Giersz odezwał się wreszcie – nic tu po mnie.

- Dziękuję wam za pamięć o moim.

- Przyjaciel to przecież.

- Opowiadał mi kowal, jak to z Ignacym przy piwie toczył rozmowy – włączył się do rozmowy Grzegorz.

- A to i mnie małżonek dobrze o was wspominał.

- Da Bóg, spotkamy się nieraz jeszcze i na rozmowy czas przyjdzie.

- Miejmy nadzieję – gospodyni spojrzała w kierunku chorego. - Źle z nim.
- W Bogu nadzieja. A to bywajcie, a wy Grzegorz, miejcie chorego w opiece.

Mężczyzna zmieszał się.

- Medyk jeszcze dziś...
- A ja za dni kilka zajrzę. Bywajcie.
- Z Bogiem.

Gdy kowal dosiadał wierzchowca, gospodyni i sąsiad stali na schodkach przed chatą. Albert dałby głowę, że oboje dawali sobie jakieś znaki. Udał, że nic nie dostrzegł. Koń zakręcił w miejscu i szturchany piętami ruszył w kierunku Smolajna.

- Niech mnie drzwi ścisną, jeśli tu czymś nie śmierdzi – mruknął Giersz pod nosem.

Wierzchowiec gnał dobrze znaną sobie drogą.

- Grzegorz, piwnica, Aniela – brzmiało w uszach jeźdźcy.

Zmierzchało, gdy kowal wjeżdżał na swoje podwórko. W kuźni ogień jeszcze się tlił, choć nie słyhać już było uderzeń młota. Albert dostrzegł kątem oka Antoniego, który najwidoczniej wypatrywał swata. Ledwie ten przekroczył próg obory, gdy dobiegł go odgłos kroków.

- Wróciliście – ni to zapytał, ni to stwierdził Banderski.
- Ano, jak widzisz mój drogi, wróciłem.
- To chwała Bogu, bo już miałem brać Maurycego na rozmowę.
- Obędzie się tym razem.
- Ale to widzę swacie, nie w sosie jesteście. Stało się co?

Stary Giersz zdejmował siodło z wierzchowca.

- Nic się nie stało – odparł po chwili milczenia.

- E, mnie tak po prostu nie zbędziecie – nie dawał za wygraną Antoni. - Przecie widzę, że coś was trapi.

- Myślę.
- A. A nad czym, jeśli wolno zapytać?
- A nad tym, co mnie dzisiaj spotkało?
- Przecie dopiero co prawiliście, że nic się nie stało.

Gospodarz przetań zwierzę garścią siana i poklepał po grzbiecie. Wreszcie odwrócił się do swata.

- Słuchajcie Antoni. Muszę sobie co nieco poukładać w głowie. Agata też pewnie mnie wypatruje. Spotkajmy się za czas jakiś u mnie. Posiedzimy przy piwie i powiem wam, co w Praslitach widziałem.

- To ja pędzę do kuźni. Ogień trzeba wygasić, bo Maurycy też już do Agnieszki poszedł. Pójdę do chaty, ogarnę się i przylecę do was.

Mężczyźni wyszli na dwór. Giersz ruszył ku swojej chałupie, a Antoni jak rzekł, skierował swe kroki ku kuźni.

Agata właśnie nerwowo wyglądała przez okno, gdy w sieni rozległ się znajomy stukot butów i po chwili do środka wszedł rozdzielony już z kapoty Albert.

- Jesteś wreszcie. Już zaczynałam się martwić, czy zdążysz przed nocą.
- Dzień coraz krótszy, lecz udało się dzięki Bogu.
- I jak? Co tam u Ignacego? Lepiej? Wraca do zdrowia?

Kowal podszedł do żony i cmoknął ją w policzek. Potem ruszył pod ścianę i przysiadł na ławie.

- Dałabyś co do picia. W gardle mi zaschło.

Agata szybko sięgnęła po dzbanek stojący na oknie i naląła piwa do kubka. Podała mężowi.

- Zimne – ten rzekł, wychylając całą zawartość naczynia naraz.
- Bo na oknie stało.



- Postaw resztę przy piecu. Antoni ma do nas zawitać, to będzie jak znalazł.

Małżonka posłusznie wykonała polecenie mężczyzny. Ten zaś usta wytarł rękawem i oparł się o ścianę.

- Powiesz wreszcie co u Ignacego?

- Bez zmian, a nawet zdaje mi się, że gorzej.

- Żal człowieka. Tedy i ze skarbu nici.

- Tegom nie powiedział – spokojnie odparł gospodarz.

- Więc gadaj wreszcie, bo mnie tu ciekawość gryzie.

Agata podeszła do męża i usiadła mu na kolanach. Albert uśmiechnął się pod nosem i przytulił kobietę do siebie.

- Tu cię mam, babska natura.

- Ale tam...

- No dobrze już, dobrze. Ignacy bez ducha dalej leży, choć ma przebłyski i oczy otwiera a poznaje.

- Czasu trzeba.

- Widzi mi się, że dużo czasu. Twardy jest i kostusze się nie daje.

- Da Bóg, wszystko dobrze się skończy.

W te słowa do izby wpadł Banderski. Agata zerwała się jak oparzona, by z ogromnym rumieńcem na twarzy wybiec do sąsiedniej izby. Sąsiad zmieszał się.

- Wybaczcie jeśli przeszkodził...

- Chodź, chodź Antoni. Ot kobieta za język mnie ciągnąć chciała.

- Chwała, że nie za co innego.

Zza ściany rozległo się głośne parsknięcie.

- Uważaj, bo jeszcze ścierą od małżonki dostaniesz – roześmiał się gospodarz. -

Siadaj, napijemy się piwa, choć zimne jeszcze.

- Po całym dniu przy ognisku takie najlepsze.

- A ja wolałbym grzane. Wymarzłem się w siodle.

Albert podniósł się i biorąc dzbanek po drodze, przysiadł się do sąsiada.

- Dobre piwo – rzekł Antoni przepijając do swata. - Ale! Gadajcie, co tam w Praslitach.

Giersz spojrzął za siebie, czy Agaty nie ma w pobliżu, lecz ta najwyraźniej nie miała zamiaru im towarzyszyć.

- Kiedym zajechał do Praslit – zaczął wreszcie – w chacie, krom Ignacego nie zastałem nikogo. Pukałem do drzwi i już miałem wracać, ale złapałem za klamkę i drzwi uległy. Wszedłem do środka. Tam, w łóżu, gdzie i w czas naszej ostatniej wizyty, leżał ranny.

- Przytomny chociaż?

- Gdzie tam. Leżał i jęczał od czasu do czasu. Podszedłem bliżej i nachyliłem się na chorego. Wołałem go po imieniu, a ten nagle oczy otworzył.

- O la Boga! Mówcie dalej.

- Kiedy mówię. Ignacy oczy otworzył i ustami zaczął poruszać.

- O la Boga!

- Nachyliłem się jeszcze i słucham, a ten „Grzegorz, piwnica, Aniela”, szepce.

- O la Boga! Grzegorz, piwnica, Aniela. A nie przesłyszało się wam kowalu. Dobrzeście to usłyszeli?

- Słuch u mnie jeszcze bez zarzutu. Tak jak powiadam. Grzegorz, piwnica, Aniela.

- O la Boga! I co dalej?

- Dalej nic. Naraz Ignacy oczy zamknął i głowa mu opadła.

- Skonał! - wyrwało się Banderskiemu.

- Tegom nie powiedział. Oczy zamknął i głowa mu opadła, lecz dychał przecie.
- O la Boga! To szczęście. Może wyjdzie z tego.
- W Bogu nadzieja.
- Lecz co dalej swacie, co dalej?
- Dalej, to do chaty wróciła żona Ignacego. A wiesz ty jak jej na chrzcie dali?
- A niby skąd mnie takie rzeczy wiedzieć?

Albert patrzył z triumfem na swata, a ten doznał nagłego olśnienia.

- Nie gadajcie kowalu, że Anieli!?! - wykrzyknął.
- Ciszej, bo mi tu Agatę zaraz ściągniesz.
- Rety, tak mi się wyrwało. Wybaczcie. Ale, że to Anieli. No, no. Bez dwóch zdań. Tedy mamy Grzegorza i mamy Anielę. Ale co z tą piwnicą?
- Ba, i w tym rzecz cała – filozoficznie odparł gospodarz.

Antoni przechylił kolejny kubek z piwem i spojrzał na swata.

- Niezła historia się kroi. Ani chybi.
- Bo i słusznie prawicie. Jest jednak jeszcze coś.
- Nie może to być, gadajcie swacie, bo mnie tu ciekawość zabije.
- Patrzcie, jaki wiadomości spragniony. Jak moja Agata, nie porównując.
- Ale...

- Dobrze, dobrze. Już mówię. Otóż ledwo do chaty wróciła owa Anieli, na podwórzu rozległ się hałas. To Grzegorz zajechał wierzchowcem i wpadł do izby wołając gospodynię po imieniu. Gdy mnie zobaczył, stanął jak wryty. Tak czas jakiś trwało, jakby języka w gębie postradał, aż wreszcie Anieli wybawiła go z opresji pytając o medyka, za jakim rzekomo jeździł.

Banderski oczy robił coraz większe, tak go wiadomości Alberta zajęły.

- A to myślicie, że on za medykiem nie jeździł?

- Myślę, że nie jeździł. Powiem więcej, jestem tego pewien.

- Znaczący dlaczego tak myślicie?

- Bo to mydlenie oczu było, żeby się nie dopatrzeć, iż tych dwojga coś łączy.

- Na Boga swacie, ale co?

- W tym sęk. Co? Tego jeszcze nie wiem, ale jakem Giersz, wcześniej niż później wszystkiego się dowiem.

- W to wierzę.

Gospodarz przerwał swoje wywody i zamyślił się. Antoni łyk piwa z kubka pociągnął i spojrzał na kowala.

- Nie mogę rozumem ogarnąć tego, co z ust waszych tu usłyszałem. Za dużo tego jak na jeden dzień.

- Mnie też w głowie dudni. Przespać się muszę i poskładać do kupy wszystko to, czego byłem świadkiem.

- Albercie, widzi mi się, że tu zbyt niebezpieczny obrót sprawa przybierać zaczyna. Obiecujcie, że nie będziecie już sami głowy nadstawiać.

- Anim skory do tego.

- A owego mnicha nie dostrzeżliście nigdzie.

- Nigdzie, choć rozglądałem się dookoła.

- Może to tylko Stefanowi coś się przewidziało?

- Może tak, może nie.

- Mówicie tak, jakbyście nie chcieli wygadać wszystkiego.

- Nic nie taję, tylko i mnie wydawało się, że za płotem widziałem mniszą szatę.

- Rety! Za płotem? Gdzie? W Praslitach?

- Otóż nie. Tu, za domem.

- Rety! W samym Lidzbarku?

- Proszę was Antoni, nie wysilajcie głosu, bo zaraz tu ciekawską Agatę ściągniecie i przyjdzie nam skończyć dyskusję.

- Wybaczcie, tak mi się wyrwało.

Antoni nachylił się nad stołem.

- Myślicie, że to ten sam, którego Stefan widział? - zapytał szeptem.

- Albo to ja wiem? Jedno jest pewne, że pilnować się trzeba, bo nawet największy skarb zdrowia i życia nie wróci.

- Święte słowa. Już ja będę miał oczy szeroko otwarte. Skoro już w samym Lidzbarku owy mnich się pojawił, tedy niebezpieczny obrót sprawy przybierają.

- Dlatego i kobiet naszych wtajemniczać nie trzeba. Już to by się martwiły niepotrzebnie, jak to kobiety. Maurycy też zbyt dużo wiedzieć nie powinien. Agnieszka teraz dla niego i dziecko najważniejsze.

Banderski z podziwem spojrział na gospodarza.

- Jak już co powiecie swacie, to i uczony lepiej by tego nie ujął. Pewnie, że nie ma co fatygować chłopaka. Dość ma zmartwienia z małżonką. Ale! Powiedzcie, co dalej czynić zamierzacie?

- Nie wiem. W głowie mi szumi. Muszę się przespać, a rano się zobaczy.

Antoni wychylił resztę piwa z kubka do gardła.

- No cóż – rzekł podnosząc się – mnie też do domu już pora. Tedy do jutra.

- Do jutra, a pamiętajcie, przed kobietami sza.

Banderski spojrział na gospodarza.

- A bo to mnie macie za babę albo paplę jaką.

- Anim o tym pomyślał.

- Tedy z Bogiem, do jutra.

- Pochwalony.

Albert odprowadził swata wzrokiem. Gdy ten za drzwiami zniknął, kowal podniósł się ciężko i ruszył do sąsiedniej izby. Wrażenia ostatniego dnia wywarły na nim duże wrażenie. Tak wielkie, że znający odpowiedź na każde pytanie Giersz czuł się niczym mysz zapędzona w pułapkę bez wyjścia.

Gorące ciało pogrążonej we śnie małżonki sprawiło, że i gospodarz szybko oddał się w ramiona Morfeusza.

- Jakem Giersz, dojdę do sedna sprawy – zdążył jeszcze rzec do siebie.

## XVIII

Nowy dzień kowal powitał z silnym postanowieniem udania się do kościoła. Czuł, że tylko w ciszy bożego domu znajdzie odpowiedzi na nurtujące go pytania. Jak postanowił, tak też zrobił. Ledwie zjadł przygotowane przez małżonkę śniadanie, wstał od stołu i zaczął wdziawać ciepłe ubranie. Agata, przyzwyczajona już do faktu, że małżonek usiedzieć w domu nie może, z ciekawością przyglądała się, co ten ubiera na siebie.

- Do kościoła idę – rzekł Albert uprzedzając, jak myślał, pytanie kobiety.

- Yhm – ta przytaknęła. - A cóż to cię tak przypiliło?

- Słyszałaś przecie, jak ksiądz sam napominał, żebym o świątyni nie zapominał.

- Słyszałam, słyszałam. Jeno dziwi mnie, że tak szybko postanowiłeś na jego słowa odpowiedzieć. Odkąd to taki posłuszny duchownemu jesteś? - pokpiwała żona.

Kowal spojrział na nią spod oka.

- Widzę, że nowy dzień dobrym humorem witasz. To dobrze.

Mężczyzna podszedł i cmoknął żonę w czoło.

- Niedługo zabawię, bo przy zwierzętach pracy sporo.

Agata chciała jeszcze powiedzieć, że różnie bywa z tym mężowym „niedługo”, lecz w porę ugryzła się w język i tylko głową skinęła na pożegnanie.

Mroźny wiatr uderzył w gospodarza, gdy wyszedł przed chatę. Zima zbliżała się nieubłaganie, choć pogoda wciąż była łaskawa dla mieszkańców Lidzbarka. Miasto budziło się do życia po wielu miesiącach biedy spowodowanej ostatnią wojną króla Prus z Napoleonem. Po okresie zastoju i niepewności, pomoc władz pozwalała z optymizmem patrzeć w przeszłość. Głód już nie zaglądał poddany w oczy.

Stary Giersz żwawo zmierzał przed siebie. Mężczyzna kochał ten gród, z którym życie połączyło go na dobre i na złe. Na szczęście to drugie zaczynało być tylko wspomnieniem. Marzenia o powrocie do Rzeczypospolitej należało co prawda odłożyć w bliżej nieokreśloną przyszłość, lecz w tej chwili dla kowala najważniejsza była rodzina.

Ojczyzna, cóż, lepiej przecie żyło się za biskupa Ignacego, lecz głową muru nie przebijesz.

- Tęższe głowy niech się martwią jak stare czasy przywrócić – mrucał do siebie.

- - Najważniejsze, że o współpracy z cesarzem Francuzów nie wie nikt, a pruskie władze jakby nie miały głowy do zajmowania się jakimś tam kowalem z przedmieścia.

Kościelne mury powitały chłodem. Albert zmoczył palce w święconej wodzie i przeżegnał się. Potem pchnął drzwi i znalazł się wewnątrz świątyni. Oczy powoli przyzwyczajały się do półmroku. W rzędach ławek mężczyzna dostrzegł kilka postaci rozrzuconych po całym kościele, które tkwiły pogrążone w modlitwie. Wkrótce sam do nich dołączył.

Kowal klęczał w nabożnym skupieniu, lecz kątem oka wypatrywał znajomej postaci. Niestety, ksiądz Cichowski nie pojawiał się. Mężczyzna opuścił głowę, opierając czoło o zimny klęcznik. W pamięci zaczął odtwarzać swoją ostatnią wizytę w Praslitach.

- Wiem kim jest Grzegorz i Aniela. O co jednak chodziło Ignacemu z tą piwnicą? Może majaczył w gorączce chłopina? Nie, nie może to być. Najwyraźniej chciał mi coś Ignacy powiedzieć. Dać wskazówkę, która naprowadziłaby mnie na trop skarbu? Dlaczego miałby mi pomagać w odnalezieniu skrzyni? Panie dopomóż! Wiem! Dzięki ci Boże. Najwyraźniej czuje już, że nadchodzi jego czas nieborak. Ba, ale ma przecież żonę. Nie dba o nią i mnie zdradza tajemnicę? Na co liczy? Ma nadzieję, że wspomogę wdowę po jego śmierci? Niezbadane są wyroki boskie i nieograniczona łaska Pana. No przecie! Z jakiegoś powodu ranny nie ufa żonie. Dlaczego? Ano dlatego, że we wszystko wmieszał się Grzegorz. Teraz pozostaje kwestia piwnicy. Zapewne chodzi o Ignacego chałupę, bo też o jaką inną? Co robić? Jak zejść i sprawdzić, żeby nie wiedziała o tym Aniela? Trzeba spokojnie ułożyć sprawę. Już moja w tym głowa, a i Antoni też nie w ciemną bitę. Pomoże. Dzięki ci Boże za wsparcie.

W tej chwili, gdzieś z przodu świątyni, rozległ się zgrzyt nienaoliwionego zamka. Stary Giersz spojrzął przed siebie i dostrzegł jak z konfesjonału, po odbytej spowiedzi wychodzi kobieta, a zaraz po tym drzwiczki uchyliły się ze skrzypieniem i ku ołtarzowi ruszył proboszcz. Albert postanowił zaczepić Cichowskiego i już miał powstać z klęczek, gdy zobaczył jak od zakrystii ku Cichowskiemu zmierza... tajemniczy mnich. Obaj duchowni musieli się znać, bo proboszcz położył dłoń na ramieniu nieznanemu i tak obaj zniknęli w drzwiach wyjściowych.

Kowala wbiło w podłogę. Nie wiedział, czy to, co widział przed momentem zdarzyło się naprawdę. Zerwał się naraz i oddając pokłon przed głównym ołtarzem rzucił się w pogoń za duchownymi. Wybiegł na zewnątrz świątyni, rozejrzał się dookoła, lecz nie dostrzegł nikogo.



Droga powrotna minęła Albertowi na rozmyślaniach. Widział w kościele mnicha. To pewne. Lecz czy była to ta sama postać, o której opowiadał Stefan, a którą potem dostrzegł za płotem sam kowal? Tego już mężczyzna nie był pewien.

- Za dużo pytań – westchnął stary Giersz.- Za dużo pytań. A może opowieści Cichowskiego podczas ostatniej jego wizyty u mnie nie były przypadkiem. Może to ów mnich był przyczyną odwiedzin właśnie? - olśniło nagle Alberta. - Jasne, proboszcz przybył z ostrzeżeniem. Celowo zniechęcał mnie do szukania skrzyni i próbował przerzucić moje zainteresowania na jezioro Tonka.

Poszczególne elementy zaczęły układać się kowalowi w całość i ten był coraz bardziej pewien, że duchowny, którego tak cenił, stanął na drodze do ukrytej skrzyni i stał się w ten sposób przeciwnikiem. W dodatku groźnym, bo ze wsparciem nieznanego mnicha.

- Już ja dam wam skrzynię! Obiecałem ci Panie i słowa dotrzymam. Niedoczekanie! Ale żeby proboszcz Cichowski? Prędeż gromu z jasnego nieba bym się spodziewał.

Dochodziło południe, gdy gospodarz wrócił w swoje opłotki.

- Długo ci zeszło – przywitała go Agata.

- Prosiłem Boga o wsparcie.

- Wysłuchał?

- Żebyś wiedziała.

Małżonek powiedział to z takim przekonaniem, że kobieta spojrzała na niego zdziwiona.

- Powiesz co więcej?

- Nie mogę. Nie żebym nie chciał. Muszę sobie jeszcze wszystko w głowie ułożyć.

- Latasz za tym skarbem jakby cię diabeł opętał. Nic tylko skrzynia a grosz. Zająłbyś się domem, gospodarstwem.

- Czym tu się zajmować skoro zima idzie.

- Dziecko masz przecie, a i wnuk niebawem na ten świat zawita.

Albert czuł, że rozmowa zmierza w niebezpiecznym kierunku.

- A wiesz moja droga, masz rację. Pójdę do Agnieszki. Nie widziałem jej już dni kilka. Zobaczą jak się miewa.

- A pewnie - Agata dała się tym razem wywieść w pole. - Tylko nie siedź tam za długo. Obiad niebawem postawię na stole.

Gospodarz, zadowolony, że w tak prosty sposób uniknął kłótni, zabrał się i szybko opuścił chatę. Przechodząc obok kuźni machnął do Banderskiego. Ten, widząc swata dającego znaki, wyszedł ku niemu.

- Witajcie Antoni. Idę teraz do Agnieszki, lecz wracam niebawem. Mam do was sprawę.

- A to dobrze się składa, bo właśnie planujemy przerwę z Maurycym.

- Nie, nie teraz. Później trochę. Po obiedzie pójdę do wierzchowców. Zajdźcie do obórki, pogadamy chwilę.

Banderskiemu oczy zabłyśły z ciekawości?

- Wymyśliliście co?

- Ano chodzi mi co nieco po głowie.

- E, to z tym nie do mnie – mężczyzna uśmiechnął się.

- Wyrobił mi się swat – mruknął kowal, lecz głośno dodał. – Dam znak, jak przyjdzie pora.

- Będę wypatrywał.

Agnieszka wyglądała już znacznie lepiej, choć blada ciągle była na twarzy. Albert przysiadł na skraju łóżka.

- Jak to się czujesz?

- Dziękuję, lepiej. Nie narzekam.

- Dzielna z ciebie dziewczucha. A nie trzeba to ci niczego?

- Nie trzeba. Już tu Maurycy i matula o mnie dbają.

- O kogoż mają dbać jak nie o ciebie?

- Brata jeszcze mam. Jemu też się uwaga należy.

- Dobrze masz serce dzieciaku. Już on tam na miłość matczyną na pewno nie narzeka.

- Jak i ja.

- No przecie. Widać, że Zofia wielkie ma o twoją osobę staranie. Nie tylko zresztą. Nam też wiele pomogła, gdy Agata słabą była. Dzielna kobieta z twojej matki, jako i ty.

- Dziękuję wam za dobre słowo.

- Z samego serca płynące. Zły byłem na Maurycego, gdy mi o twojej ciąży powiedział. Nie, żebym był tobie przeciwny. Czas był niespokojny, sama wiesz, lecz dzisiaj widzę jak go twa miłość odmieniła. Na lepsze.

Agnieszka spłonila się. Stary Giersz pogłaskał ją po głowie akurat wtedy, gdy do izby wszedł Maurycy.

- A cóż to za poufałość!? - zawołał od progu.

- A to już w kuźni roboty nie ma?

- Jest, jest. Nie martwcie się ojciec. Jeszcze na dobry chleb wystarczy, tyle zamówień. Na obiad przerwę sobie z Antonim zrobiliśmy, to i jestem.

- Tedy i ja do siebie pójdę. Bądźcie zdrowi.

- Z Bogiem – odparła Agnieszka. - Dziękuję za wizytę.

- Nie ma za co. Toż niedługo matką mego wnuka zostaniesz.

- A skąd wiecie, że nie wnuczki?

- Oby zdrowe dziecko było. Przyjdzie czas i na wnuka i na wnuczkę.

Stół już czekał z parującym obiadem. Agata, w oczekiwaniu na męża, karmiła piersią Marysię.

- Co u Agnieszki? - zapytała na powitanie.

- Lepiej. Znacznie lepiej. Nawet z rozmowy wynika, że lepiej. Już nie wspomina o śmierci dziewczucha.

- To i dobrze. Widać wszystko zmierza ku szczęśliwemu końcowi.

- Daj Bóg

- Ale... nie powiedziałaś mi przecie. Widziałeś może proboszcza?

- Widziałem, lecz nie było czasu zagadać.

- Jak to?

- Ksiądz Cichowski gościa miał jakiegoś i tak pochłonięty był rozmową, że mnie nie zauważył.

- Widać ważna to dla niego jakaś persona.

- Kto wie? Kto wie, czy nie masz racji moja droga?

Małżonka kolejny raz zmierzyła mężczyznę.

Zgodnie z umową, tuż po posiłku Albert wyszedł z chaty, tłumacząc się przed Agatą potrzebą pracy przy wierzchowcach. Mężczyzna wyszedł na podwórze i skierował się w kierunku obory. Antoni już na niego wyglądał i ledwie dostrzegł gospodarza, zostawił w kuźni samego Maurycego i szybkim krokiem podążył za swatem. Dogonił go już w wejściu do budynku gospodarskiego.

- Takżeście mnie zaciekawili swoim gadaniem, że ustać przy palenisku nie mogłem – zaczął.

Stary Giersz spojrzał na niego i uśmiechnął się.

- Widzę, że i wam skrzynia nieobojętna.

- Jakżeby nie, ale i sprawa cała tajemnicza się robi na tyle, że nie wiadomo, w którą się stronę ostatecznie potoczy.

- Tu strzeliłeś w samo sedno. Byłem dzisiaj w kościele. Szukałem w ciszy natchnienia i klucza do rozwiązania trapiącej nas sprawy.

- To widzę, że już u samego Pana naszego pomocy szukacie...

- Nie przerywajcie Antoni.

- Już milczę.

- Szukałem odpowiedzi na pytanie, które mnie dręczy od ostatniego spotkania z Ignacym.

- Chodzi wam o piwnicę?

- Właśnie, a ty skąd wiesz o tym?

Banderski spojrzał na kowala z szelmowskim uśmiechem na twarzy.

- Kto Grzegorz przecie wiemy, kto Aniela także. Pozostaje więc tylko piwnica i jej związek z obojgiem i skrzynią.

- No widzę Antoni, że was ciągle nie doceniam.

- Ba!

- Tedy rozmyślałem i gdy tak klęczałem pogrążony w owym rozmyślanu, dostrzegłem proboszcza Cichowskiego.

- Cóż, to akurat nic dziwnego.

- A i owszem, tyle tylko, że duchowny nie był sam.

- No, no. Zaciekawiacie mnie swacie.

- A widzisz. Teraz dopiero się zdziwisz, kiedy powiem, z kim spotkał się nasz ksiądz.

- No, z kim?

- Z mnichem.

Banderskiemu oczy o mało z orbit nie wyskoczyły.

- Nie może być – rzekł sapiąc ciężko.

- Może, może.

- No to mamy kolejną zagadkę. Uważacie Albercie, że to ten sam mnich, którego widział Stefan i który wam przyglądał się zza płotu?

- Głowy nie dam, lecz mam przeczucie, że to jedna i ta sama osoba.

- Wybaczcie, lecz już nie mogę się w tym wszystkim połapać. To by przecież znaczyło, że ksiądz Cichowski jest przeciwko nam. Przecie wie, że szukamy owej skrzyni.

- To samo sobie pomyślałem.

- Nic już nie wiem, nic już nie wiem – szeptał Antoni.

- Co tu dużo gadać. Musimy być bardzo ostrożni i dalej robić swoje. Trzeba nam przemyśleć jak dostać się do chaty Ignacego tak, żeby jego kobieta w niczym się nie zorientowała.

- Myślicie o piwnicy? Czego tam chcecie szukać? Skrzyni?

- Sam nie wiem. Chyba raczej wskazówek, które nas do owej skrzyni mogą doprowadzić.

- Uważacie, że Ignacy myślał o swojej chałupie?

- Kto to wie? Od czegoś jednak trzeba zacząć.

- Macie rację kowalu. Od czegoś trzeba zacząć. Kiedy zatem ruszamy?

- Nie ma co czasu mitrzyć. Coraz więcej chętnych do posiadania zawartości skrzyni. Trzeba zrobić, co się da, żebyśmy to my byli jej właścicielami.

- Święta racja.

- Myślę sobie, że jutro z rana możemy ku Praslitom ruszać.

- Pójdę zaraz i z uzgodnię z Maurycym co i jak.

- Tylko pamiętajcie, nie gadajcie zbyt wiele.

- Już ja coś wymyślę.

W te słowa drzwi obory uchyliły się i do środka wszedł Maciej.

- Ciotuchna Agata mówiła, że tutaj was znajdę.

Stary Giersz spojrział na niego zdziwiony.

- Maciej? Tutaj? Stało się co?

- Stefan zaginął.

W oborze zapanowała taka cisza, że gdyby w tej chwili obok mężczyzny mucha przeleciała, hałas uczyniłaby niesamowity.

- Jak to zaginął? - wydusił wreszcie z siebie Albert.

- Ano zaginął. Przepadł jak kamień w wodę – powtórzył Maciej.

- Spokojnie – rzekł do niego kowal. - Spokojnie i od początku, a po kolei.

- Po kolei to było tak, że Stefan wybierał się w kierunku Praslit.

- Praslit? - wyrwało się Antoniemu.

- Wiem wszystko. Przed wyjazdem wuj powiedział mi o owej skrzyni, co to ma być zakopana gdzieś w okolicach Praslit właśnie. Prosił, bym do was przyjechał i powiedział o wszystkim gdyby na noc do domu nie wrócił.

- Kiedy to było?

- Wczoraj skoro świt wyjechał Stefan i do dzisiaj nie dał znaku życia.

- A co na to Dorota?

- Nie wie nic o prawdziwym celu wyjazdu wuja. Powiedział jej, że do was ma interes. Kiedy nie wrócił na noc, ciotuchna dziwiła się co prawda, lecz zaraz stwierdziła, że pewnie zasiedział się przy szklanicy i nie chciał wracać po ciemku. Utwierdziłem ją w tym przekonaniu, lecz przecie druga noc poza domem wzbudzi w niej niepokój. Wsiadłem tedy na wierzchowca, gdy ta do kolegiaty poszła i jestem.

- Mądrześ uczynił. A czy Stefan powiedział ci coś ponad to, że jedzie do Praslit?

- Niby co?

- Cokolwiek. Coś, co mogłoby nam ułatwić jego poszukiwanie.

- Nie mówił nic, krom tego, że mam was zawiadomić gdyby nie wrócił na noc.

- Masz ci los – westchnął Albert. - A czy ty nie zauważyłeś czegoś podejrzanego w ostatnim czasie? Nie kręcił się nikt obcy w pobliżu waszego podwórka?

- Tak po prawdzie to niczego podejrzanego nie zauważyłem, ale też i nie zwracałem na to szczególnej uwagi – odpowiedział Maciej po namyśle.

- Hm, co robić? Co robić? - dumał na głos stary Giersz. - Przecież ja też byłem wczoraj w Praslitach i nigdzie Stefana nie zauważyłem.

- Wyjechał skoro świt – wtrącił się Maciej.

- Nie szkodzi. Ja byłem nieco później, ale przecież tak czy inaczej powinniśmy się spotkać.

- Musiało się coś stać – odezwał się Banderski.

- Tfu, nie gadajcie po próżnicy – splunął przed siebie kowal. - Wydobędziemy go choćby spod ziemi.

- Tedy, co radzicie swacie?

- Myślę, ale taki mam mętlik w głowie, że nic w całość złożyć nie mogę.

- Trzeba nam do Praslit jechać i porządnie się po okolicy rozpatrzeć.

- Też tak myślę – rzekł Maciej.

- Nie mamy innego wyjścia – powiedział Albert po namyśle. - Tyle, że późno się robi i dzisiaj już nic nie wskóramy.

- Jedziemy we trójkę – zdecydowanym głosem odezwał się Antoni.

- We trójkę – odparł kowal. - Jeno jak się przed Agatą wytłumaczyć, żeby się nie niepokoiła kobieta.

- Dokładnie tak samo, jak wuj ciotce Dorocie.

- Czyli jak?

- No, że macie interes do Stefana.



- Mądry z ciebie chłopak, Macieju. Tak też zrobię. Dla ciebie w tej chwili mam jednak inne zadanie.

- Jakie wuju?

- Musisz wracać i uspokoić Dorotę. Powiedz, że Stefan został u mnie, bo skoro już przyjechał do Lidzbarka, prosiłem go o pomoc i wyjechał ze mną na kilka dni.

- Myślicie wuju, że ciotula uwierzy?

- Nie wiem. Postaraj się ją przekonać.

- Ale chciałbym jechać z wami na poszukiwanie Stefana.

- Tedy jutro skoro świt ruszaj i czekaj nas przy drodze ze Smolajn.

- Niech tak będzie. Ruszam w tej chwili.

- Uważaj na siebie.

- Z Bogiem.

- Antoni – Albert zwrócił się do swata – uprzedź Maurycego, że jutro sam będzie w kuźni. Powiedz mu, że jedziemy do Dobrego Miasta, do Stefana.

- Już ja coś wymyślę.

- Więc do jutra.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Maciej dosiadł wierzchowca i ruszył ku Dobremu Miastu. Antoni pobiegł do kuźni, a kowal spokojnym krokiem skierował się ku chacie.

- Teraz najtrudniejsze zadanie – rzekł do siebie. - Urobić Agatę tak, żeby niczego nie podejrzewała.

Stary Giersz wszedł do chaty. Wziął kubek do ręki i nabrał z cebrzyka wody. Podszedł do okna i przysiadł na ławie, plecami opierając się o ścianę. Agata wyszła właśnie z sąsiedniej izby i zmierzyła męża wzrokiem.

- Nad czym tak znowu dumasz mój drogi?

- E, nic – próbował ją zbyć mężczyzna, bo nie podjął jeszcze decyzji, co jej

powiedzieć.

- Nie kręć mi tutaj, tylko gadaj!

Albert spojrział na żonę i westchnął głęboko.

- A gdzie Maciej? Co go do nas przywiodło? Wyglądał na przejętego. Stało się co w Dobrym Mieście?

Kowal w tej chwili postanowił, że tym razem nic krył przed Agatą nie będzie.

- Chodź tu do mnie i siadaj.

Gospodyni zbladła w jednej chwili, lecz posłusznie zbliżyła się do męża i siadła po przeciwnej stronie stołu.

- Złe wieści chłopak przywiózł – zaczął Albert.

- Gadaj wreszcie do rzeczy! Co się stało?

- Stefan przepadł.

Zdawało się, że w Agatę piorun strzelił. Kobieta to bladła, to czerwona na twarzy się robiła i usta rozchyliła głęboko, jakby powietrza szukała.

- Jak to przepadł? – wyszeptała naraz.

Mężczyzna patrzył na nią i pożałował, że zdecydował się mówić prawdę.

- Wyjechał wczoraj z domu i na noc nie wrócił. Powiedział Dorocie, że jedzie do nas i dlatego Maciej przyjechał sprawdzić, dlaczego nie wraca.

- Myślisz, że napadł go ktoś po drodze?

- Obawiam się czegoś innego.

Kobieta spojrzała na małżonka i w tej chwili zrozumiała, co ten ma na myśli.

- Brat pojechał do Praslit skarbu szukać?

- Tak powiedział Maciejowi, gdy opuszczał Dobre Miasto.

- To dlaczego chłopak szuka go u nas?

- Sprawdzał tylko, a poza tym Stefan kazał mu, żeby zawiadomił mnie, gdyby ten na noc do domu nie wrócił.

- Biedna Dorota. Pewnie tam odchodzi od zmysłów.

- Dorota o niczym nie wie.

- Jak to nie wie?

- A tak to. Stefan w sprawie jej nie wtajemniczył.

- Co zamierzasz? - nad wyraz spokojnie zapytała Agata.

- Dzisiaj już nic nie poradzę, ale jutro z samego rana ruszam z Antonim do Praslit. Przetrzęsniemy każdy kąt i daj Bóg, znajdziemy Stefana.

- A gdzie Maciej?

- Wysłałem go do domu i kazałem uspokoić Dorotę. Ma powiedzieć, że Stefana zatrzymałem u nas, bo mamy sprawę do załatwienia.

- Uważasz, że słusznie trzymasz kobietę w niewiedzy?

Kowal z uznaniem spojrzał na małżonkę. Nie spodziewał się, że ta tak trzeźwo będzie myślała.

- Sam już nie wiem, co jest słuszne, a co nie. Jeśli nie uda mi się jutro wyjaśnić sprawy zaginięcia szwagra, sam pojedę do Dobrego Miasta i o wszystkim jej powiem.

- Myślisz, że bratu grozi niebezpieczeństwo?

- Oby nie, lecz przygotowanym trzeba być na wszystko.

- Przeklęty musi być ten skarb. Najpierw ktoś napadł Ignacego, teraz Stefan zaginął.

- Nie martw się moja droga. Wyciągnę szwagra choćby spod ziemi. To przecie ja opowiedziałem mu o wszystkim.

- Nie wiń się – spokojnie rzekła Agata. - Jemu tym nie pomożesz, a i sobie też.

- Nie winię się, lecz mam do siebie pretensje, że tak mi ta skrzynia zalazła za skórę.

- Taka już twoja natura. Wiecznie gdzieś cię gna. Ciągłe czegoś szukasz.

- Tak myślisz? - Kowal spojrział na żonę i wyciągnął ku niej rękę.

Ta przeszła do niego i siadła mu na kolanach. Albert przytulił jej głowę do swojej piersi i głaskał kobietę po włosach.

- To wszystko dla ciebie i Marysi. Dla nas. Dla Maurycego i Agnieszki. Chciałbym dać wam wszystko, czego pragniecie.

- Albo to brak nam czego? Po latach rozłąki i wojnie strasznej zdaje się, że wszystko układa się jak należy. Ty wróciłeś do domu, Maurycy z Agnieszką spodziewają się dziecka i też są na swoim. Za płotem tego niegodziwca Dzika już nie ma.

- Ale potrzeb wciąż wiele.

- A czy to musisz chochlą szczęście czerpać? Nie wystarczy łyżeczką? Na dłużej starczy.

- Mój ty skarbie kochany. Cóż ja bym bez ciebie począł?

Agata łąsiła się do męża niczym kotka pieszczot spragniona. Nagle zerwała się na nogi.

- Nic tu nie poradzimy. Nie ma co się zamartwiać. Pora spocząć, bo przecież skoro świt musisz na pomoc Stefanowi ruszyć.

Kowal dźwignął się ciężko.

- Masz rację, pora spocząć.

- Kładź się, a ja jeszcze do Marysi zajrzę.

- Tylko nie marudź tam długo. Przyjdź do mnie.

- Przyjdę.

Giersz zrzucił z siebie ubranie, przemył się i zległ do łoża. Zamyślił się nad losem Stefana i nie wiedzieć kiedy powieki opadły na zmęczone oczy. Nie doczekał małżonki.

Zdawało się, że ledwie zasnął, gdy ktoś potrząsnął nim stanowczo.

- Już świta – dotarł do niego głos Agaty. - U Banderskich dawno jasno w oknie.

Pewnie zaraz Antoni tu zawita.

Gospodarz zerwał się na nogi.

- Ogarnij się, a ja przygotuję coś do jedzenia.

Nie minął kwadrans, gdy mężczyzna gotowy był do drogi. Małżonka złapała go jeszcze za rękę i uczyniła znak krzyża.

- Uważaj na siebie i... Stefana znajdź.

- Znajdę.

Drzwi chaty otworzyły się i gospodarz wyszedł na podwórko. Kobieta widziała jeszcze przez okno jak dwaj jeźdźcy opuszczali zagrodę, by zniknąć za pobliskim zakrętem. Dopiero teraz Agacie dwie, wielkie jak grochy, łzy spłynęły po policzkach.

## XIX

Tętent koni brutalnie przerywał poranną ciszę. Życie dopiero budziło się z nocnego letargu. Zimny, przenikliwy wiatr wdzierał się pod ubranie i przyprawiał o dreszcze. Ręce drętwiały od chłodu. Nad miastem unosiła się gęsta mgła, która przywędrowała tu od pobliskiej Łyny. Niebawem głuchy stukot oznajmił, że mężczyźni znaleźli się na drugim brzegu rzeki. Banderski poganiał wierzchowca. Kowal pozostawał nieco z tyłu, lecz trzymał dystans. Albert myślami był wciąż przy szwagrze. Winił siebie za nieszczęście, jakie spotkało Stefana i żył głęboką nadzieją, że wszystko dobrze się skończy.

- Dorota do końca życia nie wybaczyłaby mi, gdyby jej mężowi coś się stało – przemknęło mu przez myśl. - Tfu – Giersz splunął za siebie. - Będzie dobrze. Szwagier też sobie w kaszę nie da dmuchać, a przecież nie jest z niego byle ułomek.

- Nowosady przed nami – zakomunikował Antoni.

- To nawet nie połowa drogi. Nie żałuj wierzchowca!

- A pewnie.

Zapach leśnej żywicy drażnił nos. Kowal rozglądał się dookoła, z nadzieją wypatrując jakiegokolwiek znaku, który mógłby pomóc w odszukaniu zaginionego. Niestety, nic nie wskazywało na to, żeby finał poszukiwań znajdował się blisko.

Gdy dojeżdżali do Smolajn, koniom piana lała się z ust, a zapach potu unosił się w powietrzu. Raptem Banderski ponownie obejrzał się za siebie.

- To chyba Maciej – wskazał ręką do przodu.

Rzeczywiście, w odległości nie większej jak dwieście kroków, ktoś stał przy drodze. Mężczyźni podjechali bliżej.

- No, wreszcie. Już myślałem, że przybyłem tu za późno – zwrócił się do nich Korvetta.

- Gdzieżby tam. Przecie nie będziemy jeździli po nieznanym terenie w nocy – powiedział wstrzymując wierzchowca Antoni.

Giersz zeskoczył z siodła i uściśnął dłoń Maciejowi.

- Pochwalony – rzekł.

- Pochwalony.

- Jak się miewa Dorota?

- Dobrze, choć chyba nie do końca uwierzyła w moją bajeczkę.

- Daj Bóg, jeszcze dzisiaj zobaczy męża.

- Amen – odezwał się Banderski, lecz zabrzmiało to tak ponuro, że kowalem wstrząsnął dreszcz.

- Trzeba wierzyć, że wszystko dobrze się skończy. Odsapniemy chwilę, bo i wierzchowcom też się to należy – zaproponował Albert.

Maciej spojrział na wuja i widać było, że nie może opanować zdenerwowania.

- Nie takie problemy mieliśmy i żyjemy – pocieszał go kowal.

Kwadrans tak stali w milczeniu.

- Wystarczy, pora ruszać – zakomenderował Giersz.

- Masz jakiś plan swacie? - odezwał się Antoni.

- Jedziemy do Ignacego, a na miejscu zdecydujemy, co dalej.

Mężczyźni dosiedli wierzchowców. Do Praslit było już niedaleko. Tym razem to Albert wysforował się do przodu. Niebawem przed jeźdźcami zamajaczyły budynki obejścia Ignacego. Na podwórzu zaczął ujadać pies. Wszyscy trzej zeskoczyli z wierzchowców. Maciej trzymał zwierzęta za uzdy, a jego towarzysze w tym czasie ruszyli do drzwi chałupy. Banderski uderzył w nie pięścią. Cisza. Albert nacisnął klamkę i drzwi ustąpiły. Weszli do środka. Cisza. Przeszli do kolejnej izby. W łóżku leżał Ignacy. Oczy miał zamknięte. Klatka piersiowa unosiła się w nieregularnym oddechu.

- Widzi mi się, że tu nikogo oprócz tego nieboraka nie ma – odezwał się Antoni.

- To i lepiej. Idź do Macieja i pilnujcie, żeby nikt mnie tu nie zaskoczył. Ja tymczasem poszukam zejścia do piwnicy.

- Tylko uważajcie na siebie kowalu.

- Idźcie już, szkoda czasu.

- Już leczę.

Banderski wyszedł na zewnątrz, a Giersz ruszył do sieni. Na jej środku znajdowały się podwójne drzwi w podłodze. Mężczyzna szarpnął i z wysiłkiem otworzył oba skrzydła. Zimne, wilgotne powietrze uderzyło go w twarz. Zobaczył przed sobą drewniane schody prowadzące w głąb pomieszczenia. Albert zaczął schodzić w dół. Ogarnął go półmrok, lecz oczy niebawem przyzwyczyły się do ciemności i kowal dostrzegł kontury ścian. Odczekał jeszcze chwilę. Przez dwa nieduże okienka do pomieszczenia dostawało się światło dzienne, powodując, że po pierwszym szoku piwnica była na tyle oświetlona, iż kowal mógł poruszać się zupełnie swobodnie. Giersz zszedł na posadzkę, a właściwie ziemię, bo taka była tu podłoga. Schylony, bo nisko znajdujący się sufit uniemożliwiał mu wyprostowanie sylwetki, rozejrzał się. Na całej przestrzeni wzdłuż ścian znajdował się szereg drewnianych skrzyń wypełnionych wszelkiej maści rupieciami zniesionymi tu zapewne tylko i wyłącznie przez skąpstwo gospodarza. Tylko jeden róg piwnicy wypełniony był ziemniakami usypanymi w okazałych rozmiarów kopiec.

- No Ignacy, co z tą piwnicą? - mrucał kowal sam do siebie.

- Swacie – rozległ się naraz głos gdzieś w górze. – Jesteście tam?

- To ty Antoni? Miałeś pilnować podwórza.

- Maciej sam sobie poradzi. Nie mogłem wytrzymać na podwórzu, kiedy wam tu większe grozi niebezpieczeństwo.

Rozległ się stukot butów i niebawem Banderski stanął przy Albercie.

- Nic nie widzę.

- Poczekaj chwilę, przecie jest tu zupełnie jasno.

Antoni dotknął ramienia Giersza.

- Rzeczywiście, już lepiej. Rety, ale tu pełno śmieci!

- No właśnie. Najwidoczniej Ignacy zgromadził tu wszystko to, co nie było już mu przydatne.

- Ale skrzyni ani widu.



- Spokojnie, może to wcale nie skrzynia kryje nasz skarb.

- Jak to nie skrzynia, skoro o niej przecie była mowa?

- Ruszże głową swacie. Przecież monety można było przesypać ot choćby do worka.

- Racja. Dobrze mówicie.

- Ja pójdę po prawej, a wy ruszajcie od lewej strony. Musimy przeszukać ten śmietnik.

Mężczyźni ruszyli przed siebie, zaglądając do każdej skrzyni i z wielką dokładnością macając każdy worek, na który natrafili. Wreszcie spotkali się w połowie drogi.

- Coś mi tu nie pasuje z tą piwnicą – obruszył się Banderski. - Może Ignacy naprawdę w gorączce majaczył?

- Może majaczył, a może i nie majaczył – odparł Albert przyglądając się posadzce.

Nagle jego wzrok zatrzymał się na środku piwnicy.

- Antoni!

- Znaleźliście co?

- Antoni, spójrz tutaj.

- Gdzie?

- Tutaj, na posadzkę. - Giersz wskazał palcem przed siebie.

- Nic nie widzę, tylko ziemia.

- Przyjrzyj się uważnie. Ktoś tu kopał i to zupełnie niedawno.

Banderski podszedł we wskazane miejsce, schylił się i nabrał garścią ziemi. Spojrzał na swata z triumfem.

- Macie rację, ziemia była wzruszona.

Kowal gorączkowo rozglądał się dookoła. Wreszcie pod jedną ze ścian dostrzegł

to, czego szukał – łopatę.

- Bierz i kop.

Podał ją Antoniemu, a ten zaczął ponownie wzruszać ziemię. Niebawem obok kupki wybranego piachu powstał sporej wielkości dół. Niestety, wszystko wskazywało na to, że mężczyźni się spóźnili.

- Widzi mi się, że skarb przemknął nam koło nosa – westchnął kopiący.

- Niekoniecznie. Tutaj jednak go nie ma. Zasypuj dół i wychodźmy póki gospodyni nie wraca.

Banderski posłusznie wykonał polecenie i nie minął kwadrans, a mężczyźni znaleźli się na podwórku. Tam oczekiwał ich zdenerwowany Maciej.

- Co u ciebie? - zapytał kowal.

- Nikogo nie widać.

- My też nic nie znaleźliśmy.

Ledwie Giersz wypowiedział te słowa, rozległ się turkot kół i na podwórze weszła Aniela, prowadząc za uzdę konia ciągnącego wóz. Kobieta dostrzegła gości i najwyraźniej nie ucieszyła się z tego powodu.

- Czego tu szukacie? - zapytała.

- Pochwalony – odezwał się Albert. - Byliśmy w okolicy, więc zajechaliśmy o zdrowie Ignacego zapytać?

- Byliście w chałupie?

- Właśnie mieliśmy zapukać do drzwi.

Po minie gospodyni było widać, że ukontentowała ją taka odpowiedź.

- Bez zmian niestety. Odprowadzę konia do stajni i zapraszam do środka.

Mężczyźni spojrzeli po sobie i czekali na kobietę. Ta zniknęła w budynku gospodarczym, by po kilku minutach ponownie pojawić się na podwórzu.

- Zapraszam, choć z góry uprzedzam, że nie mam czym ugościć. Opieka nad

małżonkiem nie pozwala mi na nic innego.

- Nie gościć się tu przyjechaliśmy, a odwiedzić rannego i o zdrowie jego zapytać – odparł na tak jawną wrogość gospodyni kowal.

Mężczyźni posłusznie podążali za Anielą.

- Aż mi to dziwne, że taką gromadą przyjechaliście do Ignacego. Musi wam na nim bardzo zależeć.

- Mówił przecież Albert, że przy okazji wstąpiliśmy – rzekł Banderski.

- A, prawda, że mówił. Proszę do środka.

Kobieta pchnęła drzwi przed siebie i goście kolejny raz tego dnia znaleźli się przy łóżku rannego.

- Tak jak powiadałam, nie widać, by szło ku lepszemu – zwróciła się do nich gospodyni.

- Ano nie widać – odparł Giersz. - A lekarza jakiego Grzegorz przywiódł?

- Jakiego lekarza? - zdziwiła się gospodyni. - A, Grzegorz... A pewnie, że przywiózł, felczera...

- A skąd? – nie odpuszczał Albert.

- Albo to ja wiem? Przyjechał, obejrzał rannego, opatrzył rany i tyle. A ten leży tu bez zmian.

- I nic nie mówił ów felczer? – wtrącił się Antoni.

- A co miał mówić? Ponoć jak organizm silny, to dojdzie do siebie, a jak nie, to wola boska.

Mężczyźni stali nad Ignacym, a ten całkiem już chyba świadomość utracił, bo nie reagował zupełnie na to, co się w izbie działo.

- Może potrzebujecie pomocy? - zapytał kowal.

- A czego ja mogę potrzebować? Zresztą Grzegorz, sąsiad znaczy, często tu do mnie zagląda i jak tylko może, wspomaga.

- Dobrego macie sąsiada.

- To i nie narzekam.

Giersz spojrział na towarzyszy.

- Nic tu po nas. Dbajcie o Ignacego, bo szkoda chłopca – zwrócił się do Anieli.

- Przecie krzywdy mu nie robię, a pomoc bardziej w rękach Boga niż moich.

- A więc z Bogiem. Zajrzę tu jeszcze.

- Nie bronię.

Mężczyźni wyszli przed dom, zostawiając gospodynię przy rannym.

- Nie podoba mi się ta kobieta – powiedział milczący dotąd Maciej. - Jawnie dawała nam do zrozumienia, że jej nasza wizyta nie pasuje.

- Też odniosłem takie wrażenie – zgodził się Banderski.

- Inna była, gdym odwiedził Ignacego pierwszy raz. Bardziej przychylna, a dzisiaj zła jak osa. Tylko czemu?

- Najwidoczniej nie trafiliśmy w czas – rzekł Antoni dosiadając wierzchowca. - Co dalej?

- Nie wiem jeszcze – Albert także wskoczył w siodło. - Jedna rzecz nie daje mi spokoju.

- Jaka, wuju?

- Czy zwróciliście uwagę na wóz?

- Co to znaczy? - Banderski podjechał do swata.

- Jedźmy na drogę – odezwał się w tej chwili Maciej. - Kobieta obserwuje nas zza okna.

- Jedźmy. - Giersz pierwszy opuścił podwórko.

- Co wam z tym wozem wpadło w oko kowalu? – zapytał znowu Antoni.

- A to, że ubrudzony był w ziemi.
- To akurat nie dziwota. W czym miał być ubrudzony. Przecie to gospodarska robota.
- Masz rację Antoni, ale na wozie była ziemia dokładnie identycznej barwy jak ta z piwnicy.
- O, do diaska. Na to nie zwróciłem uwagi.
- A widzisz, a mnie od razu rzuciło się to w oczy.
- Podejrzewacie wuju, że kobieta wywoziła coś z piwnicy.
- Jestem tego pewien. Stąd zapewne zdenerwowanie Anieli. Gdybyśmy przybyli wcześniej, moglibyśmy złapać ją na gorącym uczynku.
- Może to tylko zbieg okoliczności swacie. Mogła wieźć cokolwiek z piwnicy.
- Oczywiście, lecz nie tylko to daje mi do myślenia. Żona Ignacego oszukała nas.
- Jak to oszukała?
- A tak to, że żaden felczer nie był u rannego i nie opatrywał ran.
- Dlaczego tak sądzicie wuju?
- Ignacy ma te same szmaty, które widziałem, kiedy tu byłem pierwszy raz. Głowę daję, że nikt od tej pory ran mu nie opatrywał.
- Dziwne to wszystko – westchnął Maciej – a najgorsze jest to, że nie jesteśmy ani krok bliżej Stefana.
- Niestety – zgodził się z nim kowal. - Nos mi jednak mówi, że szwagier jest gdzieś tutaj.
- Tylko gdzie? - wtrącił Antoni.
- Ba, tego Niestety nie wiem. Ale dowiem się, jakem Giersz.

Mężczyźni odjechali od gospodarstwa jakieś kilkaset metrów, gdy kowal obejrzał się za siebie i dostrzegł, jak od podwórka wyszła jakaś postać i szybkim krokiem ruszyła w kierunku im przeciwnym. Maciej dostrzegł zdziwienie na twarzy wuja i też odwrócił

głowę.

- Nie patrzcie w tamtą stronę – rzekł Albert. - Odjedźmy jeszcze trochę.

Minęły może dwie minuty, gdy kowal zatrzymał się, a za nim to samo uczynili towarzysze.

- Zdaje mi się, że Aniela pobiegła do Grzegorza.

- I co teraz wuju?

- Nie możemy ruszać za nią, bo nas zobaczy. Nie ma się za czym skryć.

- Więc co robimy? - Antoni był najwyraźniej podekscytowany.

- Zjedźmy za zakręt. Zostawimy Macieja z końmi, a my skoczmy poboczem za kobietą.

- Znowu mam zostać? - oburzył się Korvetta.

- Nie dyskutuj! Ktoś musi pilnować wierzchowców.

- Ale dlaczego ja?

- Bo ja tak każe! - Ton głosu kowala był tak stanowczy, że młodzik nie zamierzał dyskutować.

Jeźdźcy dotarli do kępy krzaków i zeskoczyli z siodeł. Maciej posłusznie złapał zwierzęta za uzdy, a Antoni z Albertem ruszyli pieszo przed siebie.

Aniela zniknęła im z oczu, lecz kowal prowadził pewnym krokiem. Minęło z górą piętnaście minut, gdy dotarli do gospodarstwa, które znajdowało się najbliżej Ignacego. Okrążyli budynki gospodarcze i znaleźli się naprzeciw wejścia do domu. Giersz wychylił głowę zza stodoły i w tej samej chwili stał się świadkiem intrygującego widoku. Przed drzwiami chałupy stała Aniela i mówiła coś do Grzegorza, gestykując rękami. Mężczyzna najwyraźniej nie miał ochoty słuchać kobiety, bo w pewnym momencie odwrócił się i zniknął w chacie. Aniela postąla jeszcze chwilę, rozejrzała się dookoła i biegiem ruszyła do swojego gospodarstwa.

- Co robimy? – zapytał Antoni, który także obserwował całą sytuację.

- Poczekajmy chwilę. Zobaczymy, co zrobi Grzegorz.

Mężczyźni tym razem nie zostali wystawieni na próbę. Nie minęło bowiem nawet dziesięć minut, gdy z chaty wyszedł gospodarz i szybkim krokiem skierował się ku stajni. Niebawem wyprowadził stamtąd osiodłanego wierzchowca, wskoczył na niego i ruszył w stronę Smolajń.

- Żeby tylko nie widział Macieja z naszymi końmi – odezwał się Banderski.

- Nie wydaje mi się, żeby tam dotarł.

- Jak to?

- A tak to, że jedzie on najpewniej do chaty Ignacego.

- Tak myślicie?

- Yhm. Skorzystajmy z okazji i zobaczmy, czy nie znajdziemy czegoś ciekawego w budynkach gospodarczych.

- Mianowicie, czego?

- Nie wiem Antoni, ale mój nos mi mówi, że rozwiązanie zagadki skrzyni nierozzerwalnie związane jest z tym dwojgiem.

- Macie na myśli Anielę i Grzegorza?

- Właśnie.

Ledwie ustał tętent wierzchowca, gdy Albert podszedł do drzwi stajni i pociągnął je do siebie. Z wnętrza budynku buchnęło ciepłe powietrze wypełnione zapachem końskiego łajna.

- Niezbyt robotny jest nasz gospodarz. Nie sprzątał tu od dłuższego czasu – zagadnął kowal.

- - Patrz Antoni na lewo, a ja na prawo.

Mężczyźni powoli szli środkiem stajni i czujnym wzrokiem wypatrywali czegokolwiek, co miałyby coś wspólnego z zaginionym skarbem, a może i samym Stefanem. Niestety, po kilku minutach dobrnęli do końca budynku.

- Zajrzyjmy do stodoły – powiedział Banderski.

Tu także nic nie wzbudziło ich podejrzeń. Gdy wyszli na dziedziniec podwórza,

Giersz skierował się ku chacie.

- Chcecie wejść do środka?
- Jeśli da radę, czemu nie?
- Nie boicie się, że Grzegorz wróci?
- Nie strachaj się mój drogi.

Albert podszedł do domu i złapał za klamkę, lecz drzwi nie ustąpiły.

- Niestety, nie tym razem. Nie możemy zostawić po sobie śladów, żeby nie wzbudzić podejrzeń gospodarza. Chodź Antoni, wracamy do Macieja.

Wyszli na drogę i ostrożnie poruszali się jej skrajem, z uwagą wypatrując wracającego Grzegorza. Gdy przechodzili obok zabudowań Ignacego, Giersz przystanął i obserwował przez chwilę czy kogoś nie ma na podwórku. Raptem wydało mu się, że między drzewami sadu mignęła mu schylona postać. Kowal wyteńczył wzrok.

- Antoni, spójrz!
- Gdzie?
- Tam, do sadu! Widzisz?
- E tam, nic nie widzę.
- Patrz uważnie!

Albert spojrzał na swata i palcem wskazał mu kierunek, lecz albo wcześniej mu się zdawało, albo tajemnicza sylwetka skryła się za budynkami.

- Nic nie widzę – powtórzył Banderski.
- Nie ma go już. Musiał nas też zobaczyć.
- Kto taki? Kogoście widzieli swacie?
- Zdawało mi się, że w sadzie dostrzegłem mnicha.
- Pewni jesteście?



- Sam nie wiem, ale wracajmy już.

Wierzchowce skubały to, co jeszcze pozostało z trawy przy drodze. Maciej z napięciem spoglądał przed siebie, gdy dostrzegł wracających towarzyszy.

- Co przynosicie? - zapytał, gdy ci zbliżyli się do niego.

- Aniela była u Grzegorza i przez jakiś czas rozmawiali. Musiało być nerwowo, bo kobieta machała bezładnie rękami aż Grzegorz trzasnął drzwiami i zostawił ją samą na podwórku.

- I co dalej?

- Ano nic, pobiegła z powrotem, a zaraz potem Grzegorz pogonił za nią wierzchowcem. Skorzystaliśmy z okazji i zajrzeliśmy do budynków gospodarczych, ale nie znaleźliśmy nic, co wzbudziłoby naszą ciekawość.

- Czyli nadal nie wiemy gdzie jest wuj Stefan?

- Ano nie wiemy.

- Za to Albert widział mnicha.

- Gdzie?

- W sadzie Ignacego.

- Kto wie, czy to nie jego osoba stoi za zniknięciem wuja. Tedy co robimy?

Giersz podrapał się po głowie.

- Aniela coś kręci, to pewne – zaczął. – Grzegorz też gra tu jakąś rolę. Szkoda, że nie wiemy, co powiedziała mu Aniela, gdy tam pobiegła, ale myślę, że poinformowała go o naszej u niej wizycie. Coś mi się zdaje, że to nie mnich jest odpowiedzialny za zaginięcie Stefana.

- Dlaczego tak myślicie? - Antoni przypatrywał się swatowi.

- Bo wydaje mi się, że szwagier musiał odkryć tajemnicę, która łączy tych dwoje.

- Jaką tajemnicę wuju?

- Ba, tego właśnie nie wiemy.

W tej chwili od strony Praslit rozległ się tętent i mężczyźni szybko skryli się za świerkami. Ledwie to uczynili, gdy dostrzegli jak po drodze w kierunku Lidzbarka popędził wierzchowiec z Grzegorzem w siodle.

- Mało brakowało, a zostalibyśmy nakryci – westchnął Banderski.

- O mały włos. Dobrze, że staliśmy przy świerkach – dodał Albert, patrząc za siebie, bo coś przykuło jego wzrok.

Maciej zauważył zainteresowanie kowala i także skierował wzrok w miejsce, które lustrował Giersz. Przed mężczyznami, w odległości kilkunastu metrów, między brzożami tworzącymi coś w rodzaju ścian czworokąta, piętrzyła się kupa piasku. Widać było, że całkiem niedawno ktoś w tym miejscu kopał. Albert wymienił spojrzenie z Maciejem i obaj podążyli w tym samym kierunku. Antoni nie wiedział co prawda o co chodzi, lecz posłusznie podążył za nimi. Niebawem cała trójka znalazła się nad sporej głębokości pustym dołem. Strome, pionowe ściany wykopu wskazywały, że było to dzieło ludzkich rąk. Banderski dostrzegł na drzewach nacięcia wykonane zapewne w celu zaznaczenia miejsca.

- Rety! – Wyrwało mu się z ust.

- No właśnie, rety – powtórzył kowal.- Oto mamy nasz skarb, a w zasadzie miejsce, gdzie jeszcze jakiś czas temu on się znajdował.

- Skrzyżowanie dróg, brzozy, wszystko pasuje – kontynuował Antoni. - Niby przy drodze, a jak sprytnie ukryte przed ludzkim wzrokiem.

- Wygląda na to, że miał rację Ignacy. Odległość od jego zabudowań niewielka i rzeczywiście mógł ów żołnierz dotrzeć tu wśród nocy i wrócić z pieniędzmi, którymi się wywdzięczył za okazaną pomoc – stwierdził Giersz.

- Cóż – westchnął Maciej – ani skarbu, ani wuja Stefana.

- Nie prorokuj Macieju. - Albert podszedł i położył dłoń na ramieniu chłopaka. - Znajdziemy Stefana, a i skarb jeszcze może być nasz.

- Co powiadacie? - Banderski spoglądał zdziwiony na swata.

- Mój nos mi podpowiada, że nie wszystko jeszcze stracone. Musimy bacznie przyjrzeć się Anieli. Nie można spuścić jej z oczu. Coś mi mówi, że to ona najszybciej doprowadzi nas do rozwiązania zagadki.

- Myślicie swacie, że będzie skora do współpracy?

- Przeciwnie, dlatego mówię, że musimy mieć ją na oku, ale w taki sposób, żeby ona sama nie miała o tym pojęcia.

Maciej z Antonim z zaciekawieniem patrzyli na kowala.

- Macie jakiś plan wuju?

- Mam. Przede wszystkim ty Macieju musisz wrócić do Dobrego Miasta i uspokoić Dorotę.

- Jak mam to zrobić? Nieobecność wuja Stefana przeciąga się zbyt długo.

- Wymyśl coś. Zostawiam to na twojej głowie. My tymczasem z Antonim zostaniemy tutaj i postaramy się dotrzeć do zagrody Ignacego.

- Wydaje mi się, że to mnie przypadło najtrudniejsze zadanie – westchnął Maciej.

- Dasz sobie radę.

- Gdzie mam was potem szukać?

- Dzisiaj już nie wracaj, a jutro, o tej samej porze w tym miejscu, przy dole.

Maciej z ociąganiem wsiadł na wierzchowca.

- Bywajcie – rzekł na pożegnanie.

- Uważaj na siebie – odpowiedział Albert.

Ledwie chłopak zniknął im z oczu, kowal spojrzął na swata.

- Antoni, ja tymczasem ruszam do zagrody.

- Mieliśmy przecież iść razem.

- Ktoś musi pilnować koni. Wrócę niebawem.

- Nie podoba mi się to, Albercie.

- Nie o podobanie tu idzie – odrzekł mężczyzna i ruszył przed siebie

Banderski spojrział na niego z wyrzutem, lecz wiedział, że protest nie zda się na nic. Rozejrzał się więc dookoła, a gdy dostrzegł pniak w niewielkiej odległości, podszedł do niego i przysiadł z sercem pełnym żalu za tak bezduszne potraktowanie jego osoby.

Albert zza stodoły spoglądał na podwórko Ignacego, lecz tam nie działo się nic. Anieli ani Grzegorza nie było widać. Kowal zdenerwowany wyszedł wreszcie na podwórko, a wtedy z chaty wybiegła gospodyni.

- A, to wy – przywitała go kobieta.

- Witajcie – odrzekł Albert. - Postanowiłem zajrzeć do Ignacego, bo jego stan niepokoi mnie bardzo.

- A, to zapraszam, zajrzyjcie do niego.

- Jak najbardziej.

Kowal podążył drogą wskazaną przez Anielę. Ta szła krok za nim. Mężczyzna wspiął się po schodach, wszedł do przedsionka i zamierzał udać się do izby gdzie spoczywał ranny, gdy nagle ból przeszył mu głowę i świat zawirował przed oczami. Giersz poczuł jak nogi odmawiają mu posłuszeństwa i bezwładnie runął na ziemię. Ogarnęła go bezkresna ciemność.

Antoni nie mógł znaleźć sobie miejsca. To podchodził do koni i gładził je po szyjach, to znowu wybiegał na drogę i wyglądał powracającego swata. Od czasu, gdy Albert zostawił go samego, minęły już dobre dwie godziny, a ten ciągle nie wracał. Niepokój czał się w sercu Banderskiego.

- Nie powinienem puszczać go samego – mruczał pod nosem.- Ba, ale bądź tu mądry i postaw się Gierszowi. Chłop uparty i zły, gdy mu się ktoś sprzeciwi.

Mężczyzna ponownie wyszedł na drogę i stanął na jej środku, spoglądając w kierunku gospodarstwa Ignacego.

- Nie zdzierzę!

Wrócił do koni. Sprawdził, czy odpowiednio przywiązał je do pnia sosny i pewnym krokiem znowu wyszedł na drogę, kierując się w stronę miejsca, gdzie spodziewał się odnaleźć swata.

Chwilę później, od strony Smolajn rozległ się hałas. Antoni skrył się na poboczu

i dostrzegł powracającego Grzegorza. Jeździec kierował się do zabudowań Ignacego. Banderski przyspieszył kroku. Zaszedł od strony budynków gospodarczych tak, żeby mieć przed sobą wejście do chaty. Przystanął i w skupieniu rozpoczął lustrację terenu. Giersza nie było nigdzie. Na podwórzu też nic nie wskazywało, żeby miało się coś wydarzyć. Przed gankiem stał wierzchowiec, którym przed chwilą jechał sąsiad Ignacego. Minął jakiś czas i Antoni doszedł do wniosku, że mógł rozminąć się z Albertem po drodze. Postanowił wracać, gdy z chałupy wyszła Aniela i skierowała się do obory. Banderski zastygł w bezruchu w oczekiwaniu na powrót kobiety. Ta nie kazała na siebie długo czekać. Wyszła wnet na podwórze, prowadząc za uzdę wierzchowca, lecz o dziwo, bez siodła.

- No, no – mruknął Antoni – wreszcie coś zaczyna się dziać.

Aniela zostawiła zwierzę obok konia sąsiada i zniknęła we wnętrzu domu. Po chwili z chaty wyszedł Grzegorz, popychając przed sobą jakąś postać. Banderski wyteżył wzrok i w tej chwili zdrętwiał z przerażenia. Mimo worka, który miał na głowie prowadzony człowiek, Antoni rozpoznał w nim kowala.

- Masz ci los. Mówiłem żeby nie szedł sam. Co ja tera poradzę w pojedynkę?

Mężczyzna dalej obserwował to, co działo się na podwórku. Tam zaś Grzegorz przywiódł Alberta do przyprowadzonego przed chwilą wierzchowca i coś powiedział do więźnia. Ten posłusznie dał się położyć na grzbiecie, w poprzek zwierzęcia. Sąsiad Ignacego pochylił się i starannie związał ręce z nogami Giersza. W tej chwili z chaty wyszła Dorota i między nią a sąsiadem wywiązała się dłuższa rozmowa. Wreszcie Grzegorz dosiadł swojego konia. Gospodyni usłużnie podała mu uzdę wierzchowca, na którym spoczywał skrzepowany kowal.

- A to źmija – mruknął Banderski. - Miał swat nosa, a ja ją broniłem.

Grzegorz ruszył przed siebie. Gdy Dorota ponownie zniknęła w chacie, Antoni ostrożnie pobiegł w ślad za kolumną. Kiedy znalazł się na drodze, stało się dla niego jasne, że jeźdźcy zmierzają do gospodarstwa Grzegorza. Mężczyzna przysiadł na trawie i zaczął się zastanawiać.

- Co robić? - dumął. - Sam nie dam rady, a mogę skończyć jak Albert. Tylko wtedy już nikt nie będzie wiedział, gdzie nas szukać. Żeby chociaż Maciej był ze mną. Nie ma rady. Zobaczę jeszcze gdzie ten drań zawiezie swata i ruszam do Lidzbarka. Trzeba będzie o wszystkim powiedzieć Maurycemu, a ten już znajdzie jakiś sposób, żeby uwolnić ojca.

Jak pomyślał, tak też zrobił. Rozglądając się na boki, dotarł do gospodarstwa Grzegorza. Zdażył jeszcze zobaczyć, jak ten wprowadza Giersza do środka chaty.

- Dobra nasza. Wydaje się, że mam trochę czasu. Gdyby dranie chcieli pozbawić Alberta życia, zrobiliby to na miejscu. Najwyraźniej więc mają wobec niego inne plany. Nie pozostaje mi nic innego, jak wracać.

Antoni spiesznym krokiem ruszył ku miejscu, w którym zostawił wierzchowce. Mężczyzna z uwagą lustrował teren, by przypadkiem nie wpaść na Aniełę, która mogła przecież także znaleźć się na drodze. Na szczęście droga powrotna nie przyniosła nic nieoczekiwanego. Zwierzęta posłusznie czekały na swoich właścicieli. Banderski uwolnił je i wskoczył w siodło. Prowadząc gierszowego konia za uzdę, ruszył w kierunku Lidzbarka. Cały czas bacznie nasłuchiwał i rozglądał się uważnie. Tym razem szczęście mu sprzyjało i wreszcie znalazł się przy swojej zagrodzie. Nad miastem panowały ciemności i nikt nie dostrzegł jego przybycia, a tym bardziej faktu, że wrócił sam. Postanowił, że nie będzie w tej chwili niepokoił Agaty i obydwu wierzchowce wprowadził do swojej stajni. Zaraz potem ruszył w kierunku domu zamieszkanego przez Maurycego. Chłopak siedział akurat przy Agnieszce i zdziwił się, widząc zafrasowanego teścia. Ten podszedł do córki.

- Jak się czujesz, moja droga? - zapytał, dając jednocześnie wzrokiem wymowny znak Maurycemu.

- Dobrze, ojciec. Zupełnie dobrze.

- To dobrze.

- Stało się coś?

- Nie, przyszedłem zobaczyć jak się miewasz i omówić z zięciem plan zajęć na jutro.

- A to przejdźmy do izby obok – gospodarz zrozumiał, że gość chce porozmawiać z nim na osobności. - Ty kochanie odpoczywaj.

Agnieszka najwyraźniej nie podejrzewała niczego, bo posłusznie nakryła się pierzyną. Mężczyźni wyszli i przysiedli w kuchni przy ławie.

- Stało się coś? - zapytał Maurycy.

- Ano stało!

Chłopak zbladł, spodziewając się najgorszych wiadomości.

- Mówcie przecie coś.

- A bo to muszę zacząć od początku, żebyś zrozumiał, w czym rzecz.

Maurycy z niepokojem, ale i z zaciekawieniem patrzył na teścia.

- Otóż nie pojechaliśmy wcale z Albertem do Dobrego Miasta – zaczął Antoni.

- Domyślałem się tego. To ma związek ze skarbem?

Banderski spojrzał na chłopaka.

- Oto Giersz – rzekł – ale idźmy dalej. Otóż z Dobrego Miasta przyjechał Maciej z wieścią, że Stefan wyjechał w kierunku Praslit i nie wrócił do domu.

- Masz ci los – westchnął Maurycy.

- Nie przerywaj! Otóż, gdy przyjechał Maciej, ojciec twój postanowił, że we trójkę pojedziemy rozejrzeć się w sytuacji.

- Ale dlaczego mnie o niczym nie powiedzieliście?

- Albo to mało masz kłopotów z Agnieszką? Widać Albert nie chciał nowych zrzucac ci na głowę.

Młody Giersz z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Za to ciotka Dorota ma teraz zmartwienie.

- Nic nie wie. Korvetta wmówił jej, że Stefan w Lidzbarku ma sprawy do załatwienia.

- Mądrze pomyślane.

- Maciej potrafił znaleźć się na miejscu i taką historyjką uspokoił kobietę.

- No dobrze, ale co dalej?

- Dalej, dalej. Jakże mam powiedzieć, co dalej, kiedy wciąż mi przerywasz – zdenerwował się Antoni.

- Już milczę.

- Postanowiliśmy więc pojechać we trójkę, jak już wspominałem. Wyjechaliśmy skoro świt, a Maciej dołączył do nas w Smolajnach. Tak też dotarliśmy do chałupy



Ignacego. Ranny był w domu sam. Korzystając ze sposobności, obejrzeliśmy sobie ową posiadłość i nie zgadniesz co znaleźliśmy?

- Skarby!?! - zawołał podekscytowany Maurycy.

- E, tam. Zaraz skarby. Zbyt pięknie by się to wszystko skończyć miało.

- Tedy co?

- Dół.

- Dół? Wybaczcie, ale nie rozumiem.

- W piwnicy znaleźliśmy dół. Świeżo co wykopany o wielkości akurat takiej, jaka należałaby się skrzyni.

- Ale samej skrzyni w nim już nie było?

- Ano nie było. Lecz nie było także Anieli, małżonki Ignacego.

Opowieść Banderskiego wzbudzała w chłopaku coraz większą ciekawość.

- Mówcie co dalej.

- W gardle mi zaschło.

Maurycy podniósł się. Podeszedł do pieca i przyniósł ze sobą kubek wypełniony jakimś płynem.

- Maślanka – ni to stwierdził ni to zganił Antoni, przechylając całą zawartość naczynia do gardła.

- Maślanka. Mówcie dalej.

- Ledwie wyszliśmy na podwórze, a tu wjeżdża wozem gospodyni i jak nas zobaczyła wielkie niezadowolenie z jej oczu widać było.

- Aha, mówcie dalej.

- Przywitała nas niby grzecznie, ale jednocześnie w sposób dający do zrozumienia, że nie jesteśmy mile widziani. Mimo to zaprosiła nas do środka i razem, drugi raz już tego dnia, weszliśmy do izby, w której spoczywa Ignacy.

- Co z nim?

- Bez zmian, a nawet powiedziałbym, że gorzej. Widać, że na żadną opiekę ani nawet marną pomoc od żony liczyć nie może.

- Nie może to być!

- A jednak. Ojciec twój powiadał, że nawet szmaty na ranach wciąż ma te same. Słuchaj dalej.

- Słucham.

- Więc postaliśmy nad tym biedakiem, nie dając po sobie poznać, że to już nie pierwszy raz tego dnia i po niedługim czasie pożegnaliśmy się z gospodynią.

Młody Giersz zdziwiony spojrział na teścia.

- Czyli nic nowego nie wiecie? Nic nie wskóraliście i los Stefana nadal pozostaje nieznany?

- Nie do końca masz rację mój drogi.

- A w czymże to?

- A w tym mianowicie, że nie doceniasz swojego ojca.

- Jakżeby nie, przecie wiele widziałem i niejedną ciężką chwilę przeżyłem z nim w czasie tułaczki.

- Więc wiesz, że koncept u niego tęgi.

- Wiem, a jakże.

- Że oszukać niełatwo kowala też wiesz.

- Oho, że aż mi dziwno czasem.

- Więc nie zdziw się, że na wozie, który Aniela ze sobą do gospodarstwa przywiodła zobaczył coś, czego żaden z nas tego nie dostrzegł.

- Mówcie Antoni jaśniej.

- Ano gadam przecie. Otóż Albert nic po sobie poznać nie dał, lecz zaraz po tym

jak z gospodarstwa wyjechaliśmy, na pewien szczegół zwrócił nam uwagę.

- Więc?

- Wóz, jakem powiadał, ubrudzony był ziemią, która pochodziła z piwnicy Ignacego.

Maurycy najwidoczniej minę musiał mieć bardzo zdziwioną, bo Banderski pospieszył z wyjaśnieniami.

- Ziemia na wozie świadczy o tym, że coś, co było w onym dole wykopanym w piwnicy musiało zostać właśnie wywiezione.

- A, tutaj zmierzacie – z podziwem rzekł chłopak. - Pytanie tylko, gdzie?

- Właśnie, ale zawsze to już mamy jakiś namacalny ślad, że coś z tym skarbem jest na rzeczy.

- O ile to nie warzywa wiozła owa Aniela.

- Ojciec twój pewien był, że to o skrzynię chodzi.

- Ba! - podsumował te deliberacje Maurycy i w tej chwili jakaś myśl nagle go oświeciła.

- Antoni – zapytał – a gdzie ojciec?

Mężczyzna spojrzał ciężkim wzrokiem na zięcia.

- Właśnie w tej sprawie przybywam – odrzekł, a zrobił to takim tonem, że Maurycemu ciarki przeszły przez ciało.

- Co z ojcem?

- Ano, kiedy wyjechaliśmy od Ignacego, zaraz potem usłyszeliśmy tętent. Zeszliśmy z drogi, bo radziliśmy właśnie co czynić, gdy jak wichurka przemknął obok nas Grzegorz i popędził w kierunku Lidzbarka. Albert zarządził, żeby Maciej jechał udobruchać Dorotę, bo nic nie wskazywało, byśmy mieli tego dnia jeszcze odnaleźć Stefana. Młodziak stawiał się, lecz nic nie wskórał. Pojechał.

- Skąd ja to znam?

- Właśnie. Też przecież z Gierszów pochodzisz. Więc Korvetta pojechał, a ojciec

twój tymczasem nowy pomysł miał w głowie.

- Tego się bałem. Miał w tym swój cel, żeby Macieja do Dobrego Miasta odesłać.

Tym razem to Antoni spojrzał zdziwiony na zięcia.

- O tym żem nie pomyślał.

- Ha, więc jednak to ja lepiej znam ojca.

- Nie dziwota.

- Ale, więc kiedy Korvetta pojechał, Albert nakazał mnie przy koniach zostać, a sam postanowił jeszcze raz do gospodarstwa Ignacego się udać.

- I przystaliście na to, by samego go puścić?

- A miałem wyjście?

- Jak znam ojca, nie.

- Właśnie. Protestowałem, ale tyle wskórałem co nic. Obiecał, że pilnować się będzie. Więc ojciec twój pojechał a ja sam ze zwierzętami zostałem.

- Co dalej?

- Czekałem i czekałem. Czas mijał, a Albert nie wracał. Upewniłem się, że wierzchowce dobrze zabezpieczone i ruszyłem na spotkanie swata. Dotarłem do gospodarstwa i patrzyłem czy gdzieś Alberta nie zobaczę. Niestety, już miałem do koni wracać, gdy dostrzegłem jak Grzegorz, który dopiero co wrócił, ojca twojego prowadzi z workiem na głowę wrzuconym.

Maurycy zbladł.

- Patrzyłem dalej co się będzie działo. Więc rzucony przez grzbiet i spętany kowal został przez Grzegorza do jego chaty przewieziony i tam zapewne do chwili obecnej przebywa. Ja zaś widząc to wszystko, co tchu do zwierząt wróciłem i ku Lidzbarkowi ruszyłem. Oto i cała historia.

Chłopak zamyślił się głęboko.

- Co radzicie, Antoni?

- Albo to ja wiem? Jedno jest pewne, trzeba nam na pomoc Albertowi ruszać.

- Ba, tyle to mnie wiadomo.

Młody Giersz patrzył przed siebie. Banderski nie odzywał się, bo widział, że zięć nad czymś pracuje.

- Już to gierszowe plemię znajdzie jakiś plan, żeby wyjść z opresji – dumął, obserwując chłopaka.

Rzeczywiście, nie minęła dłuższa chwila, gdy Maurycy jakby oprzytomniał i już całkiem trzeźwo spojrzał na teścia.

- Powiedzcie mi Antoni, co ustaliliście z Maciejem?

- Ano tak jak ci powiadałem, pojechał do Dobrego Miasta uspokoić Dorotę.

- To wiem, ale nie umawialiście się na kolejne spotkanie.

Banderski z podziwem spojrzał na zięcia.

- A jakże, planowaliśmy spotkać się jutro z samego rana w miejscu, gdzie się dziś rozstaliśmy.

- To dobrze, im nas więcej będzie, tym większe szanse, że coś wskóramy.

- No, no! Widzę, że w gierszowej głowie jakiś plan kiełkuje.

- Coś tam rośnie – uśmiechnął się Maurycy. - Do rana dojrzeje.

- Chwała Bogu! Tedy co, ruszamy o świtaniiu?

- Jak powiedzieliście.

- Na rany Chrystusa! – zawołał nagle Antoni.

- Co się stało?

- Zapomniałem przecie o Agacie. Trzeba jej powiedzieć, co i jak.

- Nie kłopotczcie się. To akurat biorę na siebie.

- To i Bogu dzięki, bo nijak nie potrafiłbym stanąć przed kobietą z taką nowiną.

- Boicie się mojej matki? - Maurycemu zaśmiały się oczy.
- Czy się boję? Chyba nie, ale respekt przed nią czuję ogromny.
- Tedy wracajcie do domu, a ja już z matulą o wszystkim pomówię.
- Więc do jutra.
- Z Bogiem. A wspomnijcie tam Zofii, żeby jutro do Agnieszki zajrzała.
- Nie omieszka, ale co mam jej powiedzieć?

- Prawdę Antoni, prawdę. Za dużo nas ta skrzynia kosztuje nerwów i zbyt wiele z jej powodu niedomówień powstało.

Banderski kolejny raz nie mógł wyjść z podziwu.

- I sam Albert lepiej by tego nie ujął – rzekł jeszcze i uściśnął mocno dłoń chłopakowi na pożegnanie.

Ledwie się drzwi za Antonim zamknęły, gdy Maurycy zajrzał do Agnieszki. Ta, nie podejrzewając z jakimi nowinami jej ojciec przyjechał, spała w najlepsze. Gospodarz po cichu ruszył ku drzwiom i niebawem znalazł się na podwórzu.

Młody Giersz szedł, układając w myślach plan odpowiedniego przedstawienia sytuacji matce. Postanowił, że nie będzie krył przed nią niczego. Był na tyle bystry, że domyślił się, iż Agata musiała zostać przez męża zaznajomiona z jego planami. Spojrzał przed siebie. W rodzinnym domu paliło się światło.

- Matula pewnie czekają na ojca – przemknęło mu przez myśl.

Pewnym krokiem, choć z ciężkim sercem wstąpił na schodek. Zapukał do drzwi i nie czekając na zaproszenie, pchnął je przed siebie. Wszedł do środka. Na spotkanie wyszła mu Agata.

- Pochwalony – przywitał ją i ucałował w dłoń.
- Pochwalony. A co to? Stało się co z Agnieszką?
- Nie z Agnieszką matko tym razem.

Gospodyni spojrzała na syna uważnie. Już wiedziała z czym przychodzi.

- Co z Albertem? - zapytała.

- Nie denerwujcie się matko. Siądźmy i porozmawiajmy, bo jest o czym.

Oboje przeszli do ławy co stała pod oknem. Agata, choć zaniepokojona, nie zdradzała objawów paniki.

- Jak zwykle, twarda kobieta – pomyślał chłopak.

- Co z Albertem? - powtórzyła.

Maurycy chrząknął, westchnął i odezwał się wreszcie.

- Gdzie i po co ojciec z Antonim pojechał, jak się domyślam, wiecie?

Gospodyni twierdząco spuściła głowę.

- Ano wiem.

- Tylko dlaczego ja nic o tym nie wiedziałem? Ale nie o to idzie.

- Właśnie, dość masz problemów z Agnieszką...

- Nie przerywajcie, matko.

Chłopak streścił pokrótce wszystko to, czego sam dowiedział się przed chwilą od teścia. Agata słuchała z uwagą aż rumieniec wystąpił jej na twarzy. Wreszcie, gdy syn skończył, wzdrygnęła się.

- Mówiłam ojcu, żeby przestał za ową skrzynią latać. Ale gdzie tam...

- Nie czas na żale...

- Bo i pewnie. Więc co zamysłasz?

- Rano ruszam z pomocą.

- Sam?

- Z Antonim i Maciejem.

- Tedy ruszaj, a ja już Alberta po powrocie odpowiednio powitam.

Ledwie przebrzmiały te słowa, gdy drzwi od zewnątrz się uchyliły i do izby wpadła Banderska.

- Wiem o wszystkim – zawołała od progu. - Ot i skutki wariactwa, jakie naszych chłopów ogarnęło.

- Właśnie o tym mówiłam synowi.

Zofia przysiadła się do nich.

- Trzeba wreszcie skończyć z głupotami – kontynuowała.

- Z ust mi to wyjąłś moja droga.

- I to bez żadnego gadania!

- Już nasze w tym głowy, żeby wybić im raz na zawsze szukanie przygód. Mało mają zajęcia przy gospodarstwie, to jeszcze ich po świecie gania.

- No mój Albert rozpuścił się całkowicie, odkąd wasz Antoni go przy kuźni wyręcza to i stąd pewnie głupie myśli mu do łba przychodzą.

- Albo to nie starczy dla trzech roboty przy piecu?

- Macie rację moja droga Zofio, macie rację.

- Wygarnęłam mojemu w samą twarz, co o owych skarbach myślę, a ten jeno oczy na mnie wybałuszył, głowę spuścił a milczał.

- Widać respekt jakiś przed wami czuje.

- Czuje, nie czuje, a jak to chłop, swoje robi.

- Skaranie boskie z tymi chłopami. Jest dokładnie tak jak mówicie. Niby to grzeczni, niby kochają a słuchają, a w głębi duszy szatan im siedzi.

- Aż miło posłuchać jak mądra kobieta mówi.

Maurycy siedział z boku i przysłuchiwał się babskim lamentom. Uśmiech ni to politowania, ni to zakłopotania błakał mu się po twarzy, a te jakby zapomniały, że nie same są w izbie. Na przemian to groźby, to żal i niepokój przewijały się w słowach gospodyń. Wreszcie, po dobrej chwili wyrzuciły wreszcie z siebie to, co je dusiło. Agata



spojrzała na syna.

- A ty tu czego siedzisz i słuchasz!?! – niemal krzyknęła.

- Oho, Antoniemu i ojcu już się dostało. Teraz na mnie kolej – roześmiał się chłopak.

- A jakże, bo ty też nie lepszy, a przecież żonę masz i dziecko w drodze.

- Tak? Ja? Nie lepszy? - bronił się Maurycy. - A jak to się stało matulu, że wyście wiedzieli o ojca wyprawie, a ja nie?

Agata zdębiała, bo przecież syn rację miał.

- Ty mi tu nie zmieniaj tematu – wypaliła.

- To wy matulu uciekacie od odpowiedzi!

- Racja, wiedziałam – rzekła już łagodnym tonem. - Nie chcieliśmy z ojcem, żebyś się martwił, bo przecież i tak kłopot masz z Agnieszką.

- No przecie – poparła Gierszową Zofia.

- Nic tu z wami nie wskóram – chłopak podniósł się i zamierzał ruszyć w stronę drzwi.

- A ciebie gdzie niesie? - zawołała Agata.

- No przecie do domu.

- Racja. Ale co postanowiliście z Antonim?

- Ruszamy jutro, skoro świt. Miejcie w opiece małżonkę, bo nie wiem kiedy wrócimy.

- Bez obaw, o to akurat się nie martw – odparła Zofia.

- A pilnujcie się tam, żeby i was szukać nie trzeba było. Bo to już i nie będzie komu.

- Wiem o tym. Z Bogiem.

Agata wstała i znak krzyża zakresliła nad synem.

- Z Bogiem. My tu z Zofią czekamy.

Alberta obudził tępy ból w tylnej części głowy. Mężczyzna leżał na posadzce. Na głowę miał zarzuconą skórę, która nie pozwalała mu na lokalizację miejsca pobytu. Kowal uczynił ruch całym ciałem, by zrzucić nakrycie, lecz w tej samej chwili cicho jęknął. Cała szyja był niczym sztywna kłoda drewna. Do Giersza dotarło także, że zarówno ręce jak i nogi ma skrupowane.

- Kiep ze mnie – stęknął.

Mężczyzna skupił się w sobie i starał się przypomnieć, co doprowadziło go do sytuacji, w której się znalazł. Mimo narastającego bólu, Albert zaczął odtwarzać w myślach minutę po minucie od chwili, gdy Aniela wyszła z budynku i zaprosiła go do środka.

- Pięknie, dałem się zaskoczyć zwykłej kobiecie. Przecież sam widziałem jak Grzegorz pojechał w kierunku Smolajń, a więc nie mogło go być w chałupie.

Związane ręce drętwiały coraz bardziej, lecz kowal starał się pozostać w bezruchu. Nie wiedział, czy w pomieszczeniu jest ktoś jeszcze, a nie chciał zdradzić, że odzyskał świadomość.

- Mój błąd – rozmyślał. - Kazałem Antoniemu zostać przy koniach i kto wie, czy przyjdzie mu do głowy, że mogło mi się coś stać, zanim naprawdę znajdę się w niebezpieczeństwie. Ani chybi, życie moje jest zagrożone. Najwidoczniej Aniela zorientowała się w sytuacji i postanowiła usunąć niewygodnego świadka. Tylko czy kobieta działa sama? Nie wydaje mi się. Nie, swat nie pozwoli mi tu zgnić. Jestem pewien, że pospieszy mi z pomocą, o ile już nie czai gdzieś w pobliżu. Ciekawe ile to czasu minęło od chwili, gdy straciłem przytomność? Dzień? Noc? A może dłużej? Kto to wie, ile tutaj leżałem związany? Ale! W sumie nie czuję nawet głodu, więc chyba nie minęło zbyt wiele czasu? Za to głowa i kark bolą niemiłosiernie.

Rozmyślenia Starego Giersza przerwał stukot butów. Albert usłyszał nad sobą przyspieszony oddech i poczuł jego ciepło. Jakieś ręce zerwały z niego nakrycie. Mężczyzna zamknął oczy i udawał, że nadal jest nieprzytomny. Skóra ponownie opadła mu na ciało, lecz więzień kątem oka zdążył jeszcze dostrzec figurę gospodyni.

- Kiep ze mnie – powtórzył w myślach kolejny raz. - Wygląda na to, że to naprawdę kobieca ręka poradziła sobie ze mną.

W tej chwili na podwórku rozległ się tętent. Na schodach zastukały obcasy i do środka weszła kolejna postać. Przez chwilę panowała cisza. Kowal skupił się najbardziej jak mógł.

- Miałaś rację – usłyszał naraz głos Anieli. - Psia jucha znowu kręciła się po podwórzu, alem pokazała, że nie ze mną takie sztuczki.

- Kto to? - zapytał przybysz.

- A któż miałby być, jak nie ten kowal z Lidzbarka?

- Nie spodobał mi się od samego początku.

Albert rozpoznał tym razem przybysza. Ten głos na pewno należał do Grzegorza.

- Opowiadał, jaka to przyjaźń łączyła go z Ignacym, a przecież wiem, że widzieli się raptem jeden lub dwa razy.

- A pewnie. Przecie mój chłop nosa z gospodarstwa nie wyściubiał, chyba że poważna przyczyna go do tego zmuszała.

- Tylko skąd do diabła wiedział o skarbie?

- Pewnie Ignacy mój, papla, mu o wszystkim powiedział, gdy jaką sprawę w kuźni załatwiał.

- Najpewniej i tak będzie. Zapłacił może monetą, a ta ciekawość wzbudziła.

- A pewnie, pewnie – przytaknęła kobieta.

- Głupi ten twój małżonek i gaduła, a do tego łatwowierny.

- Szczerze serce na dobre mu przecież wyszło, gdy ulitował się nad owym ruskim.

- Tylko języka w gębie nie potrafił utrzymać.

- Za to też i kara go spotkała z czyjejs ręki.

- Ciii...

Kowala przeszedł dreszcz. Zrozumiał w tej chwili, że to nikt inny, tylko sąsiad Ignacego był sprawcą jego tragedii.

- Co z nim teraz? - zapytał Grzegorz.

- Leży w łóżku jak kłoda i oczami w sufit spoziera.

- Niedobrze. Byłem pewien, że niedługo pożyje na tym świecie.

- Już mu też i niedaleko do śmierci.

- Nie powiadajcie. Za dużo nam się chętnych do podziału zbiera. Trzeba zrobić porządek i z waszym, i z tym, który u mnie w piwnicy, i z tym tutaj także.

Albert słuchał uważnie i mimo bólu coraz większego, rozumiał wiele i to, co usłyszał w jedną całość zaczęło się mu układać.

- Co umyślacie? - zapytała Aniela.

- Wezmę kowala do siebie, a o Ignacego sami musicie mieć staranie.

- Jak to?

- Tłumaczyć wam muszę, co zrobić trzeba? Przecie bez sił leży.

- Jezu, co prawicie?

- Jezu, Jezu! Nie wzywajcie teraz imienia nadaremnie. Za późno na lamenty. Nie rozumiecie? Albo my, albo oni. Nie ma innego wyjścia!

- Jezu, przecie co mam robić?

- Wystarczy poduszkę na głowę położyć!

- Jak to? Toć to przecie mój ślubny!

- Teraz o tym myślicie? A trzeba było za mną ganiać i głowę zawracać?

- Ja? Ja?...

Albert usłyszał szlochanie kobiety.

- To wy Grzegorzu zawróciliście mi w głowie!

- Jak suka nie da, to pies nie weźmie!

- A więc to tak! Jestem dla ciebie tylko suką, dzięki której z krzyża sobie możesz spuścić!

- Nie doprowadzaj mnie do ostateczności Anielu!

- Już nawet grozisz.... - szlochaniem gospodyni wypełniło pomieszczenie.

Giersz słuchał kłótni współników i gorączkowo analizował to, co usłyszał.

- Co to mówił Grzegorz? Trzeba zrobić porządek z tym, co to u mnie w piwnicy? Coś mi się zdaje, że niebawem obaczę Stefana. Jak Bóg w niebie. Wygląda na to, że to Grzegorz pociąga za sznurki w tej historii.

Tymczasem w izbie coraz głośniejsze stawało się zawrodożenie Anieli.

- Przestańcie się już mazgać. Z wami babami to tak zawsze. Jak problem, to robicie najwięcej zachodu. Działać nam trzeba, żeby sprawa się nie wydała. Inaczej koniec z nami - dobiegły kowala słowa mężczyzny.

- Mnie tam już za jedno. Ignacy ledwo zipie, a wy jeszcze ukatrupić go każecie. Toż samo z kowalem i jego kompanem. Jak nam żyć?

- Przecie skrzynia grosza pełna. Uciekniemy i gdziekolwiek w świecie na nowo sobie gniazdo uwijemy.

- Gdzie mnie starej w świat ruszać?

- Skaranie boskie z tą kobietą. - Głos Grzegorza stawał się coraz bardziej nerwowy.  
- Trzeba obudzić tego tu. Ty pędź do stajni i przyprowadź konia. Bez siodła.

Albert usłyszał stuk butów i poczuł powiew świeżego powietrza. To Aniela najwidoczniej posłuchała kompana. W tej chwili silny kopniak w brzuch sprawił, że Giersz cicho jęknął i skulił się z bólu. Ktoś szarpnął nakrycie i na twarz kowala padło światło dnia. Jeniec zmrużył oczy, by po chwili je otworzyć. Spojrzał do góry i ujrzał nad sobą pochylonego Grzegorza.

- Wstawaj! – dobiegł go głos mężczyzny.

Kowal nie ruszał się.

- Poznacie mnie? Myślicie, że uwierzyłem w wasze zmyślone historyjki o przyjaźni z Ignacym?

- Dlaczego uważacie, że zmyślane?
- Bo dziwnym trafem Aniela nie potwierdziła waszych rewelacji.
- Zapytajcie Ignacego.
- Nic z tego, ten raczej wam też nie pomoże, a zresztą jemu już mogła bliska, a nie świadczenie za wami.
- Tak źle z nim? - Albert próbował grać na czas.
- Źle czy dobrze? Co za różnica. Wam też to powinno już być obojętne.
- Uważajcie, co mówicie!
- E, co mi tam. Przecie krzywdy mi nie zrobicie. Chcecie? To popróbujcie!
- Cwaniście, kiedy przeciwnik spętany!?
- Nie rozśmieszajcie! Przecie kobieta dała wam radę.
- Fakt. Dałem się podejść jak niemowlę.
- Ani chybi. Mocarni w myśleniu to nie jesteście. Widać mięsa dużo jadacie.
- W kuźni siła potrzebna, koncept mniej.
- Trzeba było kuźni się trzymać, a nie nos wsadzać w nieswoje sprawy.
- Do czego zmierzacie?
- A wy czego tu szukaliście?
- Do ранnego przybyłem.
- Tere fere! I z za stodoły dom obserwowaliście?
- Samiście mówili Grzegorzowi, że Ignacy z nieznajomej ręki ucierpiał. Chciałem ostrożność zachować.
- Wierzycie w to, co mówicie?

- A jakże!

- Oj kowalu, kowalu! Ja z wami grzecznie, a wy mi tu wodę lejecie!

- Gdzieżbym śmiał. Mówię jak było.

- Myślicie, że macie kpa przed sobą? Przecież obaj wiemy, że o skarb wam idzie!

- Skarb? A jaki skarb?

- Nie mój drogi, w taki sposób gadać nie będziemy.

- Słuchajcie Grzegorzu – Giersz próbował przekręcić się na boku, żeby lepiej widzieć oprawcę.

- - Źle o mnie sądzicie. Ja nie gonię za żadnym skarbem. Tyle co z kuźni mam, choć niewiele, wystarczy. Wszystko, co wcześniej gadałem, to prawda. Przyjechałem, żeby Ignacego zobaczyć, a Aniela, nie wiem co w kobiecej głowie się urodziło, zdzieliła mnie przez łeb. Przytomność straciłem i dopiero wasze kopnięcie przywróciło mnie do życia. Nie wiem o co wam chodzi, lecz powtarzam, w błędzie jesteście i tyle.

Grzegorz przyglądał się związanemu, a po jego twarzy błędził tajemniczy grymas. W izbie zapanowała cisza tak głęboka, a jednocześnie złowroga, że Giersza dreszcz przeszył. Wzrok mężczyzn krzyżował się i zdaje się, że trwała walka na przełamanie.

- No cóż – odezwał się wreszcie oprawca. - Widzę, że nie warto strzepić języka.

W sieni rozległ się hałas i do środka weszła Aniela.

- Jak kazaliście, koń gotowy do drogi – oznajmiła.

Grzegorz rozejrzał się dookoła.

- Nie macie tu nic, czym mógłbym mu nakryć głowę?

- A jakże, coś się znajdzie. - Kobieta wyszła na chwilę i wróciła po chwili w workiem w dłoniach.

- - Nada się?

- Pewnie, że się nada. No panie kowal, wstajemy!

- Kiedy nie mogę. Członki mam zdrętwiałe.



- Anielu, zwolnijcie mu nogi! A wy, tylko bez sztuczek!

Gospodyni podeszła i zwolniła Gierszowi pęta u nóg. Potem złapała go pod pachy i pomogła podnieść się z podłogi. Grzegorz zbliżył się i zarzucił mu worek na głowę.

- Na co to wszystko?

- Cierpliwości. Zaraz wszystko będziecie wiedzieli – dobiegł go głos oprawcy.

Zdrętwiałe nogi odmawiały posłuszeństwa i Albert zachwiał się. W tej samej chwili poczuł jak ktoś szarpnął go za ramię.

- Cóż to, siły cię opuściły, że ustać nie możesz? A może to strach nie pozwala ci zapanować nad sobą?

Szyderczy śmiech Grzegorza wypełnił izbę. Kowal poczuł silne pchnięcie i trzymany wciąż za ramię, posłusznie ruszył naprzód. Zaskrzypiały drzwi i powiew świeżego powietrza oznajmił, że więzień znalazł się na podwórku.

- Dwa schodki – usłyszał Giersz.

Mężczyzna ostrożnie zszedł na ziemię i poczuł znany zapach końskiego potu.

- Teraz mój drogi kładź się na wierzchowca, tylko bez sztuczek. - Głos Grzegorza brzmiał stanowczo.

Podtrzymywany Giersz posłusznie wykonał polecenie i po chwili wyglądał niczym wór przerzucony przez kark zwierzęcia.

- Jeszcze tylko kilka supełków, żebyś mi się nie zgubił po drodze.

Oprawca najwyraźniej czuł satysfakcję ze znęcania się nad bezbronnym.

- Zabieram ci gościa – usłyszał jeszcze Kowal. - A ty wiesz, co masz zrobić!

Aniela nie odpowiedziała. Do Alberta dobiegł jedynie szloch kobiety.

Wierzchowiec ruszył. Giersz nie mógł złapać oddechu i czuł, że jeszcze chwila, a straci przytomność. Mężczyzna starał się głęboko odetchnąć, lecz pozycja, w jakiej został umieszczony na zwierzęciu oraz ciężar ciała, skutecznie mu to uniemożliwiały. Kowal zaczął się więc szarpać i bujać na boki. Udało się. Płuca wchłonęły niewielką, lecz jakże ożywczą porcję tlenu.

- Ej, nie szarp się tak, bo zaraz znajdziesz się na ziemi – dobiegł go znajomy głos.

Albert był tak wyczerpany, że nie miał nawet siły by odpowiedzieć. Zdawało mu się, że droga trwa całą wieczność. Ręce i nogi zwieszane ku ziemi ciążyły mu coraz bardziej. Krew uderzała do głowy. Jeszcze chwila, a wypychane ciśnieniem oczy wyskoczą z orbit.

Wtem wierzchowiec stanął. Mężczyzna poczuł, że skutecznie dotąd krępujące więzy ustępują.

- No kowalu, wysiadka. Proszę do tyłu.

Giersz ześliznął się z końskiego karku i upadł na ziemię.

- Wstawaj do licha! Nie mam czasu tu się nad tobą rozczulać.

- Zdejmij mi ten wór do diabła!

- Jeszcze czego!

Albert poczuł ból w brzuchu i zrozumiał, że oprawca poczęstował go solidnym kopniakiem.

- Obyś nie wpadł w moje ręce – stęknął, próbując stanąć na nogi.

- Niedoczekanie. Wiele ci już nie zostało, więc nie miel językiem po próżnicy.

- Nie znasz dnia ani godziny.

- Widzicie go, jaki hardy! Schodek w górę!

Silnie pchnięty w plecy kowal podniósł nogę i wszedł na ganek.

- Teraz prosto, przed siebie!

Skrzypnęły drzwi. Zapach stęchlizny uderzył w nos.

- Czuję brak kobiecej ręki. - Jeniec nie tracił formy.

- Głowa niżej! Schody w dół!

Chłód oznajmiał, że mężczyźni znaleźli się w piwnicy.

- Teraz rączki do góry. O tak.

Giersz poczuł jak Grzegorz mocuje linkę gdzieś u góry i naciąga ją w ten sposób, by dłonie pozostawały nad głową tak wysoko, by kował prawie wisiał. Palcami nóg dotykał ziemi.

- No, tutaj poczekasz, aż dopełni się twój los.

- Zrzuć ze mnie wór!

Oprawca nie odpowiedział. Równomierny głos stąpania po schodach oznajmił jeńcowi, że Grzegorz zostawia go samego. Odgłos zamykanych drzwi upewnił go w tym przekonaniu. Zapadła cisza. Albert sapiąc ciężko starał się poluzować krępujące go więzy. Spływająca z rąk krew ponownie uderzała do głowy.

- Jest tu kto? – dobiegło go nagle pytanie.

Kował rozpoznał głos Stefana.

## XXII

Trzech jeźdźców przystanęło na skraju drogi.

- Przejdźmy do miejsca, gdzie ukryta była skrzynia – powiedział Banderski.

Maurycy spojrzał na teścia.

- Skąd wiecie, że to akurat tutaj?

- Pamiętam, jak Ignacy opowiadał o brzożach na skrzyżowaniu. Rozejrzyj się. Gdyby tak wspomnieć jego słowa, to wydaje się, że wszystko pasuje. Niedaleko skrzyżowanie dróg i brzozy.

- No, jeśli chodzi o brzozy, to jest ich tutaj niemało.

- Masz rację, lecz Albert ma nosa. Skoro orzekł, że to tu, to najwidoczniej nie jest

inaczej.

- Wszystko wskazuje na to, że stąd właśnie skarb został przeniesiony do piwnicy Ignacego. Tyle tylko, że tam też pozostał jedynie dół – wtrącił się do dyskusji Maciej.

- Wiem już o tym. Antoni mi opowiadał.

- Tu dół, tam dół, a my nadal pozostajemy z niczym – westchnął Maciej. - Żeby chociaż wujowie znaleźli się cali i zdrowi.

- Amen – zabrzmiały dwa głosy.

- Co robimy? - Antoni pytająco spojrzał na młodzieńców.

- Po tym, co usłyszałem wczorajszego wieczora, wydaje mi się, że nie mamy innego wyjścia, jak wizyta u owej Anieli.

- Myślisz czegoś się od niej dowiedzieć? - Maciej z niedowierzaniem patrzył na młodego Giersza.

- Myślę. Jak nie dobrocią, to siłą. Żarty się skończyły. Musimy zrobić wszystko, żeby nie przybyły nam dwie wdowy.

- Tfu! - splunął Banderski. - Skąd takie czarne myśli?

- Musimy być przygotowani na wszystko. Ja także chciałbym, żeby wszystko skończyło się dobrze. Lepiej jednak przewidywać, co gorsze, niż żyć złudną nadzieją.

- No to żeś mnie nie pocieszył. - W głosie Antoniego czuło się rozczarowanie.

- Wierzmy, że będzie dobrze – rzekł Maciej.

- Samą wiarą ich nie uratujemy. Trzeba działać.

- Więc na co czekamy?

- Spokojnie teściu. Najpierw ustalmy plan działania.

Maurycy spojrzał po towarzyszach.

- Antoni pojedzie za stodołę. Ty Macieju przypilnujesz okien od drogi, a ja wejść do chaty.

- Znowu mamy czekać na czatach? - zaprotestował Banderski.
- Nie, chodzi mi o to, żeby Aniela nie miała szansy ucieczki.
- Jasne.
- Więc jedźmy.

Mężczyźni dosiedli wierzchowców i szybkim tempem ruszyli przed siebie.

Przed gospodarstwem, zgodnie z umową, rozdzielili się i każdy z nich poszedł na umówioną pozycję. Maurycy wjechał na podwórko. Przywitało go ujadanie psa, lecz nikt nie wyszedł mu na spotkanie. Chłopak zeskoczył z siodła i pewnym krokiem skierował się w stronę drzwi wiodących do wnętrza chaty. Młody Giersz uderzył pięścią we framugę. Cisza. Klamka lekko ustąpiła pod naciskiem dłoni. Mężczyzna znalazł się w środku. W pierwszej izbie nie było nikogo, lecz Maurycego uderzył charakterystyczny zapach. Podążając za nim, znalazł się w drugim pomieszczeniu i ujrzał widok, który przyprawił go o drżenie serca.

Oto w łóżku spoczywał Ignacy. Brudny opatrunek zakrywał mu niemal całą twarz. Mężczyzna nie oddychał. Dłonie splecione miał na klatce piersiowej. Po jego lewej ręce płonęła gruba świeca.

Po prawej stronie siedziała Aniela i tępym wzrokiem patrząc przed siebie bujała się to w przód, to znowu do tyłu.

Chłopak podszedł do kobiety i lekko uderzył ją w ramię.

- Pochwalony – zagadnął.

Gospodyni nie zareagowała na jego słowa. Młody Giersz podszedł do okna i rozejrzał się. Dostrzegł Macieja spoglądającego w jego kierunku. Machnął ręką. Korvetta zrozumiał i trzymając wierzchowca za uzdę ruszył w kierunku podwórza.

Maurycy ponownie dotknął ramienia kobiety. Ta odwróciła głowę i spojrzała na niego szklanymi oczami.

- Ignacy nie żyje. Zostawił mnie niebogę! - rzekła załamany głosem.
- Kiedy to się stało?
- Był dla mnie taki dobry, a ja okazałam mu niewdzięczność.

- Anielu, co wy mówicie? Jaką niewdzięczność?

- Opętał mnie, obiecywał, że złotem obsypie.

Za ścianą rozległ się odgłos kroków i do izby wszedł Maciej. Stał na środku i z uwagą lustrował pomieszczenie.

- Anielu, kto wam obiecał?

- To jego wina. Mój Ignacy nie żyje.

Szloch wstrząsnął Anielą.

- Źle z nią. - Maurycy zwrócił się do Macieja. Zawołaj Antoniego i rozejrzyjcie się po gospodarstwie. Ja postaram się coś z niej wyciągnąć.

Korvetta posłusznie ruszył w kierunku drzwi.

Młody Giersz uklęknął przed gospodynią.

- Anielu! Słyszycie mnie? Powiedzcie, kto zrobił Ignacemu krzywdę?

Kobieta spuściła głowę i cierpiącym wzrokiem ogarnęła gościa.

- Grzegorz – padło z jej ust.

- Co wy mówicie? Wasz sąsiad?

- Tak, Grzegorz. To on jest przyczyną mojego nieszczęścia.

- Jak to? Anielu! Jak to?

- To Grzegorz zranił mi chłopca, gdy ten próbował ukryć skrzynię z pieniędzmi, a potem wmawiał mi, że pieniądze trzeba ukryć przed prześladowcą i wywieźć do jego chaty.

- Jaka skrzynia? Jakie pieniądze? Anielu! Co wy mówicie?

Dreszcz wstrząsnął kobietą i Maurycemu zdało się, że ta wróciła do życia. Anielą przytomnym już wzrokiem spojrzała na chłopaka.

- Powiem wszystko. On musi ponieść karę. Za moją i jego krzywdę – rzekła, wskazując na truchło.

Do izby wszedł Banderski z Maciejem. Mężczyźni stanęli w miejscu zaskoczeni sceną, której stali się świadkami.

Aniela podniosła się z krzesła. Pewnym krokiem podeszła do okna i stanęła plecami do mężczyzn. Przez dłuższą chwilę obserwowała teren za oknem. Westchnęła ciężko. Nagle odwróciła się do nich.

- Powiem wszystko. On musi ponieść karę – powtórzyła, pozostając przy oknie.

Maurycy spojrział na Macieja i Antoniego. Potem skierował wzrok na kobietę.

- To było ostatniej wiosny – zaczęła Aniela. - Pewnego dnia, wieczorem, Ignacy przyprowadził do domu rannego żołnierza z rosyjskiego wojska. Znalazł ich co prawda dwóch, lecz jeden z nich był już w takim stanie, że rychło pożegnał się z życiem. Drugi nie wyglądał wcale lepiej i razem z małżonkiem czekaliśmy chwili, kiedy i ten wyzionie ducha.

- Ignacy opowiadał nam już o tym – wtrącił się Banderski.

- Niech mówi. Ja nie słyszałem tej historii – odpowiedział Maciej.

Tymczasem gospodyni ponownie usiadła na krześle.

- Ku naszemu zdziwieniu, żołnierz nie dawał się kosztusze. Widać miał wolę życia i po pewnym czasie zauważyliśmy, że najtrudniejsze chwile minęły. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, ranny odzyskiwał siły i doszło wreszcie do tego, że wstał z łóżka i zaczął, z trudem, bo z trudem, lecz przechadzać się po chacie. Chłop mój miał szlachetne serce, lecz sami wiecie, jak przechodzące wojska ogołociły okolice z żywności. Nie raz i nie dwa głośno wyrażałam swój niepokój odnośnie możliwości wykarmienia dodatkowej gęby. Żołnierz, choć nie mówił po naszymu, najwyraźniej zrozumiał, o czym mówiłam. Pewnej nocy zauważyłam, jak ranny wychodzi na podwórze. Myślałam, że chce nas opuścić i wracać do swoich. W duchu dziękowałam za to Bogu, bo pobyt i leczenie rannego wiele nas kosztowało. Zasnęłam i kiedy o świcie się przebudziłam, zobaczyłam, że radość moja była przedwczesna. Mężczyzna musiał w nocy wrócić, bo spał w tym samym łóżku, co zwykle.

- To wtedy wręczył Ignacemu złote monety? - zapytał Antoni.

- Tego nie wiem, lecz prawdą jest, że jeszcze tego samego dnia mąż wyjechał gdzieś wozem, a kiedy wrócił, piwnica i komórka zapełniły się żywnością. Sama byłam tym bardzo zdziwiona, lecz gdy zapytałam małżonka skąd wytrzasnął tyle jedzenia i skąd wziął na to pieniądze, ten zbył mnie i kazał cieszyć się tym, co mam. Ranny najwyraźniej

zadowolony był z takiego obrotu rzeczy, bo tylko uśmiechał się pod nosem, będąc świadkiem naszej rozmowy. Nie pytałam więc już o nic.

Maurycy z Maciejem podeszli ku ławie i przysiedli, opierając się o ścianę. Banderski pozostał przy oknie i od czasu do czasu wyglądał na podwórko.

- Dni mijały i żołnierz coraz szybciej powracał do zdrowia. Aż wreszcie przyszedł czas, gdy ubrany i zaopatrzony na drogę wyruszył ku swoim. Odchodząc, dziękował mi za ocalenie życia i to wszystko, co od niego dostałam – podziękowania. Zauważyłam jednak, że od dnia, gdy Ignacy pierwszy raz przywiózł żywność, polepszyło nam się znacznie i nie musieliśmy już zaciskać pasa jak wcześniej. Do tematu jednak nie wracałam. Znałam swojego chłopca i wiedziałam, że jak nie zechce to i tak o niczym mi nie powie. Taki był i nikt i nic nie mogło tego zmienić.

- Co było dalej? - Korvetta z zainteresowaniem słuchał opowiadania kobiety.

- Latem w polu było dużo roboty, lecz zauważyłam, że Ignacy zniknął czasami na długie godziny, a gdy wracał, to zły był jak pies i ani się zbliżyć do niego nie można było, ani zagadać, bo wybuchał zaraz gniewem. Wreszcie, któregoś dnia, już jesienią, gdy z pola zebrano to, co uniknęło zniszczenia w czasie wojny, mąż ponownie zniknął, lecz wrócił odmieniony. Już nie zły, nie krzyczał, a wręcz przeciwnie. Widać było, że energia rozpiera mu ciało i wielkie szczęście biło od niego. Chodził po chałupie, a gęba mu się nie zamykała. Wreszcie zniknął w piwnicy. Gdy nie wracał długo, zajrzałam do niego i zobaczyłam, że przewrócił wszystko do góry nogami, a na samym środku, w posadzce, wykopał głęboki dół. Zapytałam, po co to robi, lecz ten jak zwykle odparł, że to nie babska sprawa i dodał, że bym nie wsadzała nosa w nieswoje sprawy. Wyszłam więc zła na niego, choć ciekawa wielce, co też on znowu wymyśla. No i ten humor, ta radość. Choć wszystko wydawało się dziwne, a wręcz tajemnicze, nie pytałam o nic. Duma nie pozwalała mi na to.

- Wychodzi na to, że bardzo ostrożny człowiek był z waszego chłopca - powiedział Antoni.

- Teraz i ja tak to widzę, lecz wtedy złość przesłoniła mi prawdę.

Maciej z niecierpliwością wiercił się na ławie.

- Ledwie wyszłam z piwnicy, a w chałupie zjawił się Grzegorz. Powiedział, że Ignacy obiecał mu pomoc przy naprawie jakiejś tam ośki. Odparłam zła na cały świat, że małżonek zgłupiał, bo zszedł do piwnicy i dół w niej kopie. Moje słowa wywarły na sąsiedzie duże wrażenie.

- No, toście przysłużyły się małżonkowi – z przekąsem wtrącił Maurycy. - Od



dawna znacie Grzegorza?

- A wiecie, macie rację z tym przysłużeniem, bo jak sobie teraz tak myślę, to od tej chwili, gdy wspomniałam o onym dole w piwnicy, sąsiad nasz częstym gościem się stał. Wcześniej, owszem zajechał i o zdrowie zapytał, czy to sam o pomoc poprosił, szczególnie, gdy mu małżonka z życiem się pożegnała. Naraz co dzień nieomal, a często i kilka razy w dzień zaglądał. Zupełnie, jakby chciał na widoku mieć to, co się u nas dzieje. Za to Ignacy znowu humor stracił i zdaje się czekał. Czekał sposobnej chwili, lecz na co?

- A schodziliście sami do piwnicy po owym dniu? - zapytał Maurycy.

- A jakże. Nie raz i nie dwa. Gdy chłop mój z domu wyjeżdżał. Dół jednak był tak jak pierwszego dnia. Pusty. Aż wreszcie pewnego popołudnia, o zmierzchu, Ignacy wypadł w podwórze, konie zaprzął i przywiózł po niedługim czasie coś na wozie. Rozglądał się zdenerwowany na boki i wtaszczył coś niedużego, a ciężkiego. Patrzyłam na to, lecz znać nie dawałam, że jestem. Na drugi dzień, gdy chłop do Lidzbarka pojechał, zesłałam kolejny raz do piwnicy. Dołu nie było, tylko w miejscu gdzie go mój kopał rzucone były kosze na śmieci. Zupełnie tak, jakby zależało mężowi, żeby nikt niczego nie spostrzegł.

- Ot i cała historia – westchnął Banderski.

- Nie cała wcale, nie cała. Nie dalej jak kilka dni po tym, kiedy Ignacy dół zamaskował, widziałam jak w podwórzu pojawił się Grzegorz. Przyszedł niby po radę do męża, a ten akurat był w stodole. Wysłałam do niego sąsiada i słyszałam coś jakby kłótnię. Szczególnie Grzegorz wołał głośno. Patrzę przez okno, a ten gestykuje i macha rękami w kierunku męża. Ignacy wszedł do domu blady a zdenerwowany, lecz swoim zwyczajem nic mówić nie chciał.

- Pewnie o skrzynię poszło – wyraził przypuszczenie Maciej.

- Pewnie o skrzynię – przytaknęła Aniela. Zaraz następnego dnia sąsiad chłopą przyniósł rannego krzyżąc, że znalazł go za domem, przy płocie.

- Powiedźcie, jak dokładnie było? Nie mówił nic Ignacy, gdy z domu wychodził? - zapytał Antoni.

- A gdzie tam, jak co rano do zwierząt o świcie poszedł.

- Nie wspominał nic o wyjeździe do kowala w Lidzbarku?

- Ni słowem.

- Dziwne. - Banderski spojrział na towarzyszy. - Przecież Grzegorz twierdził, że po to zmierzał do waszej chaty, gdy Ignacego znalazł. Rzekomo przysługę miał mu wasz chłop wyświadczyć.

- Kto ich tam wie, przecie o wszystkim mi małżonek nie gadał.

- Dziwne, ale powiadajcie dalej.

Kobieta ogarnęła wzrokiem słuchaczy.

- Teraz odpowiem na wasze pytanie względem Grzegorza.

Gospodyni nabrała powietrza i westchnęła ciężko. Widać było, że to co zamierza powiedzieć głęboko jej leży na sercu.

- Z Grzegorzem znałam się od małości. Wieś jak widzicie nie za duża. Dymów kilka, a i te, które są, w odległości sporej od siebie rozrzucone. Można śmiało powiedzieć, że każdy żył tu swoim życiem. Za to my, dzieci, jak to dzieci. Szukaliśmy towarzystwa do zabaw. Tak poznałam Grzegorza. Mieszkał ze trzy domy od nas. Nie tu, gdzie dziś, a wyżej, za zakrętem. Tak od małego, najpierw zabawa, a potem pierwsze młodzieńcze porywy. Zdawało się, że z czasem coś więcej nas łączy niż tylko szczeniackie zabawy. Lecz nic z tego nie wyszło.

Maurycy pochylił się na ławie.

- Dlaczego?

- To powinno być dla mnie ostrzeżeniem. W rodzinie, co to teraz w ich zabudowaniach Grzegorz mieszka, mieli córkę. Nie dość, że brzydka to i chora. Garbata. Sama jednak była, bez rodzeństwa, a u Grzegorza bród, bieda i jeszcze dzieci mnóstwo. Jak i kiedy się rodzice zgadali, nie wiem. Czy sam Grzegorz w tym palce maczał? Bóg jeden rozstrzygnąć potrafi. Tak czy inaczej, poślubił niebogę w sam czas. Bo zaraz potem, w niedługim odstępie, teście na lepszy świat się wynieśli i sam z niebogą Grzegorz został już jako pełną gębą gospodarz.

- Coś mi się zdaje, że mógł on przysługę wyświadczyć i ułatwić teściom drogę do raju – Maciej spojrział na młodego Giersza.

- Tego nie wiem. Za to w niedługim czasie, w niecałe dwa lata wdowcem został, bo i małżonka jego, nieboga, podążyła za rodzicami. Ja już wtedy jednak po słowie z Ignacym byłam.

- A Grzegorz nie proponował wam, byście razem żyli?

- Wtedy nie.

- Wtedy?

- Właśnie ku temu zmierzam.

Aniela poprawiła się na krześle.

- Otóż jeszcze tego dnia, gdy do rannego małżonka przyjechał kowal z Lidzbarka...

- Przecież ja też wtedy byłem – wtrącił Antoni.

- Prawda – odparła kobieta. - A więc jeszcze tego samego dnia, gdy odwiedziliście naszą chałupę, Grzegorz zdradził mi sekret Ignacego. Opowiedział o skrzyni ukrytej na rozdrożu i wskazał miejsce jej ponownego ukrycia.

- Skąd wiedział, szelma? - Banderski z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Bóg mi świadkiem, nie wiem. Ja, oprócz tego, co w nerwach, nic mu nie powiedziałam. Zeszliśmy do piwnicy. Odgarnęliśmy wszystko, co przykrywało świeżo wykopany dół i Grzegorz zaczął kopać. Niebawem naszym oczom ukazała się skrzynia. Po jej otwarciu od złota aż zakręciło mi się w głowie. Zasypaliśmy na powrót skarby. Grzegorz zaczął mi wówczas tłumaczyć, że miłość do mnie nadal w sercu mu płonie, a wcześniejsze małżeństwo było tylko ucieczką od biedy. Ignacy ledwie dyszy. Mogiła mu bliższa niż życie. Nie kochał mnie, skoro skarb w tajemnicy przede mną przytargał do domu. Teraz jest szansa, byśmy na nowo zaczęli życie. Daleko, by nikt nie wiedział skąd i kim jesteśmy.

- Uwierziliście temu draniowi, Anielu? - zapytał Maurycy.

- A jakże. Tak to wszystko pięknie powiedział, a ślipiami ku mnie przebierał. Nie taję, uwierzyłam zaślepiona młodzieńczą miłością.

Mężczyźni patrzyli po sobie i kręcili z niedowierzaniem głowami.

- Następnego dnia Grzegorz ponownie przyjechał. Powiedział, że kowal z Lidzbarka węszy i prawdopodobnie wie, gdzie ukryta jest skrzynia. Poszliśmy razem do piwnicy. Wykopaliśmy skarb i złożyliśmy na moim wozie. Razem przewieźliśmy ładunek do chaty Grzegorza. Już miałam wracać do domu, gdy napatoczył się jakiś człowiek.

- Wuj Stefan! - wyrwało się Maciejowi.

- Grzegorz zaprosił go do chałupy i nie namyślając się, zdzielił łopatą przez plecy.

- Co z nim? - Korvetta zerwał się z ławy.

- Nic straszego. Spętany leży w piwnicy na samym skarbie. Po powrocie ponownie zastałam was na moim podwórzu. - Tu gospodyni palcem wskazała na Antoniego. - Gdy wyjechaliście, chciałam jechać do Grzegorza, powiedzieć o waszej wizycie. Wtem zauważyłam kowala. Jego sama zwabiłam do chaty i podzielił los kamrata.

- Gdzie ojciec?

- Ściągnęłam Grzegorza, a ten zabrał go do siebie. Przed odjazdem nakazał, bym ułatwiła mężowi zejście z tego świata.

- Posłuchaliście go?

- Anim myślała. Ignacy sam ducha wyzionął. Za późno przejrzałam na oczy. Tu nie o miłość szło, lecz o skrzynię i skarb, który w sobie mieściła.

- Mądra z was jednak kobieta. - Maurycy podniósł się z ławy. - Lepiej późno, niż wcale.

- Co z tego, kiedym wdową została? Kto wie, czy nie z ręki Grzegorza śmierć Ignacego spotkała.

- Mówił wam co o tym?

- A gdzie tam, lecz nie wierzę już w żadne słowo tego drania. To zły człowiek.

- Kto wie ile racji jest w waszych słowach Anielu? Lecz powiedzcie, czy mówił wam może Grzegorz, co chce zrobić z pojmanymi?

- Jakżeby nie? Skończyć z nimi zamierzał, by sprawa skarbu się nie wydała.

Ledwie przebrzmiały te słowa, gdy mężczyźni rzucili się do drzwi.

## XXIII

- To wy Stefanie? - zapytał kowal.

- A jakże. Co za niespodziewane spotkanie.

- Widzę, że nie tracie rezonu?

- Co mi pozostało? Mam uważać się nad sobą? Wiedziałem, że nie ostawicie mnie bez pomocy. We wszystko wtajemniczyłem Macieja i widzę, że zrobił dokładnie to, o co go prosiłem.

- Chłopak tak, ja nie.

- Co prawicie?

- Mówię, że jak idiota dałem się kobiecie zniewolić.

- Ja też nie lepszy. Choć mnie mężczyzna przez plecy zdzielił. Obudziłem się dopiero w tej piwnicy i leżę tak na klepisku sam nie wiem przez czas jaki.

- Teraz obaj musimy liczyć na Antoniego. Już jego w tym głowa, żeby wszystko rozegrać jak należy.

W pomieszczeniu zapanował cisza. Słyszać było tylko przyspieszone oddechy więźniów.

- Co was podkusiło swacie, żeby samemu jechać do Praslit? - zapytał Albert.

- Czort to wie. Chciałem rozejrzeć się po okolicy i traf chciał, że zobaczyłem ruch na podwórzu Ignacego. Aniela wóz zaprzęła i przewoziła coś do sąsiada. Postanowiłem bliżej przyjrzeć się sprawie i...

- Trafiliście na cwańszego.

- Na to wychodzi.

- Byłem i ja z Banderskim tego dnia we wsi, lecz nie było nam dane trafić na siebie. Być może uniknęlibyśmy dzisiejszego losu?

- Może tak, może nie – filozoficznie odparł Stefan. - Nie pora myśleć o tym. Trzeba zrobić wszystko, żeby wyrwać się z pęt. Widzi mi się, że nasz ciemieżca nie ma uczciwych zamiarów.

- Tego możesz być pewien. Grunt pali mu się pod stopami, a z takimi nie zgadniesz.

- Tedy, co radzicie?

- Ba, gdybym znał wyjście z każdej sytuacji nie rozmawialibyśmy w tym miejscu.

- Prawda.

- Nie traćmy jednak nadziei.

- Nadzieja pęt z nas nie zdejmie, niestety.

- Tyle to i ja wiem Stefanie.

Mężczyźni zamilkli ponownie.

- Szwagrze – rozległ się głos kowala – stoicie czy leżycie?

- Leżę na klepisku.

- Możecie się ruszać?

- Nogi i ręce mam spętane, a na głowie szmatę.

- Wstać możecie?

- Spróbuję.

Przez chwilę słychać było sapanie. Stefan przewrócił się na bok i podciągając kolana pod brzuch przeszedł do pozycji klęczącej. Ręce związane na plecach ciągnęły go w tył i mężczyzna ponownie znalazł się w pozycji leżącej.

- Nie udało się – wyszeptał.

Stękanie swata świadczyło o tym, że ten ponowił próbę. Giersz w milczeniu czekał na jej efekty.

- A żeby to wszyscy diabli!

- Znowu leżycie?
- A leżę, leżę. Ale jest też coś dobrego.
- Co prawicie?
- Szmata z głowy zrzuciłem i już widzę jak pięknie wisicie.
- No to przynajmniej ubaw macie.
- A jakże. Całkiem dobrze wyglądacie.
- Widzę Stefanie, że dowcip się wam wyostrzył!
- No, no. Nie gniewajcie się Albercie. Miło patrzeć jak biją mistrza.
- Raczej starego pierdołę.

W tej chwili dał się słyszeć odgłos kroków i w pomieszczeniu zjawił się gospodarz. Mężczyzna spojrzał zaskoczony na Stefana.

- Widzę, że gość nie jest zadowolony z pobytu w moich progach – powiedział złowieszczym tonem.

- Skądże znowu – Stefan nie stracił rezonu.

- Już moja w tym głowa, żeby uroki piwnicy były waszym ostatnim wrażeniem.

- Grzegorz – włączył się do dyskusji Albert – nie róbcie nic pochopnie. Pogorszycie tylko swoją sytuację.

- Nie twoja sprawa kowalu!

- A jakże, przecie moja. Dogadajmy się. Jest jeszcze czas, żeby wszystko rozeszło się po kościach. Zdejmijcie mi z głowy tę szmatę i porozmawiajmy.

Przez chwilę w pomieszczeniu panowała cisza. Gospodarz najwyraźniej ważył w głowie słowa więźnia.

- Za późno – rzekł wreszcie. - Za daleko się sprawy posunęły. Wiecie zbyt wiele, żebym mógł być spokojny o swój los.

- Mylicie się – Giersz nie rezygnował z gry na czas. - Prawda Stefanie?
- A jakże!
- Nie wierzę wam. Myślicie, że jesteście cwańsi ode mnie, a tu proszę! Kto górą?
- Grzegorz, proszę was, nie działajcie pochopnie?
- A cóż to mnie grozi z waszej strony, ha?
- Po prawdzie to nic – odparł kowal.
- To i ja wiem.
- Szukają nas!
- Niech szukają wiatru w polu!
- Pycha przez was przemawia Grzegorz, lecz zapewniam was, mylicie się.
- Chyba nie!
- A jednak! Muszę wam o czymś powiedzieć.
- Byle prędko, bo dosyć mam już tych jęków.
- Nie byłem sam, gdy Aniela zwabiła mnie do chaty i pozbawiła tchu.

Przyspieszone oddechy brzmiały w piwnicy niczym dźwięk dzwonów w nocnej ciszy.

- Mówicie tak, żeby mnie wystraszyć- odezwał się wreszcie gospodarz.
- Ależ nie. Prawdę gadam.
- To i tak nie zmienia waszego położenia.
- Ale pogarsza twoje. Tylko patrzeć jak mój towarzysz ściągnie posiłki, bo przecież widział całą sytuację.
- To dlaczego wam nie pomógł, kowalu?
- Został sam i zapewne obawiał się podstępu. Ręczę wam jednak, że jeśli już nie



depcze wam po piętach, to rychło poczujecie jego oddech na swoich plecach. Wtedy będzie naprawdę za późno.

- Nie straszcie mnie!

- Przecie nie straszę, tylko mówię jak jest.

Grzegorz znowu ważył w myślach to, co usłyszał.

- W jednym na pewno macie rację - rzekł wreszcie.

Albert odetchnął głęboko.

- Widzę, że zaczynacie myśleć rozsądnie.

- W jednym macie rację – kontynuował Grzegorz. - Czas nie jest moim sprzymierzeńcem, więc zaczniacie prosić Najświętszą Panię o wstawiennictwo, bo niebawem staniecie przed Panem.

Stefan poczuł jak krew uderza mu do głowy.

- Grzegorzu, na litość boską! – zawołał. - Nie boicie się sądu bożego?

- Nic wam do tego. Nie trzeba było szukać tego, co nie wasze!

Stary Giersz gorączkowo myślał, czym mógłby zaszachować oprawcę.

- Grzegorzu! – Wydobył z siebie resztę sił. - Grzegorzu, zdejmijcie mi z głowy tę szmatę! Porozmawiajmy! Na Boga, nie róbcie głupstw! Przecie nie wierzę, że nie macie sumienia?

- Psu na budę moje sumienie!

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Albert czuł, jak krew gotuje mu się w ciele. Miał wrażenie, że żyły pękną mu niebawem pod naporem ciśnienia.

- Żegnajcie szwagrze! - dobiegł go głos.

Stary Giersz rzucał głowę to do tyłu, to znowu do przodu, starając się zrzucić nakrycie.

- Co prawicie, Stefanie?

- Wybaczam i proszę o wybaczenie! Kat stoi nade mną!
- Wybaczam jako i wy i także proszę o wybaczenie!
- Bóg z tobą Albercie!
- Stefanie...!

Kowala dobiegł głuchy odgłos uderzenia. Zaraz potem rozległ się jęk i ziemia zadudniła pod ciężarem padającego ciała.

- Stefanie!

Ktoś podszedł do kowala i ten w duchu zaczął odmawiać modlitwę, oczekując morderczego ciosu. O dziwo więzy uległy rozluźnieniu. Zdrętwiałe nogi odmówiły posłuszeństwa i mężczyzna znalazł się na ziemi. Albert podparł się rękami. Ktoś złapał go pod ramiona i siłą postawił do pionu. Stary Giersz z trudnością łapał oddech. Wtem czyjeś ręce zrzuciły mu worek z głowy i kowal ujrzał... mnicha.

- Nie bójcie się Albercie. Pan czuwał nad wami. Zdążyłem w ostatniej chwili.

Stary Giersz ciągle nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Na posadzce leżały dwa ciała. Ułożony na plecach Stefan, a tuż obok niego, nienaturalnie skręcony na prawym boku jego niedoszły oprawca.

- Co z nimi? - zapytał.

- Nie martwcie się, szwagier wasz żyje, tylko pod wpływem emocji przytomność go opuściła.

- A Grzegorz?

- Diabłu duszę zaprzedał i mamonie. Nie ma kogo żałować. Wszedłem, gdy na Stefana się zamierzał i zdzierłem go ile sił w rękach. Chyba mu przetrąciłem kręgosłup.

- Kim jesteście?

- Nie czas na dysputę. Powiem tylko, że ksiądz Cichowski kazał was mieć w opiece.

- Proboszcz?

- A jakże.

- Widziałem... - Albert nadal nie mógł złapać tchu z emocji.
- Coście widzieli?
- Widziałem was razem w kościele i myślałem...

Mnich spojrział na niego i kowal dostrzegł błysk w jego oku.

- Myśleliście, że ja też skarbu szukam?
- Właśnie.
- Znam ja większe wartości na tym łoż padole.
- Panie Boże wybacz! Ja także zbłądziłem zapatrzony w mamonę!
- Albercie, nie czas na gadanie.
- Racja, trzeba ocucić szwagra.

Mężczyźni podeszli do leżącego bez tchu na ziemi Stefana. Stary Giersz uderzył mężczyznę w twarz i szarpnął za ramię. Stefan otworzył oczy i zdziwiony spojrział na kowala.

- A jednak stało się! Jesteśmy w niebie?
- Niestety nie!
- Rety! Bóg nie miał nad nami litości?
- Stefanie – Albert o mało nie parsknął śmiechem. – Stefanie, a toście się wystraszyli, że wam przytomność odebrało.

Mężczyzna rozglądał się dookoła i nadal pojąć nie mógł, gdzie się znajduje.

- Rety, to mnich z nami stracony?
- Stefanie! Przecie żyjemy! To Grzegorz kręgosłup ma przetrącony!
- Co? W jaki sposób?
- Rękami tego tu zacnego mnicha, któregośmy o jak najgorsze intencje podejrzewali.

- Rety! Co prawicie?

Stary Giersz dźwignął szwagra z posadzki. Nogi ugięły się pod Stefanem i zdawało się, że ten ponownie upadnie. Zebrał się jednak w sobie i spojrzał przytomniejszym już wzrokiem.

- Powiadacie, że ducha wyzionął? - Wskazał na leżącego Grzegorza.

- A kto go tam wie? Grunt, że my żyjemy!

- A ten, kto? Przecie to ów mnich!

- No, nareszcie mądrze mówicie szwagrze. Przecie, że mnich. Życie jesteście mu wdzięczni!

- Bogu niech będą dzięki!

- Jest sposób, by słowa czynem się stały – odparł kowal.

- Co mówicie?

- Mówię, że czynem, a nie słowem za życie odwdzińczyć się trzeba.

- Prawda. - Stefan nie do końca rozumiał, co ma Albert na myśli.

- Tedy kopmy.

Stary Giersz rozejrzał się dookoła. Podszedł pod ścianę i szarpnął za łopatę. Następnie rozgarnął śmieci i zaczął kopać niemal dokładnie w tym miejscu, gdzie jeszcze nie tak dawno spoczywał szwagier. Ziemia nie stawiała oporu. Widać nie uleżała się jeszcze. Wnet ukazało się wieko skrzyni. Kowal pochylił się, szarpnął i oczom zebranych ukazały się monety. Albert podniósł z ziemi nakrycie, które zarzucił mu na głowę oprawca.

- Jak na skarb samego cara Aleksandra, nie jest tego za wiele. Całe szczęście, że mamy mniejsze wymagania. Będzie czym się podzielić. Stefanie! Wrzucajcie je do worka.

- Już się robi!

Gdy zawartość skrzyni znalazła się w nowym miejscu, Albert zamknął skrzynię i ponownie zasypał dół. Mnich przyglądał się wszystkiemu ze stoickim spokojem.

- Teraz możemy wracać do domu.

Stefan spojrział na leżącego bez życia Grzegorza.

- Co z nim? - zapytał.

- Nic mu już nie pomożemy. Wrócimy tu jeszcze i pochowamy ciało. Teraz musimy uciekać, bo kto wie, czy Aniela nie wpadnie tu lada chwila - odparł mnich.

- Kobiety się lękacie? - zakpił kowal.

- Nie kobiety. Co zrobimy, jeśli ta przywiedzie ze sobą pomocników?

Albert spojrział na duchownego.

- Macie rację. Nic tu po nas.

## XXIV

Trzej jeźdźcy wypadli z podwórza Ignacego. Pędzące wierzchowce zostawiały za sobą tumany kurzu. Tętent kopyt echo niosło po okolicy. Maurycy odwrócił się i kątem oka dostrzegł sylwetki jeźdźców na koniach zmierzające w kierunku Lidzbarka. Nie miał jednak czasu, by przyjrzeć się dokładnie obcym. Uderzył wierzchowca kolanami. Ten posłusznie przyspieszył biegu. Zabudowania Grzegorza znajdowały się niedaleko, więc po chwili mężczyźni dotarli do celu. Młody Giersz zeskoczył w biegu z siodła i popędził w kierunku drzwi wejściowych do chaty. Antoni spojrzał na Macieja.

- Rozejrzyj się po budynkach gospodarczych! - krzyknął.- Ja pójdę za Maurycym.

Chłopak ze zrozumieniem kiwnął głową.

Młody Giersz wpadł do domu i przebiegł po kolei po wszystkich pomieszczeniach. Pusto. Krew pulsowała mu w skroniach. Skierował się w kierunku wyjścia z zamiarem przeszukania pozostałych budynków, gdy dostrzegł otwarte wejście do piwnicy. Nie namyślając się długo, zbiegł po schodach do środka. Ogarnął go mrok. Chwilę trwało, zanim oczy przyzwyczyły się do nowego otoczenia. Wreszcie Maurycy zaczął rozróżniać poszczególne elementy. W tej samej chwili usłyszał za sobą stukot butów i dostrzegł wchodzącego do piwnicy Antoniego.

- Znalazłeś coś?

- Jeszcze nie. Na górze nie ma nikogo.

Młody Giersz rozglądał się po pomieszczeniu. W piwnicy panował bałagan. Dookoła pełno było nikomu niepotrzebnych sprzętów. Za to na środku, w posadzce wykopany był dół. Mężczyźni zbliżyli się do jego krawędzi. W środku znajdowała się otwarta, lecz pusta skrzynia.

Banderski spojrzał na towarzysza.

- Spóźniliśmy się!

- Gdzie oni są na Boga! - wyrwało się Maurycemu.

- Jak kamień w wodę.

Młody Giersz gorączkowo myślał nad dalszym postępowaniem.

- Antoni – odezwał się wreszcie – przetrząśnijcie każdy kąt w gospodarstwie. Nie mogli się przecież rozpuścić w powietrzu.

- O ile tu w ogóle byli.

- Myślicie, że Aniela kłamała?

- A kto ją tam wie? Sam już nie nadażam za tym wszystkim.

Mężczyźni skierowali się ku wyjściu i niebawem znaleźli się na podwórku. Maciej, który zdążył w kierunku domu, spojrzał na nich z niepokojem.

- Są?

- Jak kamień w wodę – powtórzył Banderski. - Znaleźliśmy tylko dół, a w nim skrzynię.

- Skarb?

- Pustą!

- O, do diaska! A wujowie?

- Ani wujów, ani Grzegorza, ani skarbu!

- Nic nie rozumiem!

- My niestety też. A ty? Nic nie znalazłeś?

- Nic. Zajrzałem w każdy kąt.

- To dziwne, bo gdyby był tu Stefan, to powinien też być i jego koń.

- Nie ma żadnego wierzchowca.

- To jeszcze dziwniejsze. Czyżby Grzegorz wywiózł więźniów w inne miejsce?

Mężczyźni spojrzeli po sobie ze zgrozą.

- Aż strach pomyśleć... - przerwał ciszę Maciej.

- Nie czarownic! - przerwał Maurycy. - Przecie ojciec nie z takich opresji wychodził cało, a i Stefan nie w ciemną bitą.

- Więc co robimy? - Korvetta był coraz bardziej zaniepokojony.

- Spokojnie, pomyślmy chwilę. Jeśli wierzyć Anieli, cała trójka powinna znajdować się tutaj. Tymczasem nie ma ani więźniów, ani Grzegorza. Nie ma też, co najbardziej mnie dziwi, skarbu. Pozostała tylko pusta skrzynia.

- Myślisz zięciu, że się dogadali?

- Kto wie? Nie możemy odrzucać i takiej wersji wydarzeń. Czasami i kłata ruszy sumienie. Jedna rzecz nie daje mi wszakże spokoju.

- O czym myślisz? - zapytał Antoni.

- Gdyśmy wyjechali z gospodarstwa Ignacego i pędziliśmy do Grzegorza, spostrzegłem kątem oka jeźdźca lub jeźdźców jadących w kierunku Lidzbarka. Nie było czasu zastanawiać się nad tym, ale teraz, gdy nikogo tu nie zastaliśmy...

- Myślisz, że to poszukiwana przez nas trójka?

- Tylko po co wszyscy jechaliby do Lidzbarka? - kontynuował młody Giersz.

- A może oni wcale nie jechali do samego grodu? - Ni to stwierdził, ni zapytał Banderski.

- Waszym zdaniem gdzie?

- Do lasu.

- Do lasu? - wtrącił Maciej i spojrzał na Maurycego. Ten zrozumiał, co miał na myśli teść i zbladł.

- Myślicie Antoni, że..., że Grzegorz...?

- Tak właśnie myślę!

- Na koń! - niemal krzyknął Maurycy.





Agata nie mogła znaleźć sobie miejsca. Od chwili, gdy pożegnała syna jadącego z misją ratowania Alberta i Stefana, chodziła od okna do okna i wypatrywała. Od czasu do czasu wyszła też na podwórko, lecz na nic zdało się jej wyczekiwanie. Podobnie widać było i z Zofią, bo ta tuż po południu przyszła odwiedzić swatkę.

- A to wracam właśnie od Agnieszki. Ma się całkiem dobrze, ale na wszelki wypadek zostawiłam u niej chłopaka. Ma przybiec i powiedzieć, gdyby co nie daj Boże.

Gospodyni nie odezwała się na te słowa i Banderska spojrzała na nią spod oka.

- Denerwujecie się, Agato?

- Ano.

- Ja też nie wiem, co mam z sobą począć to i przyleciałam do was.

- Dobrzeście zrobili.

- A pewnie. Co dwie to nie jedna. Zawsze różniej.

- Myślicie, że wrócą dzisiaj do domu?

- Co nie mają wrócić? Ale biedny będzie mój Antoni. Oj biedny.

- Czemuż że? Przecie nie on wpadł w tarapaty?

- Ale mógł. Oba stare osły. Zamiast chałupy się trzymać, to guza szukają.

- To mojego Alberta zasługa.

- Taki sam jeden jak i drugi.

Kobiety patrzyły na siebie przez chwilę i nagle parsknęły śmiechem.

- Dzieciuchy! Całe życie dzieciuchy! - powiedziała Agata. - A ty kobieto chowaj. Nie dość, że dzieci, to jeszcze i męża pilnuj, żeby sobie krzywdy nie zrobił.

- Święte słowa! Święte słowa.

W tej chwili w sieni coś zaszurało. Ktoś zapukał lekko w drzwi i nie czekając na zaproszenie, pchnął je przed siebie. Kobiety spojrzały w napięciu w jedną stronę. Usłyszały najpierw sapanie, a zaraz potem do izby wszedł proboszcz Cichowski.

- Pochwalony – zwrócił się do obecnych.

- Na wieki wieków – odparła Agata. - A cóż to dobrodzieja do nas sprowadza?

Duchowny uśmiechnął się pod nosem.

- Widzę, że nie w porę...

- Skądże znowu – zmieszała się gospodyni, bo zorientowała się w tej chwili, że strzeliła głupstwo. - Tyle tylko, że mojego niestety w domu nie ma.

- Wiem.

Kobiety wymieniły się spojrzeniami.

- A niby skąd? - zapytała z przekorą Zofia.

Cichowski uniósł głowę i skierował wzrok ku niebu, a po jego twarzy nadal błędził zagadkowy uśmiech.

- Ojczy! Czy mógłby ojciec mówić jaśniej? - Agatę denerwowała wyjątkowa wesołość proboszcza. - A może ojciec także...?

- Nie wiem, co masz na myśli moja droga, ale zapewne nie jest to nic z tych rzeczy. Czyż nasz Pan nie dba o swoje owieczki i nie patrzy na nie z góry, martwiąc się, gdy te odłączają się od stada?

W sąsiedniej izbie rozległ się płacz dziecka.

- Przepraszam najmocniej, muszę do Marysi.

- Proszę bardzo.

Nie minęła chwila, gdy gospodyni wróciła z córką na rękach.

- Otóż i nasza Marysienka. Rośnie jak drożdżach piękna panna i tylko chrztu wciąż doczekać się nie może.

- Już niedługo. Tylko patrzeć jak u Agnieszki nastąpi rozwiązanie i wtedy dwie uroczystości zrobimy za jednym razem.

W pomieszczeniu zapanowała kłopotliwa cisza. Cała trójka stała na środku izby i mierzyła się oczami.

- Może przysiadzimy? - zaproponowała wreszcie Agata.

- Z podziękowaniem. Stary już jestem i nogi jak dawniej już mi nie służą.

Kobiety i gość przeszli do ławy pod oknem i usiedli.

- Może się ojciec czego napije? Mleko mam zsiadłe.

- Chętnie.

Gospodyni oddała dziecko Zofii i wnet postawiła przed Cichowskim dzbanek pełen mleka i kubek. Duchowny, nie zwlekając, nalał sobie i skosztował.

- Przednie, takie jak lubię.

- Ale, powiadał proboszcz o moim.

- No właśnie. Powiadałem. Kiedym tu był ostatnim razem, gadaliśmy o skarbach, co to po sobie rzekomo wojska w okolicach w czas ostatniej zawieruchy zostawiły.

- Pamiętam.

- Mówiłem, że wiele legend powstało z niczego, a słaba ludzka wola za złem podąża i krzywdy wiele uczynić może dla ziemskiego bogactwa.

- Oj prawda, prawda – westchnęły kobiety.

Cichowski spojrzał na kobiety ze współczuciem.

- Cóż, doszły mnie jednak słuchy, że Albert nie poniechał swoich zamiarów.

- Co będę przed ojcem kryła, kiedy prawda – odparła gospodyni.

- Otóż to.

- Już my tu plan powitania mamy dla naszych mężów. Oby tylko zdrowi wrócili –

wtrąciła Zofia, przekazując Marysię na powrót matce.

- Otóż to. Otóż to. Nie martwcie się moje drogie. Wróć.

- Skąd ta pewność? - wyrwało się Agacie.

- Bóg dba o swoje dzieci. Nawet te, którym zdarza się zbłądzić.

Duchowny ponownie ogarnął wzrokiem kobiety i widząc coraz większą niecierpliwość w ich oczach, postanowił nie trzymać ich dłużej w niepewności.

- Wiem wszystko. Od samego niemal początku.

- Od kogo? - zapytała Agata.

- Mam i ja swoje źródła informacji. Lecz tań już przed wami nie będę. Ów Ignacy wszystko wyznał pewnemu mnichowi, a ten mnie o całej historii opowiedział. Znalazłszy skrzynię pełną grosza, ofiarował się szczęśliwiec wesprzeć naszą świątynię i z tym zgłosił się do franciszkanina, który z mojego polecenia miał zająć się kościołem w Pilniku. Wszak tam przecie planujemy chrzciny waszych pociech.

- Prawda.

- Od słowa do słowa i wyszło szydło z worka, że i wasz Albert o skarbie się zwiędził. Stąd moja u was wizyta i próba odciążenia go od poszukiwań, które wobec znalezienia skrzyni, bezcelowe się stały.

- A dobrze dzieciuchom – wtrąciła Zofia.

- Niestety, późniejsze wydarzenia uświadomiły mi, że w sprawę zamieszany jest jeszcze ktoś trzeci. W dodatku bezkompromisowy. Dlatego zleciłem bratu Wojciechowi, by miał oko na wszystko i nie pozwolił, by krzywda jaka się kowalowi stała. Po śmierci Ignacego...

- To Ignacy nie żyje? - przerwała Agata.

- Niestety, jak powiedziałem, mamona najgorsze instynkty u ludzi wyzwała.

- Świeć Panie nad jego duszą. - Zofia zdawała się bardzo przejęta.

- Wieczne odpoczywanie – dodała gospodyni. - Ale, co ksiądz wie o naszych chłopach?

- Ano tyle wam mogę powiedzieć, że tylko ich patrzeć i da Bóg wszystkich w dobrej formie.

- Bogu niech będą dzięki – westchnęła Banderska.

- Już ja swojemu do głowy nakładę – groźnie zapowiedziała Agata.

Cichowski pochylił się nad ławą i pogłaskał po głowie Marysię ciekawie przypatrującą się sutannie. W tej chwili na podwórzu rozległ się tętent. Na chwilę zrobiło się cicho, lecz naraz w sieni zastukały buty i do chaty weszło trzech mężczyzn z mnichem na czele. Proboszcz zwrócił się w stronę kobiet.

- A oto brat Wojciech we własnej osobie – powiedział.

Gospodyni zmierzyła wzrokiem braciszka, który w tym momencie zrzucił brązowy kaptur z głowy. Przy księdzu Cichowskim, który do olbrzymów się nie zaliczał, prezentował się Wojciech bardziej niż skromnie. Mizernego wzrostu, z twarzą ogorzałą, w leciech między czterdziestym a pięćdziesiątym rokiem życia, choć raczej bliżej tej wyższej granicy. Kilkudniowy zarost nie działał na korzyść mężczyzny. Chciałoby się powiedzieć, że nie bez przyczyny Bogu życie poświęcił, bo chyba nie każda niewiasta gotowa byłaby los swój z takim związać.

- I temu to mikrusowi mój małżonek miałby życie zawdzięczać? - przemknęło kobiecie przez głowę.

Agata zerwała się i z dzieckiem na ręku skoczyła ku mężowi. Oddała Marysię Albertowi i stanęła, przyglądając się to kowalowi, to Stefanowi na zmianę.

- Ignacy nie żyje – zakomunikował Stary Giersz.

- Wiemy – odparła Zofia. - A gdzie Antoni, Maurycy i Maciej?

- Jak to...? Stefan nie bardzo rozumiał, o co chodzi Banderskiej.

- Pojechali z samego rana na ratunek.

- Nigdzieśmy ich nie widzieli – odparł kowal.

- Jak to? - Banderska z niedowierzaniem spojrzała po kolei na każdego z przybyłych. - Czyż to możliwe?

- Możliwe – odparł stary Giersz. - Brat Wojciech w ostatniej chwili z pomocą nam przybył. Jeszcze chwila..., ech nie warto nawet o tym wspominać.

Gospodyni, choć przy mężu ciągle stała, nagle w pierś z całej siły go uderzyła.

- To przez twoją głupotę Albercie! Albo to mało ci tego, co z kuźni nam przybywa? Odkąd z poniewierki wróciłeś, jakbyś ten sam a zupełnie inny jednako. Ciągle przygód szukasz! Patrzę na ciebie i widzę, że to nie ten Albert, który spokój domowego ogniska miłował i tu, w swojej chacie, czuł się najlepiej! Gdzieś cię goni! Szukasz, sam nie wiesz czego. Powiadasz kocham cię najdroższa, a przecie sam wiesz, że przygody i niebezpieczeństwo bardziej miłujesz!

Kowal patrzył na żonę z wybałuszonymi oczami. Spodziewał się co prawda pretensji, lecz nie sądził, że aż tak podpadł najbliższej sobie osobie.

- Agato...

- Agato, Agato! A jakże to obiecałeś, gdy pierwszy raz do gospody zawitałeś po latach włóczęgi. Już niebawem razem będziemy aż do szczęśliwego końca. Wierzyłam, bo kochałam, a ty co, z krzyża spuściłeś, dziecko sprawiłeś, a w świat ciągle cię goni. - Gospodyni załkała żałośnie.

Żal się mężczyźnie zrobiło małżonki. Przycisnął ją do siebie i pocałunkami obsypał, ta nie broniła się, owszem, lecz nie odwzajemniała jak to dotąd czyniła. Odsunął ją od siebie i zajrzał głęboko w oczy kobiecie.

- Agato, szczęście ty moje! Bóg jeden wie, jak bardzo cię kocham i ile ci szczęścia zawdzięczam. Jak możesz wątpić w mą miłość do ciebie? Przecie nie dla pieniędzy za skarbem ganiałem, nie dla siebie, lecz dla dzieci naszych, żeby im lżej niż nam w życiu było. Albo to nie wiesz, żem zawsze szczęście rodzinne nad bogactwo przedkładał? Czyż wątpić możesz, że ty, Maurycy i Marysia warte dla mnie więcej jesteście niż największe skarby świata?

Kobieta spojrzała na męża z powagą.

- Prawdę powiadasz?

- Jak Bóg na niebie!

- Jesteś gotów to udowodnić teraz? W tej chwili?

Kowal zmierzył małżonkę niepewnym spojrzeniem, bo nie wiedział, ku czemu rozmowa ta zmierza.

- Jakem Giersz – odparł wreszcie.

Agata podbiegła do Stefana i wyrwała mu z ręki worek, który ten dźwigał i rzuciła go pod nogi proboszcza Cichowskiego.

- Niech świętym celom służy grosz, który tyle nieszczęścia przyniósł i życie Ignacego kosztował!

Stary Giersz oniemiał i przerażony spojrzał na szwagra. Ten jeszcze bardziej zdumiony starał się ogarnąć to, co przed chwilą się stało. Zapanowało w izbie milczenie.

- Amen – niczym dzwon rozległ się nagle głos Alberta.

Ksiądz Cichowski, który dotąd z powagą przysłuchiwał się dyskusji, uśmiechnął się pod nosem.

- Jesteście pewni Agato? - zapytał.

- Z całego serca i w szczerości sumienia – ta odparła. - Tyle zła, a jednak Bóg pozwolił, by nasi szczęśliwie do domu wrócili.

- Dobra z was kobieta. Cóż, nie pozostaje mi nic innego jak dar przyjąć. A wy moi mili? - Tu duchowny zwrócił się do przybyłych – a wy nic przeciw nie macie?

Na dłuższą chwilę cisza zapanowała zupełna. Giersz spoglądał na szwagra, szwagier na Giersza. Mnich Wojciech udawał, że nie dostrzega ich zmieszania.

- Cóż – wystękał Stefan wreszcie – skoro taka wola...

- Bóg zapłać!

- Ale... - kowal odezwał się jeszcze.

- Bóg zapłać proboszcz powiedział – odezwał się Agata.

- Na wieki wieków! - zrezygnowany Albert przysiadł na ławie.

Stefan patrzył to na szwagra, to na siostrę i nie bardzo wiedział jak ma zareagować na fakt, przed którym został postawiony. Wreszcie machnął ręką.

- A niech tam! Mają kobiety rację. Zatraciliśmy się jak ostatnie łajzy z tym skarbem!

Giersz spojrzał z wyrzutem na Stefana. Akurat z jego strony nie spodziewał się



takiej reakcji.

- No! - rzekła Zofia. - Pozamiatane. Teraz tylko czekać, kiedy nasi chłopcy powrócą z poszukiwań.

- A właśnie – poruszył się stary Giersz. - To powiadacie, że Maurycy z Antonim i Maciejem podążyli ku nam z pomocą? Więc gdzie są?

- Mnie skąd wiedzieć? – napuszyła się Agata. - Tyle wiem, że Antoni widział jak wpadłeś w ręce Grzegorza i bojąc się, że i on może twój los podzielić, wrócił i rzecz całą Maurycemu wyłuszczył.

- Mój drogi swat. Okazało się, że to on jest mądrzejszy z nas dwojga.

Zofia aż urosła na te słowa.

- Może po prostu mniej głupi – sprowadziła wszystkich na ziemię Gierszowa.

Kowal poczerwieniał na twarzy.

- No dobrze już, dobrze – rzekł wreszcie. - Jedno wszak nie daje mi spokoju – tu mężczyzna zwrócił się do księdza Cichowskiego. - Skąd wasza wielbność wiedział o skarbie?

- Mówiłem przecie, że od waszej Agaty.

- Prawda. Więc dlaczego ten oto braciszek deptał nam po piętach?

- Żeby pycha i pożądanie nie kosztowały was zbyt wiele?

- Jakże to?

Duchowny uśmiechnął się.

- Nie dalej jak kilka chwil temu, tuż przed waszym przyjazdem, rzecz całą wyjaśniłem tym oto będącym tu kobietom. Jeśli zechcą, na pewno wyjaśnieniami się z wami podzielą. Tymczasem czas na nas bracie Wojciechu.

Mnich spojrzął po zebranych niepewnym wzrokiem, lecz gdy napotkał spojrzenie proboszcza, schylił się i śmiało złapał za worek z pieniędzmi.

- Jeszcze raz serdecznie Bóg zapłać – rzekł ksiądz Cichowski i popychając franciszkanina przed siebie, ruszył w stronę drzwi.

- Nie ma za co – odparły kobiety niemal równocześnie.

W izbie rozległy się dwa ciężkie westchnięcia.

Agata spojrzała na męża.

- My tu mamy do pogadania!

- Cóż, nic tu po mnie jak widzę. Zresztą tam Dorota też pewnie z niepokoju umiera.

- Dorota o niczym nie wie, bracie.

- Jak to?

- A tak to. Maciej wmówił jej, żeś u nas został i pomagasz Albertowi sprawy jakies załatwiać.

- Zuch chłopak.

- A zuch.

Na podwórzu zadudniły kopyta. W sieni otworzyły się drzwi i do izby wszedł Maurycy. Widząc Stefana i ojca stanął jak wryty.

- Wy tutaj?

Zaraz po młodym Gierszu w chacie pojawił się Maciej i ten także nie krył swojego zdumienia.

- Wuj Stefan? Myśleliśmy, że już po was!

- Jak widzisz wszystko skończyło się po naszej myśli.

- Raczej księdza Cichowskiego – wtrącił Albert.

- A właśnie – rzekł Maurycy. - Zdawało mi się, żeś widział proboszcza w towarzystwie jakiegoś mnicha opuszczającego nasze podwórze.

- Nie myliłeś się synu – odparła Agata.

Maciej pytającym wzrokiem spojrzał na Stefana.

- Tak, to ten sam, o którym ci opowiadałem. Podejrzywałem braciszka o najgorsze intencje, a tymczasem życie mu zawdzięczamy.

- Nie rozumiem.

- A co tu do rozumienia? Grzegorz przygotowywał się do ostatecznego rozwiązania mojego i Alberta problemu, gdy brat Wojciech zupełnie odwrócił nasze role. To Grzegorz ostatecznie legł nieżywy w piwnicy swojego domu.

- W piwnicy? Niemożliwe, przecież byliśmy tam ledwie co i nie zastaliśmy nikogo. Jenó dół wykopany, a w nim pusta skrzynia.

Tym razem to kowal spojrział na szwagra.

- Widać bardziej on cwany niż myśleliśmy. Uderzenie było więc zbyt słabe, by go życia pozbawić. Ma jednak za swoje, skoro mówicie, że dół był rozgrzebany.

- Jak to? - zapytał Maurycy.

- Nie było w nim nic. Skarb odkopaliśmy my sami, a zawartość skrzyni przesyпалиśmy do worka. Skrzynie zamknęliśmy i na powrót ziemią nakryliśmy.

- To rzeczywiście, musiał mieć się z pyszna – roześmiał się Maciej.

Stefan i Albert wymienili się spojrzeniami.

- Ech! – rozległo się ciężkie westchnienie.

## XXVI

Rok 1807 odszedł w zapomnienie. Wydarzenia ostatnich miesięcy, których finał długo jeszcze powracał w snach kowala, zdominowały wiele ważniejsze sprawy. Po szczęśliwym rozwiązaniu, Agnieszka powiła mężowi tak oczekiwanego potomka i choć przy samym porodzie nie obyło się bez komplikacji, całość znalazła swoje szczęśliwe zakończenie. Dość powiedzieć, że zarówno sam Maurycy jak i dziadkowie nie posiadali się ze szczęścia. Nie pozostawało więc nic innego, jak rozpocząć przygotowania do długo oczekiwanego chrztu nowych członków rodziny Gierszów. Kowal przełamał się w sobie,

bo mimo wszystko gdzieś tam w sercu tlił się malutki żal do proboszcza, że tak bez protestu przyjął skarb, za którym tyle czasu zmitrężył i tyle przeżył niebezpiecznych chwil. Duchowny co prawda bywał gościem w zagrodzie, lecz mimo szczerych chęci, rozmowa raczej nie kleiła się mężczyznom. Zupełnie inaczej za to było z Agatą, która zżyła się zarówno z księdzem jak i bratem Wojciechem, a ten z kolei przepadał za Marysią. Z wzajemnością zresztą. Zebrał się w sobie wreszcie kowal i ruszył do kościoła. Zimowy chłód potęgowały w świątyni przemarznięte mury. Albert przeżegnał się. Skłonił się głęboko przed tabernakulum i wypatrywał duchownego. Cichowski dostrzegł go jednak pierwszy i wychodząc mu naprzeciw, skinął przychylnie głową.

- Niech będzie pochwalony.

- Witam cię mój synu. Zdaje mi się, że domyślam się, jakie sprawy cię do domu bożego sprowadziły.

Stary Giersz ukłonił się nisko.

- Czas na chrzciny ojczy proboszczu.

- I ja tak myślę. Marysia już prawie panienka, a... właśnie, jakie imię nadali dziecku Maurycy z Agnieszka?

- Jan, proszę księdza.

- Pięknie, zatem Marysieńka i Jan. Jak za dawnych czasów.

Kowal nic nie odpowiedział.

Cichowski zmierzył go wzrokiem.

- Widzę synu, że jakiś ciężar w sercu nosisz, a może i żal. Czyżbyś miał pretensje o owe monety?

Kowal poczuł się nieswojo, że tak łatwo dał się duchownemu rozszyfrować.

- Było, minęło – odrzekł niepewnie.

- A przecież widzę, że to żal. Bądź pewien, wszystko na dobrą sprawę się obróciło.

- Amen.

Duchowny nie kontynuował tematu.

- Zatem jaki termin proponujesz mój drogi?

- Myślałem o świętym Józefie.

- Pięknie. Myślę, że to dobry czas. Brat Wojciech zajął się kościołem w Pilniku i uwierz mi, nie poznasz tej świątyni, tak bardzo się zmieniła na lepsze.

- Rzeczywiście, nie byłem tam dawno. Czasu zbrakło, tyle zdarzeń.

- A widzisz. Ja jednak o naszej umowie pamiętałem.

- Wdzięczny jestem.

- Wierzę w szczerść twoich słów, synu.

Rzeczywiście, kościół w Pilniku zupełnie zmienił swoje oblicze. Staremu Gierszowi lżej na sercu się zrobiło, gdy pomyślał, że to zasługa skarbu, którego tyle się naszukał. Zdawało mu się nawet, że Chrystus ukrzyżowany w głównym ołtarzu mniej cierpi, a wręcz uśmiecha się do niego serdecznie. Mimo chłodnej jeszcze aury, chrzest, który celebrował sam proboszcz Cichowski w towarzystwie brata Wojciecha, wypadł nad wyraz okazale. Nie obyło się także bez wspomnienia Ignacego, jako tego, dzięki któremu miejsce uroczystości mogło zaprezentować swoje nowe oblicze. Ku zadowoleniu wszystkich zebranych zresztą. Zmówiono także zdrowaśkę w intencji Grzegorza, który po całej aferze ze skrzynią przepadł tak skutecznie, że słuch o nim zaginął.

Jakież było zaskoczenie obecnych, gdy na koniec mszy duchowni wręczyli dzieciom pokaźne mieszki pełne grosza.

Gdy zebrani na przyjęciu w chacie młodych małżonków goście wzniesli kolejny toast na cześć nowych członków społeczności chrześcijańskiej, Stefan nachylił się i szepnął szwagrowi do ucha.

- Pięknie wykorzystał proboszcz nasze pieniądze. Iście po bożemu. I kościół na tym skorzystał i dzieci mają niezły kapitalik.

- Porządny chłop z naszego księdza – odparł Albert. - Ale! Dostrzegliście szwagrze, że lody na wodach puszczają?

- Nie rozumiem. - Stefan zdziwiony spojrzał na kowala.

- Jak to? Nie słyszeliście o skarbie w jeziorze Tonka?



[1] O wspomnianych przygodach głównego bohatera dowie się czytelnik z powieści „Kurier Napoleona”.